

Miłość i niebezpieczeństwo
w rajskim zakątku Lazurowego Wybrzeża,
tam gdzie niebo i morze się spotykają, a czas zatrzymuje.

DOM NAD LAZUROWYM URWISKIEM

FRÉDÉRIC
D'ONAGLIA



DOM NAD
LAZUROWYM
URWISKIEM

FRÉDÉRIC D'ONAGLIA

Przekład
AGNIESZKA PODOLSKA



Dla Geneviève Perrin

1

Fala gwałtownie uderzyła o skały, wyrrywając Laurę z głębokiego snu. Powoli docierały do niej znajome odgłosy. Śpiew cykady na tarasie, echo przyplywu rozbijającego się o stromy brzeg. Leżała jeszcze chwilę, zanim otworzyła oczy, przejęta myślą o tym, co czekało ją tego popołudnia. Miała stawić się na spotkanie z mecenasem Dubré-Lacaze'em, do którego wezwano ją w dziwnej sprawie. Dwa tygodnie wcześniej dostała pismo od notariusza zajmującego się spadkiem po Marcelu Soubeyranie. W liście proszono ją o obecność podczas odczytywania testamentu. Nic więcej na ten temat nie wiedziała. Jaką niespodziankę przygotował jej zmarły? Nie znała go i nie łączyły jej z nim żadne więzy pokrewieństwa. Był sąsiadem, cichym i rzadko widywanym. Mówiono, że był stary i schorowany. Umarł miesiąc temu.

Odrzuciła kołdrę, wyprostowała się i spojrzała w bok. Maya gramoliła się z dywanika pod łóżkiem, rozespana i żądna pieścizot. Szczupła, płowa suczka rasy golden retriever uniosła pysk w stronę pani i oparła go na łóżku, głośno sapiąc. Laura uśmiechnęła się pobłaźliwie do psiaka. Uwielbiała patrzeć, jak Maya budzi się, pomarszczona jak mały szczeniak. Pochyliła się i pocałowała ją za uchem w miejscu, gdzie sierść jest jeszcze ciepła i szczególnie miękka. Maya skorzystała z okazji, żeby spróbować wdrapać się na łóżko. Jedna łapa. Potem, niezdarnie, druga.

– Hola, hola! – skarciła ją Laura. – Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi?

Maya spojrzała na nią błagalnie.

– No, dobrze. Wskakuj.

Suczka przytuliła się do niej z rozkoszą. Pozwolono jej wejść na zakazane terytorium! Laura głaskała jej długą, miękką jak jedwab sierść. Trzy lata temu Maya była jeszcze małą, włochatą kulką, która mieściła się w dłoniach. Laura właśnie przeprowadziła się z dziećmi do domu swojego ojca. Dom leżał na uboczu i Laura dla własnego poczucia bezpieczeństwa zapragnęła mieć psa. Maya dostała imię na cześć wyżła, którego znali kiedyś w Omanie. Sébastien, mąż Laury, poszukiwał w tamtym regionie nowych pól naftowych. Wyjeżdżał na całe tygodnie na pustynię Rub al-Chali, zostawiając rodzinę samą sobie, a dzieci zaprzyjaźniły się z suką sąsiada. Pewnego wieczoru Sébastien oznajmił, że czeka go nowy wyjazd, do Republiki Południowej Afryki.

Nikommu się to nie uśmiechało. Dzieciom ścisnęło się serce na myśl, że już nie zobaczą Mayi.

– Nie pojedziemy z tobą – oświadczyła lakonicznie Laura, gdy została sam na sam z mężem. – Tym razem nie.

Sébastien spojrział na nią z niedowierzaniem. Wielu kolegów zabiegało o tę posadę, dla inżyniera był to prawdziwy awans. Gdyby poszukiwania się powiodły, czekała na niego żyła złota. Żona dobrze o tym wiedziała. Nadarzała się okazja, żeby otworzyć własne biuro projektów, byłby wtedy u szczytu kariery. Ujął ją za ramiona i spojrział na nią z niemal komiczną powagą, udając, że nic nie rozumie.

– Jak to, nie tym razem?

– Dzieci potrzebują spokoju. Nie możesz wiecznie przerzucać ich z jednego kraju do drugiego. Nie mają czasu poznać przyjaciół, przyzwyczać się, nigdy cię nie widują. Ja zresztą też.

Po jej słowach zapadła cisza. Sébastien odwrócił wzrok. To nie były wyrzuty, tylko stwierdzenie faktu. Nieodwołalne. Laura podjęła decyzję.

– Wrócimy do Francji i zamieszkamy na Przylądku Admirala, w

domu mojego ojca.

Od dawna o tym myślała. Teraz skorzystała z okazji. Sébastien na tyle dobrze ją znał, żeby pojąć, że nie zmieni zdania. Była spokojna i zdecydowana.

– Rozumiem – powiedział w końcu.

Poprosił ją, żeby się jeszcze zastanowiła, ale zrobił to tylko dla formalności, żeby nie przyznać, że miała rację. Jego zawód wymagał koczowniczego trybu życia, z biegiem lat jego małżeństwo stało się po prostu fikcją. Nadszedł czas, żeby to sobie uświadomić i podjąć odpowiednie kroki. Z perspektywy czasu Laura przekonała się, że dokonała słusznego wyboru. W drodze wzajemnego porozumienia uzyskali separację, ale nie podjęli jeszcze ostatecznej decyzji o rozwodzie. Jedno albo drugie zawsze znajdowało jakiś pretekst, żeby opóźnić ten moment.

Maya wyciągnęła się na łóżku na całej długości, zmuszając Laurę do wstania.

– Idziemy popływać.

Jeżeli było jakieś słowo, na które Maya reagowała, było nim słowo „pływać”. Postawiła uszy i przyglądała się Laurze z lekko przechyloną głową, po czym i tak wyskoczyła z łóżka. Błyskawicznie znalazła się pod drzwiami, wiercąc się ze zniecierpliwienia, potem zawróciła i z pantoflem w pysku paradowała dumnie przed swoją panią, machając zamasyście ogonem. Maya uwielbiała być w centrum zainteresowania.

– Cicho... Obudzisz dzieci.

Laura otworzyła okiennice. Oślepiło ją światło dnia. Zamrugła, marszcząc usiany piegami nos. W wieku czterdziestu trzech lat zachowała zabawną twarz nastolatki. I gdyby nie drobne kurze łapki, które rozchodziły się promieniście wokół jej oczu, rozświetlając uśmiech, trudno byłoby określić jej wiek. Prawie się nie malowała,

czesala się w koński ogon i pływała godzinę dziennie.

Wciągnęła słone morskie powietrze i poczuła nieprzewartą ochotę wykąpania się. Objęła horyzont spojrzeniem lśniącym jak przejrzyste fale leżącej w dole zatoki. O tak wczesnej godzinie niebo i morze zlewały się w jedną szarą, delikatnie opalizującą poświatę. Laura nie mogła nasycić się tym widokiem. U jej stóp zawieszane nad skarpą aloesy, bugenwille, drzewka oliwkowe i figowce tworzyły roślinny dywan, tkwiący korzeniami z załomach skalnych, w uskokach klifu, w najbardziej nieprawdopodobnych zakątkach. Nic nie napawało jej większą radością, niż gdy leżąc na hamaku w cieniu wiklinowego ogrodzenia, wsłuchiwała się w odgłosy tego rajskiego ogrodu.

– Chodźmy!

Szczęśliwa, że może dzielić tę chwilę z psem, włożyła kostium kąpielowy, którego biel kontrastowała z jej bursztynową skórą. W zimie – bo Laura pływała o każdej porze roku – zakładała kombinezon izotermiczny, mniej atrakcyjny, choć ciała pozazdrościłaby jej niejedna kobieta w jej wieku. Do uprawiania codziennych ćwiczeń motywowała ją nie tyle dbałość o figurę, co fakt, że zapewniały jej one dobre samopoczucie. Maya pływała razem z nią, tak jak inne psy biegają za swoim panem.

Razem przemierzyły cały taras. Przy domku, rozbudowanym od czasów, gdy go postawiono, rozciągał się położony na cyplu ogród, otoczony kamiennym murkiem. Murek, ukryty pod krzewami oleandrów, ogradzał teren i służył za barierę w miejscu, gdzie urwisko opadało stromo ku morzu. Laura uniosła zasuwkę furtki i zeszła ostrożnie schodami wykutymi w skale. Trzydzieści metrów niżej leżała piaszczysta plaża, muskana przez fale. Żelazny uchwyt służył za poręcz. To jej ojciec go zamontował. Gdy razem ze swoją żoną i córeczką przybył na Przylądek Admirala, starannie zabezpieczył przejście.

Ilekcroć Laura schodziła tą drogą, wracały wspomnienia o matce i jej przestrojach, gdy widziała, jak dziewczynka podąża w ślad za ojcem. Ile mogła mieć wtedy lat? Pięć, nie więcej. Nie pamiętała twarzy matki, tylko strach, jaki odczuwała w jej obecności, strach przed jej napadami gniewu. Rodzice bez przerwy się kłócili. Któregoś ranka Gilbert, ojciec Laury, obudził ją i mocno przytulił.

– Bardzo cię kocham, moja księżniczko – powiedział cichym głosem.

Jej tata był najprzystojniejszy ze wszystkich. Dawał jej największe poczucie bezpieczeństwa. Potrafił zabawić i pocieszyć. Ale tamtego dnia, po tych słowach i uścisku niemal bolesnym, zostawił ją na dłuższą chwilę. Do Laury nie dobiegał z domu najmniejszy dźwięk. Potem ojciec pojawił się z powrotem jak gdyby nigdy nic i wziął ją na ręce. Spędzili cały dzień na jego łodzi. Wieczorem Laura zrozumiała, że mama nie będzie czekać na nich w domu. Wyjechała. Zostawiła ich. Może się to wydawać dziwne, ale wtedy bardziej martwiła się smutkiem ojca niż własnym. Nie musiał nic mówić, fizycznie czuła jego ból. Dorastała przy nim, nigdy nie pytając o kobietę, której już z nimi nie było, a której nieobecność zdawała się wnosić upragniony spokój po ciągłych napadach furii. Gilbert zawsze był przy niej, wychowując ją najlepiej, jak umiał. To po nim odziedziczyła zamiłowanie do aktywności fizycznej, ale także do rysowania, bo miał rękę do rysunku i cieszył się, dostrzegając u córki nawet większy talent. Wierzył w nią i był z niej dumny. Nie mieli przed sobą żadnych tajemnic i nigdy się nie kłócili. Dawał jej wolność, z której ona rozważnie korzystała. Wiedli proste, spokojne życie.

A potem nadeszła ta noc, której wszystko się zmieniło...

Laura schodziła po schodach ze swojej *calanque*^[1]. W przeciwieństwie do innych przybrzeżnych dolin o imponujących spadzistych urwiskach i postrzępionej rzeźbie Przylądek Admirala był

wąski i ciasny, co chroniło zatokę przed napływem spacerowiczów. Ponadto obecność dwóch domów i starannie utrzymanych ogrodów na obu zboczach, nadawała jej prywatny charakter. Pływający po morzu turyści, zniechęceni słabą żeglownością zatoki, woleli zostawać na szerokich wodach i fotografować wybrzeże z daleka. Legenda głosi, że nazwa Przylądka Admirała pochodzi od pewnego starego korsarza, Fargasa, który wstąpił na służbę do króla Ludwika XIV w czasie wojny dewolucyjnej z Hiszpanią, za co przyznano mu tytuł admirała. Korsarz zacumował swój statek z zatoce, aby zaskoczyć okręt nieprzyjaciela i posłać go na dno.

Laura, z psem przy nodze, dotarła do plaży. Jak co dzień miała zamiar popłynąć aż do skraju mielizny, tam, gdzie turkusowe wody przybrzeża przechodziły w głęboki śródziemnomorski błękit. Stara sosna alepska, która rosła na szczycie urwiska, przecząc wszelkim prawom grawitacji, służyła jej za punkt orientacyjny. Drzewo, częściowo okaleczone i ogołcone z gałęzi, przeżyło uderzenie pioruna. Cykady obrały je sobie za dom, a jego umęczona sylwetka zdawała się przewodzić ich śpiewom niczym dyrygent przy pulpicie. Laura uważała je za domowego wartownika, za totem ożywiany duchem miejsca. Podniosła leżący na plaży kawałek drewna.

– A to dla kogo? – zapytała.

Suka zwykła pływać za nią z patykiem w zębach. W końcu nazwa rasy („złoty aportet”) zobowiązuje.

– Przynieś!

Maya rzuciła się między grzywy fal, potem okrążyła swoją panią, gdy ta była już zanurzona po szyję. Rozgrzawszy się najpierw paroma wymachami, Laura ruszyła. Płynęła coraz energiczniejszym kraulem. W regularnych odstępach czasu unosiła głowę nad powierzchnię wody, aby nabrać powietrza. Gdy zwolniła tempo, w niewielkiej odległości od

sosny, znajdowała się poniżej domu należącego do Joëla Bossisa.

Joël był kimś więcej niż tylko sąsiadem. Od czasu gdy pewnej burzowej nocy Gilbert zaginął, Joël stał się dla niej drugim ojcem. Laura miała wtedy dopiero siedemnaście lat. Z niewyjaśnionych przyczyn tamtego wieczoru jej ojciec wypłynął na morze i przepadł bez wieści. Joël Bossis i zaprzyjaźnieni rybacy przez wiele dni przeczesywali okoliczne wody, ale nie odnaleźli wraku „Lauramor”. Morze nie wyrzuciło żadnych zwłok, żadnych szczątków. Laura nie żywiła cienia nadziei, że kiedyś ujrzy jeszcze ukochanego ojca. Nigdy by jej nie zostawił. Ale jedno pytanie nie dawało jej spokoju. Dlaczego ryzykował, wypływając na morze w burzową noc? Nikt nie wiedział. Joël też nie mógł tego zrozumieć. Przygarnął ją jak własną córkę, w imię pamięci o Gilbertcie i więzów przyjaźni, które łączyły obu współników: założyli razem warsztat szkutniczy i zajmowali się naprawą łodzi.

Mijały lata. Laura wyjechała na studia do Akademii Sztuk Pięknych w Aix-en-Provence, gdzie na drugim roku jako specjalizację wybrała grafikę. Potem poznała Sébastiena i wyszła za niego za mąż. Jeździła za mężem po całym świecie, aby w końcu wrócić w rodzinne strony. Joël ucieszył się z powrotu „przybranej córki”. Oczywiście ubolewał z powodu okoliczności, w jakich to nastąpiło. Wielokrotnie przekonywał Laurę, aby wróciła do męża, ale zrezygnował, widząc, że ani ona, ani dzieci nie cierpiały z powodu tej sytuacji.

Przepełnęła jeszcze kilka metrów, po czym wspięła się na skałę, aby nabrać sił. Pies dołączył do niej, parskając.

– To najpiękniejsze miejsce na ziemi – powiedziała, siadając ze skrzyżowanymi nogami. – Prawda, psinko?

Maya wypuściła patyk z pyska i położyła się na boku. Zwierzę wyglądało na wyczerpane. Laura omiotła horyzont wzrokiem. Siedziała dokładnie w tym miejscu, gdzie szelf kontynentalny zanurza się w

głębiny podwodnego świata. Ten wodny bezmiar krył w sobie grób jej ojca. Wciąż o tym myślała. Odwróciła wzrok, aby spojrzeć na zatokę, na nadbrzeżną dolinę o stromych ścianach, na jej olśniewająco białe wapienne skały, które tak często szkicowała. Ileż to godzin spędziła, ucząc się, od najwcześniejszych lat, malować ten przedziwny świat i jego odbicia zmieniające się w zwierciadle wód? Ojciec nauczył ją dostrzegać fałdy i załamania, zauważać najdrobniejsze zmiany, jakim skalna sceneria ulegała pod wpływem światła dnia.

Po powrocie w rodzinne strony Laura, wierna pamięci o ojcu, starała się uchronić zatokę przed wszystkim, co mogłoby ją wynaturzyć. Apetyty deweloperów na Lazurowym Wybrzeżu były nieposkromione. Joël wspierał ją w tej walce i ku ich ogromnej satysfakcji marzenie miało się spełnić w ciągu kilku miesięcy. Po latach starań władze państwowe postanowiły oddać sprawiedliwość obrońcom środowiska. Miał powstać Park Narodowy *Calanques*, w skrócie PNC. Nie tworzono go po to, aby nieliczne uprzywilejowane osoby mogły żyć w ciszy i spokoju. Miał zapewnić przetrwanie ekosystemu, zachwianego przez obecność człowieka, oraz uratować bezcenne dziedzictwo historyczne. Gdyż *calanques* to nie tylko widoki z pocztówek. Jako pozostałości epoki lodowcowej kryły miejscami prawdziwe skarby, sięgające początków ludzkości. Sale w Jaskini Cosquera, do której wejście zalała woda, zawierały dzieła sztuki naskalnej datowane na dwadzieścia siedem tysięcy lat przed naszą erą! Laura wyobrażała sobie czasami, że mieszka nad jednym z tych podwodnych muzeów, którego ściany zachowały ślady prehistorycznego artysty.

Jej uwaga skupiła się wkrótce na domu leżącym po drugiej stronie zatoki. W połowie wysokości otaczał go żywopłot z wawrzynu. Trzy lata wcześniej, gdy się tu na nowo wprowadzała, opadły ją wątpliwości. Czy nie szukała schronienia w przeszłości? Czy, co gorsza, nie zamykała

dzieci we własnej historii, obciążając je ciężarem wspomnień, w których mieszało się to, co w jej życiu było najlepsze i najgorsze? Przylądek Admirala prześladowały przecież nigdy nierozwiązane tajemnice, odejście matki, zaginięcie ojca... Ale Laura nie chciała już podążać za człowiekiem, który w życiu kierował się tylko pracą. Tutaj była u siebie, na swoim miejscu, a dzieci nigdy nie miały jej za złe tego wyboru. One także musiały gdzieś się zatrzymać i zapuścić korzenie.

Krawędź urwiska upstrzona była makią^[2], rozciągającą się daleko poniżej, gęstą i pachnącą, pełną kolczastych krzewów. Ten zdziczały teren należał do Marcela Soubeyrana, który zawezwał ją zza grobu, aby uczestniczyła w odczytaniu jego testamentu. Czyżby nie mając dziedzica, chciał przekazać jej część swojego majątku? Niemożliwe. Im bardziej o tym myślała, tym mniej rozumiała pobudki, jakie nim kierowały. Widziała go tylko dwa razy w życiu i zachowała w pamięci obraz sąsiada pilnie strzegącego granic swojej posiadłości, małomównego i szczerze mówiąc, niemilego. Stał wyżej od nich, mieszkających w dolinie, i to w każdym znaczeniu tego słowa, był wyniosły i pełen pogardy. Pochodzili z innych światów. Toteż gdy Laura dostała wezwanie od mecenasa Dubré-Lacaze'a, opowiedziała o tym Joëlowi.

– Dziwna sprawa – mruknął, zapoznawszy się z treścią listu.

Nic więcej nie powiedział i przyznał, że jest równie zaskoczony jak Laura, iż ktoś taki mógłby umieścić ją w swoim testamencie. Rano Laura zadzwoniła do biura notarialnego. Udało jej się porozmawiać z notariuszem, który nie powiedział nic ważnego. Nie mógł. Musiała poczekać. Tego popołudnia ostatnia wola Soubeyrana miała zostać ujawniona, kładąc kres dwóm tygodniom pytań i niepewności. Na razie wszystko, co wiedziała, to tyle że Marcel Soubeyran odziedziczył kamieniołom, którego kamienie posłużyły niegdyś do budowy doków w

Aleksandrii, Egipcie i cokołu Statuy Wolności w Nowym Jorku.

Fala silniejsza od innych uderzyła o skałę i ochlapała Laureę.

– Wracamy, psinko?

Maya, która odzyskała już siły, zerwała się na równe nogi i wskoczyła do wody za patykiem rzuconym jej przez panią. Laura też się zanurzyła. Orzeźwiająca woda omywała jej skórę.

Weszła do domu, susząc sobie włosy. Na piętrze dzieci jeszcze spały, co dawało jej trochę czasu na pracę. Wzięła prysznic, założyła koszulkę i krótkie spodenki i poszła do salonu. Stara część domu, wiejskiej chaty, której jedyny luksus stanowił rozległy widok na Morze Śródziemne, została zbudowana przed pierwszą wojną światową. Dziadek Laury, nauczyciel z Marsylii, zauroczony tym miejscem, położonym w pobliżu Cassis, zbudował chatę pośrodku urwiska. Potem jego syn, Gilbert, urządził ją tak, aby móc zamieszkać w niej na stałe i otworzyć na nabrzeżu warsztat szkutniczy.

Laura naląła sobie filiżankę czarnej kawy i usiadła przy desce do rysowania. Jej stół umieszczony był naprzeciwko drzwi balkonowych wychodzących na taras. Jako ilustratorka cieszyła się pewną renomą wśród wydawców książek dla dzieci. Była znakomitą kolorystką, miała cały zestaw gwaszów, których odcienie mieszała w pojemniku własnej produkcji. Pędzle stały starannie ułożone w bambusowym naczyniu, które przywiozła kiedyś z Indonezji. To był jedyny zawód, jaki dawał się pogodzić z wyjazdami, które narzucał im Sébastien. Wystarczał jej stół, papier, ołówki i farby. Aby udokumentować swoje rysunki, zamówiła małą biblioteczkę, gdzie w drewnianych przegródkach przechowywała zdjęcia, które sama robiła albo wycinała z gazet. Praca ta przynosiła jej skromne, ale wystarczające dochody, pozwalające zachować niezależność; jej mąż pokrywał koszty edukacji dzieci, nie mówiąc o podróżach i prezentach, jakimi je obdarowywał. Pod tym względem

Sébastien zawsze wywiązywał się ze swoich obowiązków. Ale stół do rysunków musiał współegzystować z codziennymi obowiązkami i domowym zgiełkiem.

Laura nauczyła się dostosowywać swój czas pracy do wymogów życia rodzinnego. Kiedy nie nastawiała prania w pralce albo nie robiła zakupów, rysowała. Ostatnio dostała zlecenie na wykonanie ilustrowanego albumu, opowiadającego o małych, dziesięcioletnich dzieciach, żyjących przed dwudziestoma sześcioma wiekami, w czasach założycieli Marsylii, *Mas Salii*, „siedzibie Salluwiów^[3]”, jak podają niektóre źródła. Aby zilustrować ich przygody, Laura musiała sięgnąć po kroniki Pompejusza Trogusa, pisarza galloromańskiego. Píše on, że Protis, Fokajczyk^[4], który chciał rozwinąć działalność handlową w tej części wybrzeża, przybił do zatoki Lacydon w dniu, w którym król Nanus z plemienia Salluwiów zamierzał wydać za mąż swoją córkę Gyptis za jednego z dwudziestu pięciu pretendentów. Ceremonia odbyła się w grocie przy fontannie Ivoire, niedaleko dzisiejszej Marsylii. Według tradycji Gyptis miała wręczyć jednemu z zalotników kielich z wodą, który przypieczętowałby ich małżeństwo. Piękna nimfa wybrała zaproszonego na tę uroczystość Protisa. Młodzi małżonkowie otrzymali w posagu zatokę Lacydon, która później stała się marsylskim Starym Portem.

Laura szkicowała właśnie kontur twarzy pięknej Gyptis, gdy po schodach zszedł Enzo. Odłożyła pióro. Jej dzień się zaczynał.

2

Słyszając, jak Laura miota przekleństwa w piwnicy, Enzo wyszedł jej naprzeciw.

– Nie przejmuj się, mamó, zajmę się tym.

– Jesteś pewien?

– Mamó! Nie traktuj mnie jak małe dziecko. Już to kiedyś robiłem.

Zabrakło jej argumentów, oddała więc synowi drabinkę, przytrzymując ją jednak dla bezpieczeństwa.

– Wyłączyłaś prąd?

Laura wzniosła oczy do sufitu.

– Masz mnie za idiotkę?

Ach, te dzieci!

Syn odkręcił kinkiet ścienny, oświetlający komórkę, odłączył kable elektryczne, wygładził je starannie, po czym zainstalował z powrotem w obudowie.

– Dobra, możesz włączyć prąd.

Laura zrobiła, o co prosił. Rozbłysło światło.

– Brawo. Jesteś genialny, moje ukochane maleństwo.

– Mamó! Przestań tak do mnie mówić.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, wzruszona na myśl o tym, jak szybko minął czas... Jeszcze wczoraj Enzo był małym chłopcem, którego trzeba było pilnować jak oka w głowie. Urwis potrafił w okamgnieniu zmylić jej uwagę i wykręcić jakiś niecny numer. Zawsze gdy przestawała go słyszeć, mogła być pewna, że robi coś głupiego. A potem, nie wiedzieć kiedy, jej syn dorósł, ujawniając nowe cechy

charakteru. Było to jednocześnie niepokojące i wzruszające. Choć bywał uparty i nie przebierał w słowach, potrafił być także zabawny, pomysłowy, rozsądny i wspaniałomyślny. Laura musiała spojrzeć prawdzie w oczy, Enzo stawał się dorosły. Zresztą bardzo poważnie traktował swoją rolę jedyne go mężczyzny w domu. Kiedy nastąpiła zmiana? Nie potrafiła tego dokładnie określić. Na pewno wtedy, gdy zamieszkali na Przylądku Admirala. Wtedy jej syn wybił się przed starszą siostrę. W przepychankach, które tak często prowadziły do kłótni, zyskiwał coraz większą przewagę. Jego czternaście lat i metr sześćdziesiąt siedem wzrostu powodowały, że z łatwością brał nad nią górę.

Laura pocałowała go czule.

– Muszę iść – powiedział, oswobodzając się z jej objęć. – Joël na mnie czeka, będziemy nurkować.

– Idź, skarbie. I bądź ostrożny.

Enzo był żywym obrazem swojego ojca. Długie czarne rzęsy okalały ciemne oczy, zarazem zamyślane i stanowcze. Mały przystojniak potrafił już zawrócić w głowie niejednej dziewczynie... Laura zamknęła drzwi do piwnicy i zatrzymała się na chwilę, przyglądając się bacznie salonowi.

– Trzeba tu zrobić przemeblowanie.

W ciągu trzech lat wewnątrz domu nie zostało poddane żadnym modyfikacjom. Właściwie nic się nie zmieniło od czasu zaginięcia jej ojca. Na parterze znajdował się salon, oświetlony przez duże okno balkonowe wychodzące na taras i morze, a w nim tylko podstawowe sprzęty. Za całe umeblowanie służyła stara kanapa przykryta kocem, dwa wiklinowe krzesła, niski stół, gerydon i telewizor. Za ścianą drewniane schody prowadziły do dwóch pokoi na piętrze. Do pokoju Laury oraz małej kuchni wchodziło się z salonu przez dwoje

sąsiadujących ze sobą drzwi. Całość miała w sobie urok cyganerii i czar domku letniskowego. Ale teraz nie byli tu tylko przejazdem i dzieci nieustannie domagały się łazienki, która nie pochodziłaby z poprzedniego wieku, nowoczesnej kuchni i kolorowych ścian. I Laura chętnie odświeżyłaby to gniazdko, sprawiła, żeby było wygodniejsze, zachowując jednocześnie jego charakter i oczywiście wspomnienia, które się z nim wiązały. Snuła właśnie dalekosiężne plany, gdy pojawiła się Camille.

Obok tej siedemnastoletniej, wysokiej, smukłej i zgrabnej dziewczyny trudno było przejść obojętnie. Także była brunetką, jak jej ojciec. Czasami Laura zastanawiała się, dlaczego prawa genetyki faworyzowały stronę ojca kosztem jej własnych chromosomów. Dzieci nie były do niej podobne. Dziewczyna pocałowała ją w policzek i sprawdziła telefon komórkowy.

– W sumie będzie czterdzieści pięć osób – rzuciła od niechcienia, siadając przy stole do śniadania.

– Słucham???

Gdy Laura zaproponowała córce zorganizowanie przyjęcia w nagrodę za dobre wyniki na maturze, nawet nie podejrzewała, że zjawi się taki tłum ludzi. Nalot nastolatków przyprawiał ją o zimne poty.

– Chyba nie mówisz poważnie? Mówiliśmy o trzydziestu osobach, nie więcej.

– Tak? I co teraz? Mam im zabronić przyjść?

– Wiesz, co o tym myślę...

Camille przerwała jej. Dobrze znała tę śpiewkę.

– Wiem... „Jeden dorosły na piętnastu nieletnich”. – Zaraz złagodniała i dodała chytrze: – Ty i Joël będziecie pilnować trzydziestu.

– Otóż to. A co z pozostałymi piętnastoma?

– Tata.

– Twój ojciec? – wyjąkała nagle zmieszana Laura.

– Zapomniałaś, że po nas przyjeżdża. Halo, Ziemia! Jedziemy do niego na wakacje.

– Dziękuję, nie mam jeszcze aż takiej sklerozy. Ale myślałam, że przyjeżdża w przyszłą środę albo czwartek.

– Zmiana programu... Dzisiaj wieczorem ma spotkanie w Paryżu i śpi u ciotki Vanessy. Wysłał mi SMS-a. Przyjedzie jutro pierwszym pociągiem TGV. Będzie na mojej imprezie. I popilnuje tych piętnastu gości...

Laura nalala sobie następną filiżankę kawy, rozmyślając o związku, jaki łączył Camille i jej ojca. Zazdrościła im go. Zupełnie nie mogła tego pojąć. Sébastien, cokolwiek robił, cokolwiek mówił, zawsze zyskiwał jej uznanie, ona musiała uciekać się do podstępów, żeby utrzymać dobre relacje z córką. Camille po raz kolejny dawała tego dowód.

– Miło, że mi o tym mówisz. Ale dlaczego dowiaduję się ostatnia?

– Chciał ci zrobić niespodziankę... – Camille objęła matkę za szyję. – No coś ty, mam, nie cieszysz się? Nie widzieliśmy go od pięciu miesięcy.

– A dokładnie od świąt Bożego Narodzenia.

– Nie przyznajesz się, ale jestem pewna, że ty też nie możesz się doczekać, żeby go zobaczyć.

Laura milczała. Najbardziej irytowało ją to, że Camille miała rację.

– Justine i ja musimy kupić trochę rzeczy na jutrzejszy wieczór. Czy mogłabyś podrzucić mnie do Marsylii?

Laura nie widziała żadnych przeciwwskazań.

– Po południu muszę pojechać do notariusza. Odwiozę cię do centrum handlowego, dobrze?

– Super, uwielbiam cię.

I nastolatka zniknęła.

Laura płukała zlew, zastanawiając się, czy była wystarczająco

stanowcza w stosunku do swoich dzieci. Wychowywała je w zupełnie inny sposób, niż wychowano ją samą. Ona nigdy nie pozwoliłaby sobie prosić swojego ojca o podobne rzeczy. Popatrzyłby na nią z dezaprobatą i dumnie zignorował. Ale Laura wychodziła z założenia, że świat zmienił się od czasów jej dzieciństwa. Poza tym czuła się winna, że pozbawiała Camille i Enzo ich ojca. Musiała czasami okazać wyrozumiałość, a jednocześnie nie zgadzać się na wszystkie zachcianki. Laura było nieugięta w kwestii zachowania i nauki w szkole. Jej córka, która do czasu przeprowadzki na Przylądek Admirala była dobrą uczennicą, w następnej klasie straciła grunt pod nogami. Miała czternaście lat, jedyne, o czym marzyła, to zawieranie nowych przyjaźni. A znalazła się na skarpie nad zatoką, z dala od miasta, i to sprawiło, że poczuła się zagubiona. Zachowywała się coraz bardziej lekkomyślnie. Pół roku po tym, jak się przeprowadzili, Laura czekała na nią w strugach ulewnego deszczu na przystanku szkolnego autobusu, ale nie widziała, żeby córka wysiadła. Camille zjawiła się dwadzieścia minut później z miną niewiniątka; dała się podwieźć samochodem jakiemuś nieznanemu! Z biegiem czasu coraz bardziej zaniedbywała się w nauce i buntowała przeciwko matce. Laura długo była bezradna, aż znalazła sposób. Ponieważ dziewczyna przechodziła właśnie okres buntu i z nikim oprócz koleżanek się nie liczyła, zaproponowała jej zorganizowanie przyjęcia na zakończenie każdego trymestru, pod warunkiem że poprawi oceny w szkole. I tu nastąpił przełom. Na ponad dwa lata dom stał się miejscem spotkań hordy licealistów, których imiona z trudem udawało jej się zapamiętać. Camille, oprócz tego, że miała stały krąg bliskich przyjaciół, lubiła zawierać nowe znajomości.

Teraz jedynym punktem spornym był Sébastien. Dziewczyna ubóstwiała ojca. Był jej idolem, mógł robić i mówić cokolwiek, i tak zawsze miał rację. Laura nieraz sprzeciwiała się wobec jawnej

niesprawiedliwości. Pewnego dnia Camille, z uszczypliwością właściwą jej wiekowi, odpowiedziała jej bez mrugnięcia okiem:

– A ty nie stawiasz swojego ojca na piedestale?

Miała świętą rację.

Po obiedzie Laura zostawiła Camille przed centrum handlowym i pojechała do biura notarialnego mecenasa Dubré-Lacaze'a. Zaparkowała swojego fiata 500 na dziedzińcu rezydencji przy alei Prado, po raz kolejny zastanawiając się, co tu właściwie robi. Po co ją wezwano? Dla spokoju sumienia ostatni raz rzuciła okiem na pismo, jakie dostała przed dwoma tygodniami, chcąc się upewnić, że nie umknął jej żaden szczegół. Potem westchnęła i wysiadła z samochodu. Budynek, otoczony starannie utrzymanym parkiem, przypominał dziewiętnastowieczny pałacyk z ozdobnymi kolumnami, majestatyczną bramą wjazdową i neoklasycznym frontonem, przyozdobionym gryfami. Kamery śledziły każdy ruch gości aż do drzwi wejściowych.

Otworzyła jej kobieta w szarym kostiumie i poprowadziła za sobą. Laura odpowiedziała uśmiechem i podążyła za nią. Stukot ich obcasów rozbrzmiewał na marmurowej posadzce. Zaprowadzono ją do salonu umeblowanego berżerami i kanapami w stylu regencji. Poczekalnia wyglądała jak przedpokój gabinetu ministra. Taka sceneria nie była jej obca, przeciwnie, budziła wiele wspomnień. Ileż to ambasad, pałaców prezydenckich i willi prominentów zwiedziła, żyjąc z Sébastienem? Zdecydowanie za dużo. Podczas ich zagranicznych wyjazdów mąż nie oszczędził jej ani jednej kolacji, ani jednego przyjęcia. Przepych, łatwość, z jaką zawiązywały się w tym towarzystwie płytkie i powierzchowne relacje między bogatymi i nowobogackimi, pogarda, jaka potrafiła kryć się za sztucznymi wyrazami przyjaźni i pieniądze, które rządziły całym tym baletem osobistości – przejadły się jej. Nie znosiła światowego życia.

Usiadła i wzięła jeden z magazynów leżących na okrągłym stoliku.

Sekretarka w szarym kostiumie wprowadziła do pomieszczenia jakiegoś mężczyznę.

– Pani także została wezwana na odczytanie testamentu Soubeyrana?

– zapytał, zajmując miejsce naprzeciwko niej.

Laura przytaknęła skinieniem głowy. Wydawał się zdenerwowany i dodał konfidencjonalnym tonem:

– Wie pani, pracowałem z nim przez dziesięć lat. Jeśli mogę dać pani jakąś radę, to proszę mieć się na baczności, bo wszystko, co on ofiarowuje, ma swoją cenę...

Ledwo skończył, weszła kobieta, mniej więcej sześćdziesięcioletnia, z żółtymi włosami zaczesanymi w kok. Miała przygnębioną minę. Dziesięć minut później całą trójkę wprowadzono do gabinetu mecenasa Dubré-Lacaze'a. Laura przeszła przez podwójne, obite drzwi i znalazła się w wytwornym biurze, wyłożonym mahoniem, co przywiodło jej na myśl pokrywę, którą ktoś przykrył wstydlive sekrety rodzinne. Zrobiło się jej duszno. Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna około czterdziestki, wyraźnie odróżniający od staroświeckiego wystroju.

– Mecenas Henri Dubré-Lacaze – przedstawił się swoim klientom. – Przejąłem biuro po moim ojcu.

Laura spojrzała na prawnika z rozbawieniem. W niczym nie przypominał typowego notariusza starej daty. Henri Dubré-Lacaze, w garniturze włoskiego kroju, wydał się jej zadziwiająco młody i dynamiczny.

– Proponuję, abyśmy od razu przeszli do przedmiotu naszego spotkania.

Wystudiowanym gestem i z nieznośną powolnością otworzył teczkę leżącą na biurku w stylu empire i odczytał treść testamentu swojego nieodżałowanej pamięci klienta. Z uwagi na brak bezpośrednich spadkobierców zmarły pozostawił w spadku Rémy'emu, swojemu

sekretarzowi – mężczyźnie, który ostrzegał Laureę przed dobrodziejstwami wyświadczanymi przez jego pracodawcę – portfel papierów wartościowych. Hélène, gospodyni, zostawiał nieruchomości. Laurze zaś przypadły w udziale tereny leżące na szczycie Przylądka Admirala. W ostatnim przypływie przezorności Soubeyran uregulował opłaty związane z postępowaniem spadkowym, aby żaden z jego spadkobierców nie został obciążony jakimikolwiek kosztami. Cała trójka spojrzała po sobie, rozdarta między niedowierzaniem a konsternacją. Czyżby pod pancierzem odpychającego i despotycznego człowieka kryło się serce?

Mecenas Dubré-Lacaze przygasił wybuchy entuzjazmu, odczytując klauzule dotyczące warunków przejęcia spadku. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego Rémy i gospodyni musieli zadbać o przetrwanie nazwiska Soubeyrana, które wygasało wraz z jego odejściem. Sekretarz skinął głową, przeświadczony o bezsensowności tego przedsięwzięcia, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Gospodyni siedziała z zasepioną miną. Prawdopodobnie każą wygrawerować tablicę pamiątkową przed wejściem do domu i nikt przez całe lata więcej się nią nie zainteresuje. Laurze nie stawiano żadnych warunków. Opuściła gabinet notariusza w stanie osłupienia. A niech to, co za historia!

3

Pierwszą reakcją, zanim siadła za kierownicą, był telefon do Joëla, ale nie odbierał. Zakłęła pod nosem. Dzięki temu darowi niebios Laura i Bossis mogli być pewni, że uda im się objąć ich małą *calanque* ścisłą ochroną w ramach parku narodowego i ochronić ją przed zakusami deweloperów. Zadzwonął telefon komórkowy. To Camille.

– Justine zaprasza mnie do siebie na noc. Jej mama się zgadza. Przyjedziesz po mnie jutro rano, zanim pojedziesz odebrać tatę z dworca?

– Mogę przejechać.

– Dziękuję, mamó. Kocham cię, kocham...

Laura uśmiechnęła się, nie dając się zwieść nagłemu przyływowi czułości. Kiedy dzieci korzystają z tego, co podoba się rodzicom, wszystko układa się jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Jadąc polną ścieżką, prowadzącą serpentynami do plaży na Przylądku Admirala, pomyślała o czekającym ją nieuchronnie rozwodzie. Po trzech latach życia w separacji nadszedł czas, aby wziąć sprawy w swoje ręce i poważnie porozmawiać z Sébastienem. Jego przyjazd był ku temu dobrą okazją. Gdy rozmyślała na ten temat, inna myśl przyszła jej do głowy.

Zatrzymała fiata przed działką Soubeyrana i przemierzyła trzy tysiące metrów kwadratowych powierzchni swojej nowej posiadłości. Z najwyższego szczytu skarpy rozciągał się przepiękny widok, po lewej stronie na zatokę Cassis, po prawej na wyspę Riou, której kontury rysowały się w oddali. Patrząc w dół, Laura widziała, jakieś trzydzieści metrów niżej, dach swojego domu, dalej zatokę, plażę i molo, do którego

przycumowana była łódź Joëla, nie większa niż łupina orzecha. Z jakich powodów Soubeyran przekazał jej w spadku tak wspaniały taras widokowy? I dlaczego jej? Czy zrobił to przez pamięć o jej ojcu? Czy miał z nim coś wspólnego? Było tyle pytań, które nie dawały jej spokoju, że postanowiła niezwłocznie odnaleźć Joëla Bossisa.

W domu go nie było. Mógł być w szopie, nad zatoką. Laura ruszyła znaną na pamięć ścieżką. Znała każdą nierówność chodnika, wykutego w zboczu skały przez jej ojca i Joëla. W tym miejscu, przy przewężeniu zatoki, woda przybierała odcień szmaragdowy i z trudem można było dostrzec dno. Hałaśliwe fale przynosiły przesiąknięte jodem zapachy, a cień sosny alepskiej, wznoszącej się kilka metrów nad nią, rozmywał się wśród morskich odmętów. Przy molu dostrzegła swojego syna i Joëla, krzątających się po pokładzie niewielkiego jachtu.

Na chwilę zamknęła oczy i przeniosła się w czasy dzieciństwa. Miała wtedy mniej więcej tyle lat, co dzisiaj Enzo. Była dzikuską spędzającą większość czasu w wodzie albo biegającą bosą po nadmorskich zaroślach. Przylądek Admirala był jej królestwem, ona była jego księżniczką. A królem Gilbert. Co wieczór, po powrocie ze szkoły, wkładała kostium kąpielowy i najszybciej, jak umiała, przemierzała wpław całą zatokę, żeby do niego dołączyć. Gilbert przerywał wtedy pracę i siadał przy niej na chwilę, tyle żeby zapalić papierosa.

– Jak ci minął dzień? – pytał, sięgając do papierośnicy. – Jak klasówka z matematyki?

– Zrobiłam wszystkie zadania – zapewniała.

– Dobrze. Bardzo dobrze. A angielski?

To nie był jej ulubiony przedmiot, ale starała się, jak mogła.

– Może być.

Na te słowa twarz Gilberta pochmurniała. Chciałby jej pomóc, ale nie potrafił. Zapalał więc zapałkę, długo zaciągał się papierosem, potem

siedział w milczeniu, zanim zgniótł niedopałek o molo. Często zostawał z nią jeszcze parę minut dłużej, żeby „skręcić sobie następnego na później”. Potem wracał do pracy. Laura, jeszcze cała mokra i trzęsąca się z zimna, przyglądała mu się jak urzeczona. Stwardniałe ręce ojca precyzyjnym i sumiennym ruchem szlifowały kadłub łodzi albo przeżarte rdzą okucia pokładowe, przywracając im pierwotny blask. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Gilbert uczył córkę szacunku dla dobrze wykonanej pracy.

Po zaginięciu Gilberta jego wspólnik, Joël Bossis, kontynuował działalność i choć był w wieku, w którym mógłby przejść na emeryturę, nie zamierzał rezygnować. Gdy trzeba było naprawić silnik albo zepsutą śrubę, nie miał sobie równych. Bossis, choć skończył już sześćdziesiąt pięć lat, zachował suche i sęcate ciało, jakie miał dwadzieścia lat wcześniej. Prowadził ascetyczny tryb życia i miał tylko jedną słabość: nieustannie nosił na głowie czapkę z daszkiem, pod którą chował łysinę, do której nigdy się nie przyzwyczał. Na dworze czapka chroniła go przed słońcem, ale nosił ją także w pomieszczeniach i zdejmował, dopiero kładąc się łóżka. Właściwie przestał już o niej pamiętać.

Słyszając Laurę, Bossis się odwrócił.

– No i co?

– Nie uwierzysz... Odziedziczyłam działkę po Soubeyranie!

Joël Bossis odłożył narzędzia. Zdjął okulary o półokrągłych szklach i trzymał je w dłoni, nie bacząc na to, aby złożyć metalowe zauszniki, całe powyginane i wytarte od długiego używania.

– Co takiego?

– Portfel akcji zostawił swojemu sekretarzowi, nieruchomości gospodyni, a ziemię – mnie... Dlaczego? Nic z tego nie rozumiem!

Joël wykrzywił się tylko w grymasie powątpiewania i wrócił do swoich zajęć. Enzo czekał na niego z pracą.

– No cóż... To chyba dobra wiadomość – powiedział, pocierając kaptur łodzi papierem ściernym.

– Raczej tak – przytaknęła Laura. – Dzięki temu na najbliższym zebraniu PNC będziemy mieli dodatkowy argument, który pomoże nam bronić naszego punktu widzenia i wpisać Przylądek Admirala do centralnej części parku narodowego.

– To prawda.

Laura wahała się przez chwilę, po czym zapytała bez ogródek:

– Czy Soubeyran miał jakiś związek z moim ojcem?

Joël podniósł na nią wzrok.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Ale Laura nie dawała za wygraną.

– Chodzi mi o to, czy miał jakiś związek z zaginięciem taty...

– Dajże spokój! Co ci przychodzi do głowy?

– Nie wydaje ci się dziwne, że człowiek, którego prawie nie znaleźliśmy, zostawia nam w spadku swoją ziemię? Co o tym myślisz?

Słyszając to, Enzo chciał zadać jej jakieś pytania, ale Laura go uciszyła. Zależało jej na opinii Joëla. Ten, jak to miał w zwyczaju, najpierw długo się zastanawiał.

– Ten stary sknera – odparł w końcu – przez całe życie zachodził wszystkim za skórę. To był kawał drania, możesz mi wierzyć. Kto wie, może chciał odkupić swoje grzechy, zanim zszedł z tego świata? Może miał nadzieję, że postawimy mu pomnik!

Laura uśmiechnęła się, choć w głębi duszy czuła, że za tym spadkiem coś się kryło. Coś niepokojącego.

4

Ależ on jest jednak przystojny”, pomyślała, spostrzegłszy Sébastiena na peronie wśród tłumu ludzi wysiadających z pociągu TGV przyjeżdżającego z Paryża. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Rasowa elegancja. Idąc ku nim, nonszalanckim gestem niósł na ramieniu bagaż. Gdy zauważył dzieci, jego twarz rozpromieniła się w olśniewającym uśmiechu.

– Jak ja za wami tęskniłem, moje aniołki!

Laura patrzyła, jak przytulał Camille i Enza, gdy wybiegli mu na spotkanie. Nie wątpiła w jego szczerość, ale dla niej samej ten rozdział był już zamknięty. Jej mąż-podróżnik nie dostanie biletu powrotnego.

Poznali się na imprezie studenckiej. Laura studiowała wówczas grafikę w Paryżu. Chciała uciec jak najdalej od Przylądka Admirala i tragedii, jaką przeżyła. W tamtym czasie nie miała ochoty z nikim się spotykać. Chciała jak najszybciej zacząć pracować i zdobyć niezależność, gdyż poza pieniędzmi, jakie posyłał jej Joël, żeby pomóc opłacić studia, nie miała żadnych środków do życia. Współlokatorce, z którą dzieliła mieszkanie, udało się w końcu namówić ją na wspólne wyjście. Laura poszła z nią bez entuzjazmu. Nikogo tam nie знаła, wszyscy więcej pili, niż się bawili. Czuła się nieswojo, zaszyła się sama w kącie. Nie na długo. Podszedł do niej ktoś, kto był równie zakłopotany.

– Co za podły wieczór – odezwał się do niej Sébastien. Po czym dodał, jakby na swoje usprawiedliwienie: – Moja dziewczyna to ta, która pręży się między trzema facetami...

Na parkiecie jakaś młoda kobieta kołysała się lubieżnie, rozgrzewając

otaczających ją, rozbawionych mężczyzn.

– Chyba muszę się przewietrzyć – powiedział. – Ty nie?

Wyszli razem na balkon w chłodną noc. Długo rozmawiali. Miesiąc później byli razem i nie rozstali się już przez dwadzieścia lat. Laura pojechała za nim na drugi koniec świata i dała mu z miłości dwoje dzieci. Również z miłości zgodziła się, żeby kariera Sébastiena oddaliła go od rodziny, jaką tworzyli. Aż do dnia, gdy zmęczona wędrownym życiem i nieobecnością męża, postanowiła wrócić na Przylądek Admirala.

Dziś, widząc go na peronie dworca Saint-Charles w Marsylii, pięć miesięcy po tym, jak widzieli się po raz ostatni, nie zmieniła zdania. Oddała się temu mężczyźnie bez reszty i równie bezwarunkowo odeszła, gdy stwierdziła, że ich związek się zakończył. Zachowała szacunek dla Sébastiena, uważała, że był pociągający, ale nigdy nie będzie człowiekiem, z którym chciałyby się zestarzeć. Utwierdziła się w tym przekonaniu kilka godzin później, gdy postanowili wybrać się całą rodziną na piknik na wyspę Riou.

Podróż łodzią minęła znakomicie, dzieci były wniebowzięte, ona rozkoszowała się chwilami relaksu i harmonii, niemal zapominając, że były tylko przerywnikiem w rodzinie, która już nie istniała. Potem telefon komórkowy Sébastiena zawibrował. Po raz pierwszy. Stojąc przy sterze motorówki, udał, że niczego nie słyszy, ale wkrótce odsunął się na bok, żeby odpowiedzieć na wiadomość. Laura udała, że nie wie, o co chodzi. Po separacji każde z nich miało prawo żyć własnym życiem. Jej życie było skupione wyłącznie wokół dzieci i ich zajęć. Nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby związać się z mężczyzną albo wdawać się w romans.

Po przybiciu do wyspy położyli się na skałach, pławiąc się w słońcu. Smartfon Sébastiena zadzwonił po raz kolejny. Laura, leżąca obok niego,

podniosła głowę i zauważyła zdjęcie młodej, najwyżej dwudziestoletniej blondynki, które wyświetliło się na ekranie dotykowym. Pod nim widniało napisane drukowanymi literami angielskie imię: KATHLEEN...

Sébastien wstał i odszedł na bok, aby porozmawiać. Gdy wrócił, Laura wiedziała już, co powinna zrobić. Nic nie powiedziała i czekała na odpowiedni moment, żeby wyjawic, co chodziło jej po głowie.

– Kto to jest Kathleen? – zapytała, gdy dzieci poszły się kąpać i zostali sami.

– Koleżanka... Pracuje w agencji prasowej w...

Laura nie dała mu dokończyć zdania. Nie musiał się usprawiedliwiać. A ona nie musiała mu wierzyć.

– Chcę rozwodu – powiedziała.

– Rozvodu?

– Tak, rozwodu. Od trzech lat odsuwamy go w czasie. To nie wychodzi na dobre ani tobie, ani mnie. Najwyższy czas, żebyśmy wyjaśnili wszystko sobie nawzajem i dzieciom.

– Ale dlaczego? Dzieci mają się dobrze, a jeżeli założę własną firmę, nie będę już musiał jeździć po całym świecie.

– Daj spokój, Sébastien. Między nami wszystko skończone. Ty masz swoje życie (wskazała ruchem głowy na telefon, który wciąż trzymał w dłoni), ja mam swoje. Nadszedł czas, żeby unormować pewne sprawy.

W głosie Laury nie było cienia goryczy. Sébastien milczał. Odwrócił wzrok w stronę Enza i Camille, którzy rzucili się na koszyk z prowiantem i udawali, że nie zwracają na nich uwagi.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał, jakby ze skargą. – Ja cię nadal kocham...

Laura musnęła go po szyi czułym gestem.

– Seb, nie ma już czego ratować. Po prostu tak jest i to nie tylko twoja wina. Ja też jestem za to odpowiedzialna.

Pochylił się nad nią i próbował ująć dłoń, którą pogładziła go ukradkiem.

– Kathleen się nie liczy, jeśli chcesz wiedzieć.

To ją ubodło.

– Nie chcę o niczym wiedzieć! Proszę cię tylko, żebyś zachował się jak dorosły i wyraził zgodę na rozwód. Im spokojniej się to odbędzie, tym mniej będziemy cierpieć, i my, i dzieci.

Zamilkł. Pod wieczór, po powrocie do domu, wziął Laurę na bok i łamiącym się głosem wygłosił tyradę, która miała być możliwie jak najszczersza. W jego życiu zawsze będzie tylko ona, była największą miłością jego życia i matką jego dzieci. Cokolwiek by się działo, zawsze może na niego liczyć.

Zgadzał się na rozwód. Wielkie nieba. Laura pozwoliła mu przyjąć tę rolę, bez wątpienia jedyną, jaka nie uraziłaby jego dumy. Tego wieczoru przyniosła poduszkę i koce swojemu przyszłemu byłemu mężowi i poprosiła, żeby spał na kanapie w salonie. W nocy nie mogła zasnąć, myśli kłębiły jej się w głowie. Nagle zdała sobie sprawę, że nie powiedziała Sébastienowi ani słowa na temat spadku, jaki dostała po Marcelu Soubeyranie. Chociaż właściwie to już go nie dotyczyło. Ani utworzenie parku narodowego, ani dręczące ją pytania na temat zaginięcia ojca, które od pewnego czasu znowu zaczęły powracać.

W końcu zasnęła...

Otwiera oczy i widzi siebie w wodzie, wciągniętą w wir, z maską do nurkowania na twarzy. Pogrąża się w otchłań, bezsilna, jakby sparaliżowana lodowatym uściskiem fal. Chce nabrać powietrza, ale brakuje jej tlenu. Zaczyna się dusić, mąci jej się wzrok, głowa pęka. Zdjęta paniką zrywa maskę... Za kilka sekund woda wypełni jej płuca i pociągnie na dno. Laura szamoce się, usiłuje wydostać na powierzchnię...

Obudziła się z krzykiem, siedząc na łóżku, ściskając w dłoniach prześcieradło. To był tylko koszmar, straszny koszmar, który będzie towarzyszył jej przez cały następny dzień.

Dopiero teraz pan do mnie dzwoni? – rzuciła wściekle do słuchawki.

Była w kuchni, głowę miała jeszcze mokrą po porannej kąpieli w morzu. Maya leżała pod stołem.

– Dzisiaj wieczorem przychodzi do mnie czterdzieści pięć osób, a ja nie mam im co dać do jedzenia. Współczuję, że lumbago przykuło pana do łóżka, ale co ja mam teraz zrobić?

Odłożyła słuchawkę. Restaurator zostawił ją na lodzie na dwanaście godzin przed planowanym przyjęciem i bez planu awaryjnego. Była przerażona. Odkąd wróciła na południe Francji, nie mogła przywyknąć do ludzkiej bez troski. Nic nie było ważne, nikt się niczym nie przejmował. Siedząca naprzeciwko niej Camille załamała rękę.

– I co teraz zrobimy?

– Tylko spokojnie, znajdę jakieś rozwiązanie, choćbym miała przez cały dzień robić zapiekanki.

– Nie żartuj, mam! Przecież ty beznadziejnie gotujesz.

Laura nie wiedziała, co odpowiedzieć. Camille miała rację. Nawet makaron jej się nie udawał, był albo rozgotowany, albo za twardy. Kiedy musiała przygotować posiłek, sięgała do zamrażarki i włączała kuchenkę mikrofalową. Konieczność ugotowania czegoś do jedzenia powodowała u niej kompletną pustkę w głowie; nie potrafiła nic wymyślić, a tym bardziej wykonać. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to obdzwonić wszystkich restauratorów w okolicy. Wyjęła książkę telefoniczną i chwyciła za słuchawkę.

– Cześć, dziewczyny! – zawołał Sébastien, wchodząc do kuchni. – Dlaczego macie takie ponure miny?

Nikt mu nie odpowiedział. Nalał sobie filiżankę kawy i włączył radio.

– Tato, proszę cię – jęknęła Camille – oszczędź nam wiadomości z samego rana...

– Przepraszam, skarbie, wychodzę na taras...

Otworzył drzwi balkonowe, wyszedł i usiadł w fotelu z radiem w ręce. Laura zatkała sobie ucho i skupiła się na rozmowie przez telefon.

– Nie, dzisiaj wieczorem. Przyjęcie dla młodzieży, około czterdziestu osób... Przekąski, zapiekanki, pizze. I kilka *verrines*^[5]... Może pan? Jeżeli nie, to zadowolimy się zapiekankami.

Załamana odłożyła słuchawkę. Wszyscy odmawiali! Spojrzała przepaszająco na córkę.

– Mogę wam w czymś pomóc? – zapytał Sébastien, stając w progu.

– Jeżeli znasz jakiegoś dobrego restauratora, to chętnie skorzystam – odparła Laura.

– Nie, ale znam świetny sklep z mrożonkami.

Odłożył filiżankę do zlewu i objął Camille.

– Niczym się nie martw, Lauro, wszystkim się zajmiemy.

Enzo, który właśnie schodził na śniadanie, został natychmiast zwербowany.

– Młody człowieku, jeżeli chcesz pojechać ze swoim ojcem i siostrą, masz pięć minut, żeby się przygotować. Jedziemy po prowiant dla wojska.

Po ich wyjściu Laura zabrała listę pilnych sprawunków, które musiała zrobić przed południem. Jeżeli przyjdzie piętnaście dodatkowych osób, zabraknie jej szklanek, talerzy i serwetek. Przy okazji kupi świece, więcej napojów gazowanych i przekąski na wypadek, gdyby Sébastien nie znalazł nic do jedzenia. Pomysł z

mrożonkami nie uśmiechał jej się ani trochę! Gdy czasami – choć rzadko – zdarzało jej się uciekać do tego typu rozwiązań, produkt, który otrzymywała po wyjęciu z piekarnika bardzo, ale to bardzo odbiegał wyglądem od obiecującego obrazka na opakowaniu. Delikatne smakołyki przybierały konsystencję lepkiej mazi, a tartaletki kurczyły się podczas pieczenia. Może przy odrobinie szczęścia uda jej się kupić u wędliniarza w porcie parę dań na wynos, które będą smaczne. Ruszyła w drogę.

Piątek w Cassis to dzień targowy. Uliczki wokół portu były obleżone przez kupujących. Zeszli się mieszkańcy całego miasta, dźwigając koszyki i ciągnąc wózki na zakupy. Było gwarno i radośnie, jak to na południu Francji, ale przejechanie samochodem, nawet tak małym, jak fiat, graniczyło z niemożliwością. Laura znalazła miejsce do parkowania, które jakimś cudem właśnie się zwolniło, i poszła dalej pieszo, łokciami torując sobie drogę do kolorowych straganów na placu Baragnon. Kierowała się właśnie w stronę wędliniarni, gdy zapach dolatujący z różna zaostrzył jej apetyt. Była godzina jedenasta trzydzieści, a ona od wczoraj nie miała nic w ustach, poza dwiema marchewkami, które schrupała przed snem, i jednym spalonym tostem. Ledwo weszła do sklepu, gdy jej ostatnie nadzieje się ulotniły. Wszystkie dania dnia zostały wyprzedane. Laura pobiegła do delikatesów, aby kupić brakujące serwetki, plastikowe kubeczki i talerzyki. Wychodząc, zadzwoniła do Sébastiena, chcąc dowiedzieć się, jak przedstawia się sytuacja z zakupami. Bez odpowiedzi. Zrezygnowana, już miała wracać, gdy jej oczom ukazał się taras Admiralicji, restauracji portowej. Usiadła przy stoliku.

– Czego pani sobie życzy? – zapytał kelner.

A niech to! Była głodna jak wilk.

– Poproszę o kartę dań.

Menu wyglądało zachęcająco. Zamówiła grillowane raki i *ratatouille*^[6] ze świeżych warzyw. Danie, które przyniesiono jej niedługo potem, zachwycało bogactwem smaków. Kiedy kelner przyszedł zabrać talerz, zapytała na chybił trafił:

– Czy szef kuchni nie robi przypadkiem dań na wynos?

Została już tylko godzina do przybycia pierwszych gości, a Laura wciąż jeszcze nie była gotowa. Po powrocie z Cassis zajmowała się dopinaniem szczegółów na ostatni guzik, stawiając sobie za punkt honoru, żeby wszystko udało się idealnie. To był jej sposób na okazywanie córce, jak bardzo ją kocha. Chciała też pozostawić jej miłe wspomnienia przed wyjazdem na wakacje. Przyjęcie było czymś więcej niż tylko zwykłą imprezą, jakie nie raz organizowała w ciągu ostatnich lat. Dziś Camille świętowała zakończenie pierwszego etapu młodości, zakończenie nauki w liceum. Laura włożyła bladożółtą sukienkę, uczesała włosy, złote, gęste i falujące, czarną kreską pokreśliła kontur oczu. Były ciemnozielone, nakrapiane złotymi refleksami. Tylko z nich była dumna, gdy przeglądała się w lustrze.

– Może być – stwierdziła, jednocześnie prosząc Mayę, żeby dała jej chwilę spokoju.

Biedne zwierzę nie opuszczało jej na krok, nie wiedząc, gdzie się schować przed harmidrem panującym w całym domu. W głębi duszy Laura była pełna obaw. Restaurator wciąż jeszcze nie przyjechał. Zaczęła się zastanawiać, czy jak zwykle nie zgrzeszyła zbytym optymizmem. Camille się niecierpliwiła, a Sébastien, z nosem w smartfonie, próbował zachować spokój. Enzo spędził całe popołudnie, przygotowując *playlistę* na komputerze. Teraz siedział beczynn timer z drwiącą miną, która działała wszystkim na nerwy. Napięcie rosło z minuty na minutę. Nadciągała katastrofa. Laura wyszła na taras, żeby zapalić ostatnie świece i sprawdzić wystrój. W porządku. Wszystko

było na swoim miejscu. Bufet przykryty białym obrusem, przystrojony stół, lśniące nakrycia, muszle porozkładane między lampionami... W czterech narożnikach parkietu do tańca Sébastien zamontował projektory i podłączył głośniki. Niczego nie brakowało, poza jedzeniem!

– Gdzie położyć tace? – odezwał się nagle głos tuż za nią.

Laura, która stawiała właśnie stos talerzy na jednym ze stołów, odwróciła się i odetchnęła z ulgą, widząc kelnera z Admiralicji. Niósł ogromną tacę z apetycznie wyglądającymi *verrines*.

– Już myślałam, że pan o mnie zapomniał.

– Szef skończył pani zamówienie dopiero pół godziny temu.

– Uratował mi pan życie.

Laura podziękowała mu serdecznie, zapłaciła i wsunęła w dłoń banknot, po czym oznajmiła wszystkim, że pozostaje już tylko czekać.

– Czekać? Chyba żartujesz! – zawołała Camille. – Czy ktoś pomyślał o tym, żeby włożyć napoje do pojemników z lodem?

Laura o mało nie wybuchnęła. Jej córka zawsze szukała dziury w całym.

– Napoje zdążą się schłodzić, zanim przyjdą twoi goście. Zresztą, o wilku mowa... Czekają na ciebie. Do dzieła!

Wraz z przybyciem pierwszych gości Laura stanęła przy wejściu i informowała o obowiązujących zasadach dotyczących picia alkoholu. W razie nadużyć zastrzegła sobie prawo karania rozrabiaków. Wystarczyło zadzwonić po rodziców, żeby przyjechali zabrać swoje potomstwo. Kończyła wartę przy wejściu, gdy Sébastien podszedł do niej i szepnął jej na ucho:

– Przeszłaś samą siebie.

– Dziękuję.

– Spójrz na naszą córkę, jest wniebowzięta.

Camille stała promienna wśród grupki przyjaciół, ubrana w

czerwoną sukienkę, w której było jej bardzo do twarzy. Sébastien pocałował Laurę w szyję. Pocałunek się przedłużał.

– Proszę cię, przestań – poprosiła cicho, odsuwając się od niego.

Sébastien odjął usta. Poczul się zraniony.

– Kiedyś to lubiłaś.

– Tak, kiedyś.

– Zatem wszystko skończone?

– Sébastien! Nie zaczynaj. Wszystko sobie wyjaśniliśmy.

– Jesteś tego pewna? Jutro będzie za późno. Nie zapominaj, że wyjeżdżam z dziećmi do Johannesburga...

– Nie, nie zapominam. Przeciwnie, uważam, że tak będzie lepiej. Ty nie będziesz sam, a ja, korzystając z okazji, zamierzam wyremontować dom przed ich powrotem.

– Cóż za pragmatyzm! Innymi słowy, odkładasz mnie na półkę i czekasz, aż pokryje mnie kurz...

Laura nie chciała scen dziś wieczorem.

– Przepraszam, Seb, powiedziałam to niezręcznie, ale zrozum, widocznie w ten sposób opłakuję zakończenie naszego małżeństwa – rzucając się do pracy. I nigdy nie schowam cię na dno szuflady... Przecież kochałam cię do szaleństwa.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź. Nagle nie mogła się już doczekać, żeby dom opustoszał. Ale o tym, co ją czekało, nikt, oprócz niej samej, nie mógł decydować. Serce ścisnęło jej się na tę myśl. Pomyślała o ojcu, który utonął i nie został pochowany, o swoim smutku, który nie mógł znaleźć sobie miejsca i podążał za nią krok w krok, i znowu poczuła się osierocona. Zrywając więzi małżeńskie, wracała do samotności i pytań, tak wielu pytań, które pozostały bez odpowiedzi...

Po przyjęciu nie miała siły sprzątać, ogarnęła tylko pobieżnie taras, tym bardziej że wszyscy poszli spać, niczym się nie przejmując.

Przebiegła wzrokiem szczyty skarpy, trudno dostrzegalne po zachodzie księżycy. Mroczne szańce pilnie strzegły swojej tajemnicy.

6

Siedziała skulona na kanapie, przyciskając poduszkę do brzucha. Wcześniej rano dzieci wyjechały razem z ojcem, a jej odechciało się wszystkiego. „To normalne, wychodzi z ciebie zmęczenie...” Tak myślała, chcąc pozwolić sobie na beczynne snucie się po domu. Co gorsza, zaniedbała nawet poranną kąpiel w morzu. W ostatnich dniach zbyt wiele było napięć i stresów, a przeprowadzona poważna rozmowa z Sébastienem sprawiła, że poczuła zarazem ulgę i pustkę. Nie chciało jej się siadać do pracy przy desce kreślarskiej, nie miała też siły zabrać się do remontu domu, który obiecała sobie zrobić. Maya, jakby dzielając jej stan ducha, ze współczuciem położyła głowę na brzegu kanapy.

– Tak, tak, moja psinko, dzieci wyjechały. No i zostałyśmy same, we dwie.

Ciszę panującą w salonie przerwało gwałtownie brzęczenie telefonu. Laura sięgnęła po komórkę leżącą na stoliku. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się znajomy głos. Lekko przytłumiony, nie do pomylenia z żadnym innym.

– Witaj. Co słyszeć? Nie, nic nie mów! Zrób się na bóstwo i przygotuj do wyjścia. Wpadnę po ciebie za pół godziny.

– Ale... Nie jesteś w Paryżu?

– Nie, przyjechałam dzisiaj w nocy, i nie tylko po to, żeby wylegiwać się na słońcu... Wszystko ci opowiem. Domyślam się, że nie jesteś w najlepszej formie po wyjeździe dzieci. Oto więc jestem!

– Uwielbiam cię!

Tylko Renée potrafiła pojawić się w jej życiu jak gdyby nigdy nic,

sprawiając, że nabierało tempa i rumieńców.

– To na razie – dodała Renée. – Urządzimy sobie babski wypad jak za dawnych dobrych czasów.

Laura nie miała w planach wyjścia na miasto, ale wiedziała, jak uparta potrafiła być przyjaciółka. Opieranie się jej kosztowało więcej wysiłku niż podążanie za nią.

– Odejdź, psinko – powiedziała, odpychając łagodnie Mayę. – Muszę się ubrać. Przejeżdża Renée.

Ich przyjaźń sięgała czasów liceum. Laura wspominała to, zakładając letni kostiumik. Zaczynała wtedy naukę w pierwszej klasie liceum w Marsylii i nie miała żadnej przyjaciółki. Wszystko było inne, droga, ogrom szkolnego gmachu, nie mówiąc o samym mieście, hałaśliwym i brudnym, do którego nie mogła przywyknąć, tak bardzo różniło się od tego, co dotychczas zaznała w swojej małej *calanque*. Renée pierwsza odezwała się do niej.

– Jak ci się podoba nowa buda? – zapytała dziewczyna o bujnej czuprynie płomiennie rudych włosów, gęstych jak u gorgony.

Renée miała niezwykłą urodę, w rodzaju tych, o których nie wiadomo, czy zazdrościć, tak bardzo wyróżniają się spośród innych. Laura była zdumiona faktem, że taka piękność może się nią interesować, nią, nową uczennicą schowaną w kącie szkolnego podwórka. Ale wysoka rozmówczyni – w tamtym czasie przewyższała Laurę o głowę – nie dała jej dość do słowa.

– Jedna wielka banda smarkaczy! Sami gówniarze! A widziałaś babkę od francuskiego? Niech mi tylko zrobi jakąś uwagę, to zwiewam z jej lekcji!

Renée sprawiała wrażenie bezczelnej, ale w rzeczywistości była błyskotliwą uczennicą, mówiła biegle po angielsku, francusku i niemiecku, a rzeczona pani od francuskiego, podobnie jak pozostali

nauczyciele, mogliby obsypywać ją pochwałami na każdej wywiadówce na zakończenie trymestru. Ale Renée broniła się przed opinią dobrej uczennicy, to ją denerwowało.

– To tak jak wyścigi konne. Niby wygrywasz, ale prawdziwym zwycięzcą jest koń. Ja mam pamięć, która za mnie pracuje. Słyszałaś o hipermnemzji?

Laura nie słyszała. Renée uważała to niemal za kalectwo. Pamiętała wszystko, przynajmniej na tyle długo, żeby odtworzyć co do słowa to, czego uczono ich na lekcjach.

– Ale żeby znaleźć klucze do szafki albo tampony, to nie!

Wraz z upływem miesięcy Laura, którą początkowo onieśmielał cięty język nowej przyjaciółki, nauczyła się ją poznawać i doceniać. Renée także prawie nie знаła swojej matki, która wyszła ponownie za mąż i mieszkała za granicą. Jej ojciec, nauczyciel akademicki, piastujący urząd państwowy na szczeblu lokalnym, rozpieszczał ją niczym największy skarb swojego życia. Laurę i Renée łączył brak matki i pytania, których inni nie byli w stanie zrozumieć. Poza tym za fasadą szumu, jaki robiła wokół siebie, ciętego języka i tupetu, Renée dała się poznać jako osoba lojalna i niezawodna. Nie było w niej cienia małostkowości ani upodobania do intryganctwa czy zawiści, czym trudniła się banda klasowych sekutnic. Miała wreszcie cechę, którą imponowała Laurze: śmiałość.

– Nie ma się czego bać! – powiedziała jej kiedyś. – Strach to najlepszy pretekst, żeby zmarnować sobie życie. Więc do dzieła!

Laura szybko nabrała ogłady, a prostolinijny i łagodny charakter zjednywał jej nowych przyjaciół w liceum. Ale dbała o to, aby wprowadzić Renée w krąg swoich znajomych, choć silny charakter i szczerość przyjaciółki niejednemu działały na nerwy. Renée była jej za to wdzięczna w głębi serca. Gdy, będąc w klasie maturalnej, Laura

straciła ojca, to ona pierwsza przyszła jej z pomocą, proponując nawet chwilowe zakwaterowanie w wytwornym apartamencie, gdzie mieszkała jej rodzina, niedaleko pałacu Longchamps. Stały się nierozłączne, wspierały się nawzajem w trudnych chwilach, zachwycając się każdym flirtem i każdą dziką namiętnością. Renée pozwalała sobie na dużo więcej. Chwaliła się, że sama wybierała swoje ofiary, Laura żyła miłością bardziej w marzeniach niż w rzeczywistości. Przyjaciółki stały się dla siebie jak siostry. Oddalenie – gdy jedna wyjechała na studia prawnicze do Aix, a druga przeprowadziła się do Paryża – nie zachwiało ich przyjaźnią. Potem Laura poznała Sébastiena. Gdy Renée została mu przedstawiona, zrozumiała, że szykuje się poważny związek i dała im to do zrozumienia. Nie myliła się. Laura jeździła za mężem po całym świecie, ale nigdy nie straciła kontaktu z przyjaciółką. Gdziekolwiek była, regularnie dzwoniła do niej, aby dowiedzieć się, co słyhać. A potem, trzy lata temu, odbyły tamtą rozmowę przez kamerę internetową.

– Długo jeszcze zamierzasz się okłamywać? – zapytała ją Renée.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Bo nie chcesz zrozumieć! Sébastien jest uroczy i kochający, kiedy ma na to czas, ale nigdy nie da ci tego, czego oczekujesz. Otwórz oczy.

Po raz kolejny słowa Renée potwierdziły to, co Laura czuła, a do czego nie ośmielała się przyznać.

– Co mam zrobić? – westchnęła.

– Na to pytanie, moja droga, musisz sobie sama odpowiedzieć. Albo zostajesz, albo zwijasz żagle. Cokolwiek postanowisz, zawsze będę przy tobie.

Nazajutrz Sébastien oznajmił, że dostał awans i przenoszą go do Republiki Południowej Afryki. A Laura, że zamierza wrócić na stałe do Francji razem z dziećmi. W trakcie ożywionej wymiany zdań z żoną

Sébastien obwinił Renée za ich rozstanie. Tych dwoje nigdy się nie lubiło.

Laura wychodziła właśnie z pokoju, ze szczotką do włosów w ręce, gdy nagle zatrzymała się gwałtownie. Renée stała zamyślona w oknie. Jej sylwetka, już nie tak zgrabna, jak kiedyś, ale wciąż elegancka, odcinała się na jasnym tle. Miała na sobie obcisłą sukienkę, a jej ruda grzywa związana była wstążką, spod której wymykały się kosmyki kręconych włosów, które zdawały się skupiać promienie słoneczne. Laura rzuciła się przyjaciółce w objęcia.

– Tak się cieszę, że cię widzę!

Renée jak zwykle powitała ją z radosnym uśmiechem, ale bez zbytnej wylewności. Choć postępowała bardzo otwarcie w wielu sytuacjach, zachowywała powściągliwość w wyrażaniu uczuć. Była typem człowieka, który nie ukrywa swoich poglądów, odnosi się z życzliwością do bliskich, dba o nich z taką gorliwością, że czasami staje się to męczące, ale w pewnym momencie każdy zdawał sobie sprawę, że nie wie prawie nic na temat jej życia prywatnego. W wieku czterdziestu trzech lat była niezamężna, pracowała jako prawniczka i doradczyni techniczna w administracji wyższego szczebla w ministerstwie i wciąż broniła się przed opinią dobrej uczennicy. Odgrywała wojowniczkę i kobietę wyzwoloną, jakby chcąc zatuszować swoje wykształcenie i błyskotliwą karierę. Zmierzyła Laurę spojrzeniem od stóp do głów.

– A cóż to za lniany kostiumik? A te baleriny? Nie wybieramy się na kiermasz dobroczynny!

– Dzięki! Nie ma to jak miłe powitanie.

– Przykro mi, moja droga, ale twoja garderoba sięga czasów, gdy byłaś miłą i ułożoną wzorową żoną. Którą już nie jesteś. Proszę cię, poszperaj w szafie, na pewno masz coś bardziej...

– Bardziej seksownego?

– Może być, chodziło mi raczej o coś bardziej dopasowanego, po prostu coś weselszego.

Laura, z płonącymi policzkami, pokręciła przecząco głową. Ubierała się zwyczajnie, nie zaniedbywała się, ale też nie zależało jej, żeby się podobać. Renée objęła ją i pocieszała przez parę sekund, po czym wróciła do zwykłej szorstkości.

– Nie wystarczy odzyskać wolność. Trzeba jeszcze z niej korzystać. Najwyższy czas, żebyś pomyślała o sobie.

– Wiem, o czym mówisz. Że nadszedł najwyższy czas, żebym wreszcie przespala się z kimś po trzech latach abstynencji.

– Trzech latach? I ani razu? Ja umieram po dwóch tygodniach. Nie myśl, że jestem nimfomanką. Potrafię wybrać to, co dobre.

Laura nigdy nie twierdziła, że było inaczej, ale po prostu miała inny temperament. A kobieta z dwójką dzieci na głowie nie myśli o tym, żeby bawić się w uwodzicielkę. Renée skinęła głową. Chciała tylko wyrwać ją z apatii.

– Dla facetów liczy się wyłącznie wygląd. Potrzebują przynęty, żeby dać się usidlić.

– Przestań – zawołała Laura, wybuchając gromkim śmiechem – jesteś okropna! Nie wszyscy zachowują się jak drapieżne zwierzęta!

– Naprawdę? Pozwól, że ci wyjaśnię, jak działają faceci. Dzielą nas na części i kochają we fragmentach. Zakochują się w spojrzeniu, w biuście, w nogach. Co wrażliwsi – w sposobie poruszania się, w uśmiechu. Ale ukryte piękno obchodzi ich tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– To już wolę swoją samotność.

– Nie wygłupiaj się. Odmawianie sobie miłosnych rozkoszy nie robi z ciebie zakonnicy.

– Nie mam powołania.

Po twarzy Renée przemknął pełen zrozumienia uśmiezek.

– Oni mają instynkt, my intuicję. To pozwala zachować równowagę. Trzeba wziąć ich na przetrzymanie, i to dostatecznie długo, żeby zdążyli się ucywilizować. Ja wymagam dziesięciu randek, zanim wdam się w romans.

– I to działa?

Renée odchrząknęła.

– Z żonatymi mężczyznami działa.

Jej życie miłosne niejednego wciągnęło w swój wir. Miała talent do wikłania się w sytuacje bez wyjścia. To było silniejsze od niej. Prawdopodobnie tak było jej wygodnie, ale nigdy się do tego nie przyznała, a Laura powstrzymywała się od wydawania osądu na ten temat. Ale jej milczenie nie oznaczało zgody. I Renée o tym wiedziała.

– Zrobiłabym jeden wyjątek – dla Xaviera.

Xavier czekał na nią przez dwa lata, zanim włożył jej pierścionek na palec. To był błąd młodości. Będąc na ostatnim roku studiów, Renée poślubiła swojego najlepszego przyjaciela. Rozwiedli się rok później. Podręcznikowy przypadek. Od tamtego czasu dryfowała między potajemnymi romansami i związkami bez przyszłości. Nie chciała urodzić dzieci, ale nie wykluczała adopcji. Dwoje spośród jej przodków, w tym jej własna matka – przynajmniej z tego, co mogła się o niej dowiedzieć po jej odejściu – chorowało na zespół maniakalno-depresyjny. Szaleństwo wisiało nad tą rodziną, a myśl o spłodzeniu istoty, która mogłaby je odziedziczyć, powstrzymywała ją od zostania matką. To był jej najpilniej strzeżony sekret. Laura domyśliła się go, zawarłszy znajomość z członkami jej rodziny, ale pomiędzy przyjaciółkami był to wciąż temat tabu.

– No właśnie – odparła Laura – co się stało z twoim Xavierem? Mówiłaś, że straciłaś go z oczu jakieś dziesięć lat temu.

– Moim zdaniem, on sam stracił się z oczu. Z moich ostatnich

informacji wynika, że objął posadę komornika w okolicach Vannes czy Cholet. Wyobrażasz sobie, dawny – co prawda niedoszły – seminarzysta, siedział trochę u księży... Nie wiedziałaś? Tak było, i to tuż przed tym, zanim zaciągnęłam go do łóżka. No cóż, teraz ściąga długi i niezapłacone czynsze. Sama przyznaj, że ledwo mu się wymigałam!

Przyjaciółki zachichotały. Miały tyle wspomnień, wystarczyło tylko wyciągnąć je z pudełka. Renée wiodła życie w szaleńczym tempie. Nawet imię, odziedziczone po babce, nosiła z rozmachem.

– No, nie będziemy chyba siedzieć w tej komórce i wspominać starych dziejów?

– Co proponujesz?

– Zakupy?

– Chodźmy na zakupy.

Na autostradzie, którą jechały do Marsylii, Renée nabrała nastroju do zwierzeń. Zakończyła właśnie burzliwy związek z pewnym mężczyzną, „przykładnym mężem”. Na nieszczęście przydzielono go do wydziału, w którym pracowała. Ta bliskość diabelnie komplikowała sytuację, bo co gorsza facet zakochał się po uszy. Był gotów rozstać się z żoną. Renée poczuła się zagrożona i chciała zerwać związek, ale jej kochanek nie miał na to najmniejszej ochoty i robił wszystko, żeby zmienić zdanie.

– Nie mogłam zostać dłużej w Paryżu, musiałam wyjechać.

– Wyobrażam sobie.

– W ministerstwie dowiedziałam się, że jest stanowisko do objęcia w ramach administracji departamentalnej. Nie miało to nic wspólnego z awansem, ale dla mnie to jedyna okazja, żeby być bliżej ludzi, których kocham. I wrócić w słoneczne strony. Złożyłam kandydaturę, zostałam przyjęta. Cóż, miałam mocne poparcie. Protekcję.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Dostałam przeniesienie i przeprowadzam się na południe!

Renée rzuciła żartobliwie zaniepokojone spojrzenie siedzącej za kierownicą Laurze.

– Masz coś do powiedzenia, Abrigore?

– Żartujesz? Jestem zachwycona. Co za zbieg okoliczności!

– Dlaczego?

Laura zaczęła opowiadać jej o spadku, który spadł jej z nieba, o działce położonej ponad jej posiadłością i w czym cud ten mógł pomóc jej w batalii, jaką razem z Joëlem Bossisem prowadziła w celu uznania Przylądka Admirala za park narodowy. Renée słuchała z niedowierzaniem.

– Ale dlaczego ten stary kutwa umieścił cię w testamencie? Rzuciłaś na niego urok?

– Nie ma się z czego śmiać, to mi spędza sen z powiek. Budzi się we mnie zbyt wiele wspomnień, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... Sama sobie nie mogę tego wytłumaczyć. W głębi duszę się boję. Nie lubię dostawać czegoś, na co nie zasłużyłam. Zastanawiam się, czy cała sprawa nie sięga czasów mojego ojca, ale skąd mam to wiedzieć? Joël Bossis też nic z tego nie rozumie.

– Reasumując, jesteś w posiadaniu gruntu, którym mógłby zainteresować się park narodowy? Masz niezły posag, moja droga, będzie z ciebie dobra partia!

– Skoro tak mówisz... Jaki urząd obejmiesz w ramach pracy w administracji?

– Stanowisko, na którym będę się zajmować właśnie tego typu sprawami. Czuję, że wkrótce powrócimy do tego tematu. Swoją drogą, to zabawne, prawda?

Laura zmarszczyła brwi. Nie podzielała jej punktu widzenia. Renée będzie oczywiście jej sojusznikiem w lokalnych władzach, ale może to skomplikować ich wzajemne relacje. Cała ta historia nie dawała jej

spokoju.

– Nie jestem w pracy, moja droga, i teraz jedziemy zaszaleć...

Przy przejechaniu punktu opłat na autostradzie Laura zapytała przyjaciółkę, gdzie miała zamiar się zatrzymać. Jej mieszkanie w dzielnicy Prado zostało sprzedane po śmierci ojca.

– W Marsylii, rzecz jasna! Wyobrażasz mnie sobie żyjącą tak jak ty, między jeżowcami? Już to widzę. Bądź spokojna, będę się trzymać z daleka. Nie jesteśmy już małymi dziewczynkami, nierozłącznymi od rana do wieczora. – I dodała poważniejszym tonem: – Z czasem człowiek uczy się cieszyć samym sobą. Nie jestem typem samotnika, tak jak ty, ale nie zależy mi już tak bardzo na spotykaniu się z ludźmi.

– I to ty wysyłasz mnie na polowanie?

– Ty to co innego. Ty opuszczasz klasztorne mury!

Czerwony fiacik zwolnił przed salonem fryzjerskim na ulicy Paradis, w szóstej dzielnicy. Parkingowy podbiegł do Laury, która niechętnie oddała mu kluczyki; marzyła tylko o tym, żeby wrócić do siebie. Dziesięć minut później odchyłała głowę do tyłu nad jedną z umywalek w gabinecie do pielęgnacji włosów. Następnie za radą Renée dobrano jej odpowiedni kolor, potem zajął się nią najlepszy fryzjer w salonie, a w tym czasie manicurzystka robiła jej french na paznokciach u rąk i nóg. Uczesana i pomalowana, wyszła z salonu przemieniona. Kaskada złocistych kosmyków opadała równym skosem wokół jej twarzy o wysokich kościach policzkowych.

– Zajmijmy się teraz twoją garderobą – oznajmiła Renée.

Wróciły w górę ulicy Paradis i zatrzymały się przed witryną, na której widniała bardzo elegancka, krótka sukienka.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Renée.

Weszły do butiku i Laura zniknęła w przymierzalni.

– Idealna! – wykrzyknęła Renée, gdy przyjaciółka ukazała się z powrotem. – Tego ci było trzeba.

– Widziałaś metkę? Za tę cenę mogłabym ubierać moje dzieci aż do pełnoletności.

– To jest inwestycja, rzecz klasyczna, która nigdy nie wychodzi z mody. Moja babcia zwykła mawiać, że nie stać jej na kupowanie tanich rzeczy. Mówię ci, weź ją. Ode mnie dostaniesz piękne szpilki pod kolor sukienki. To będzie twój prezent urodzinowy.

– Z dwumiesięcznym wyprzedzeniem.

- Nigdy nie mogę zapamiętać daty. A im wcześniej, tym lepiej.
- Renée... jesteś niepoprawna.

Chodziły po sklepach przez całe popołudnie, po czym wróciły do Cassis i postanowiły zjeść kolację w porcie, na tarasie. Usiadły przy stoliku w restauracji Admiralicja. Idąc za radą Renée, Laura zamieniła ugrzeczniiony kostiumik na koralowoczerwony wiązany top i białe krótkie spodenki. Czuła się półnaga.

- Nie możemy usiąść gdzie indziej?

– Spokojnie! Jesteśmy nad morzem. Pomyśl sobie, że wyglądasz odpowiednio. Rozejrzyj się. Wszystkie dziewczyny się tak ubierają.

- Przestań, mają dwadzieścia lat mniej!

Renée już miała odpowiedzieć, gdy przerwał im kelner.

- Dzień dobry, pani Abrigore. Jak udały się urodziny?

- Doskonale. Proszę pogratulować szefowi.

Kelner wskazał dwóch mężczyzn, rozmawiających na przystani.

- Oto on, jeśli pani zechce, może pani pogratulować mu osobiście.

Zamówiły *penne al pesto*, które Laura posypała obficie parmezanem. Potem nabiła na widelec listek sałaty, bazylię, a na koniec połówkę marynowanego pomidora czereśniowego. Według niej było to idealne połączenie smaków. Choć była marną kucharką, lubiła dobrze zjeść.

- Wciąż ten sam rytuał? – zauważyła Renée.

- To moja ulubiona chwila.

– Nie wiem, jak ty to robisz. Jesz wszystko, na co masz ochotę i wcale nie tyjesz.

- PŁY-WA-NIE, moja droga.

– To nie dla mnie. Nie urodziłam się syreną ani tym bardziej morsem, bez urazy. Ale pewnie masz rację, powinnam się więcej ruszać.

Ostatnie słowa wypowiedziała z roztargnieniem, opuszczając okulary przeciwsłoneczne.

– To jest szef?

Laura odwróciła się, zaciekawiona. W ich kierunku zmierzał jakiś mężczyzna. Smukły, o ogorzalej cerze, ciemnych, krótkich włosach, miał na sobie białą koszulę ze stójką, jaką noszą szefowie kuchni, i chustkę niedbale zawiązaną wokół szyi. Ale szedł marynarskim krokiem, sprężystym i nonszalanckim. Znalazłszy się obok przyjaciółek, skinął lekko głową, uśmiechając się nieznacznie, po czym przeniósł wzrok na Laurę. Jego spojrzenie było jasne, uprzejme. Laura, zmieszana, nie wiedziała, jak się zachować. Złączyła nogi i spuściła oczy. Kelner, który ponownie pojawił się na tarasie, odezwał się do nieznanego:

– Szefie, to jest pani Abrigore.

– Cieszę się, że mogę panią nie tylko usłyszeć, ale także zobaczyć – powiedział właściciel Admiralicji. – Czy była pani zadowolona z naszych usług?

– Tak, oczywiście – wyjąkała. – Jak najbardziej.

– W takim razie mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy mieli przyjemność się spotkać.

Laura, oniemiała, zastanawiała się, co odpowiedzieć na to zaproszenie, ale Renée przywołała ją do porządku, dając jej kopniaka pod stołem.

– Ależ tak, z pewnością – odparła.

Jakiś mężczyzna wychodzący z restauracji zaczepił właściciela Admiralicji, który odwrócił się nagle i oddalił w drugą stronę.

– Widziałaś? – szepnęła Renée.

– O co chodzi?

– O niego, idiotko... Nie ma obrączki. Ani żadnego innego amuletu. Nawet strój kucharza leży na nim jak ulał. A jego oczy, mój Boże! Przejrzał cię w sekundę.

– Bez przesady... Interesuje się swoimi klientami, to wszystko.

Renée się nie upierała. Nie miała ochoty stać się karykaturą samej siebie.

– No dobrze, nie ma się czym ekscytować. Co nie zmienia faktu, że to przystojny facet.

Właśnie miały wybierać deser, gdy na przystani wybuchła sprzeczka. Z tego, co udało się im zrozumieć, wynikało, że chodzi o problem z cumowaniem łodzi: właścicielowi Admiralicji nie wolno już było w tym miejscu kotwiczyć żagłówki. Wrócił do rozmowy z przyjaciółkami, przepaszając.

– Kłopoty z cumowaniem? – zapytała z zainteresowaniem Renée.

– Tak, likwidują miejsca i właśnie się dowiedziałem, że moje także. Problem w tym, że gdzie indziej nie ma miejsc, a ja mieszkam na łodzi. I tak dobrze, że tylko ja ją zajmuję. Nie liczą się z nikim ani z niczym, gdy rzecz dotyczy interesów.

Laura zbladła, gdy Renée, wykorzystując okazję, zapytała jej, czy pierścień cumowniczy, który ma na Przylądku Admirala, wciąż jest wolny. Zaskoczona, musiała potwierdzić. Ich rozmówca wahał się przez chwilę:

– Chętnie wynajęłbym go na cały rok. Zgadzam się na każde warunki, jakie pani postawi... Przepraszam, nie przedstawiłem się. Raphaël Ortéga.

Nagle Laura zdała sobie sprawę, jaki jest młody. Musiał mieć pięć albo dziesięć lat mniej od niej. To spostrzeżenie sprowadziło ją na ziemię.

– Miło mi... A jeśli chodzi o pańską propozycję, muszę się zastanowić. Dostanie pan odpowiedź w ciągu tygodnia.

Powiedziała to tonem biznesowym. Wyzutym z uczuć. Właściciel podziękował jej uprzejmie i wrócił do restauracji.

– Jestem pod wrażeniem! – podsumowała Renée.

Siedząc na płaskiej skale na cyplu Przylądka Admirala, koło starej sosny, Laura odpoczywała po przepłynięciu wpław zatoki. Rzuciła okiem na wolny pierścień cumowniczy, umieszczony obok łodzi Joëla. Jej ojciec niegdyś cumował tam „Lauramor”. Odkąd zaginął, metalową obręcz pokrywała rdza, w oczekiwaniu na powrót, który nie nastąpi. Krzyk srebrzystej mewy wyrwał ją z zamyślenia. Renée postawiła ją w kłopotliwej sytuacji. Przyjaciółka sądziła, że robi dobrze, ale Laura nie lubiła, kiedy ją do czegoś zmuszano. Dlaczego miałyby się zgodzić na wynajęcie pierścienia cumowniczego obcemu człowiekowi? A dlaczego miałyby się nie zgodzić? Potrząsnęła głową, zirytowana. Raphaël Ortéga zareagował prawidłowo. Na jego miejscu zrobiłaby to samo. Tym, co przeszkadzało Laurze, był podtekst, jaki się krył w zachowaniu przyjaciółki. A jeżeli sobie na nie pozwoliła, to znaczy, że dostrzegła coś w spojrzeniu, jakie wymienili ze sobą ten mężczyzna i Laura. Teraz Laura nie mogła zaprzeczyć, że Raphaël rzeczywiście zrobił na niej wrażenie. A to nie zdarzyło się jej od bardzo, bardzo dawna.

Raphaël. Jak jej ulubiony włoski malarz okresu Renesansu, Raffaello Sanzio. Kiedyś marzyła o tym, żeby zobaczyć jego dzieła w Galerii Uffizi we Florencji. Odbiegła wspomnieniami w jeszcze odleglejszą przeszłość. Przypomniało jej się zdrobnienie tego imienia, Ralph, które należało do Raphaela de Bricassarta, bohatera powieści *Ptaki ciernistych krzewów*, którą pochłonęła w wieku trzynastu lat i dzięki której poznała smak uczuć. Laura identyfikowała się wówczas z młodą Meggie, w której zakochał się Raphael, i przez całą książkę nie mogła się doczekać tego,

żeby byli razem i kochali się bez przeszkód.

Ależ z ciebie idiotka, powiedziała do siebie ze śmiechem. Ten Raphaël jest prawdziwy, a jedyne, co o nim wie, to tyle że istnieje ryzyko, iż pojawi się na horyzoncie, on i jego łódka. A ta perspektywa nie uśmiechała jej się z wielu powodów, w tym jednego, najbardziej ukrytego: że musiałyby co rano spotykać spojrzenie tego mężczyzny. O skałę uderzyła fala i ją ochlapała. Chwyciła patyk, który morze wyrzuciło na brzeg, i rzuciła do wody. Maya zanurkowała. Nadeszła pora porannej kąpieli.

Godzinę później, gdy w szlafroku weszła do salonu, poczuła zapach kawy. Renée, którą gościła u siebie do czasu, aż przyjaciółka znajdzie mieszkanie w Marsylii, krzątała się po kuchni.

– Duża filiżanka czy mała? – rzuciła Renée, nie odwracając się. – Zaparzę mieszankę arabiki i robusty. Nic lepiej nie rozjaśnia myśli po wstaniu z łóżka niż małe espresso.

Laura wspięła się na jeden z kuchennych taboretów.

– Mów za siebie. Ja najchętniej wypiłabym cały kubek. Wypełniony po brzegi.

Renée sprawdziła poziom wody w ekspresie do kawy.

– Wciąż masz do mnie żal o wczoraj?

– Mówisz o pierścieniu cumowniczym, który będę musiała wynająć temu facetowi? Bo teraz jestem zmuszona się zgodzić.

– Przepraszam cię, Lauro, sądziłam, że robię dobrze. Pomyślałam sobie, że...

– Przede wszystkim za dużo sobie wyobrażasz. Gdybym miała złapać chłopaka, nie zapraszałabym go do cumowania co wieczór pod moimi oknami... Widziałas, ile ma lat? Wygląda na trzydzieści pięć, nie więcej. Zdajesz sobie sprawę? A pytałaś go, czy ma ochotę?

– Uspokój się. Ja tylko rzuciłam kości. Teraz same potoczą się, jak

będą chciały.

– No właśnie! Dla ciebie to tylko gra.

– Nie, to życie.

Renée wyglądała na tak zadowoloną ze swojej riposty, że Laura nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Przyznaj się – podjęła przyjaciółka – Raphaël ci się podoba. Mnie z resztą też. Ale na mnie tylko spojrzal. Nie jestem w jego typie. Założę się jednak, że zielonookie brunetki, nawet trochę zdystansowane, nawet trochę zakompleksione...

Laura udała, że chce się rzucić przyjaciółce do gardła, żeby zmusić ją do milczenia.

– Stop!

Wybuchnęły szalonym śmiechem, jak za najlepszych licealnych czasów.

– No dobrze, nalejesz mi tej swojej kawy, która rozjaśnia myśli?

Gdy sprzątały ze stołu, Renée powróciła do wczorajszego tematu.

– Opowiedz mi o tym spadku. To mimo wszystkie dziwne, że facet, który wcale za tobą nie przepadał, tak hojnie cię obdarował...

W tej kwestii Laura ostatecznie przyznała rację Joëlowi. Stojąc nad grobem, Soubeyran odkrył w sobie duszę dobroczyńcy. Albo też, co nie jest wykluczone, odczuł wyrzuty sumienia na myśl, że to, co znał, zniknie na zawsze. Ale przecież nigdy nie był entuzjastą idei utworzenia parku narodowego. Przekazując zaś ziemię najbliższej sąsiadce, wiedział, że pozostanie ona w nienaruszonym stanie. Że połacie makii nie zostaną oddane pod zabudowę. Walka, jaką Laura toczyła o wpisanie tego miejsca w obręb parku i ochronę jego dóbr naturalnych, nie była dla nikogo tajemnicą.

– Myślę, że to właśnie z tego powodu jestem jedyną dziedziczką, której część nie została objęta żadną klauzulą.

Widząc sceptyczną minę Renée, wyjaśniła:

– Pozostali spadkobiercy są zobowiązani dbać o pamięć o tym człowieku. Ja nie muszę, ale można założyć, że w przyszłym parku jedna ze ścieżek zostanie nazwana jego imieniem.

Ktoś zapukał do drzwi. Joël Bossis.

– Wybacz, Lauro, że tak późno cię o tym informuję, ale muszę dziś rano oddać dziewięciometrową łódź, którą wyremontowałem.

– W porządku, oddaj swoją łódkę. Ja się zajmę zebraniem PNC w merostwie.

– Dziękuję ci, jesteś kochana – odparł i odszedł.

Joël od lat walczył o włączenie *calanques* w obręb parku narodowego. Z łatwością przekonał Laurę do tej sprawy, która obydwójgu w równym stopniu leżała na sercu. Po wielu wątpliwościach i rozczarowaniach ich nadzieje wreszcie miały się ziścić. Park Narodowy *Calanques* miał się stać rzeczywistością. Ale weszli w fazę najbardziej konfliktową, związaną z wytyczaniem granic, odszkodowaniami, niekończącymi się uzgodnieniami, które wzbudzały żywe dyskusje i polemikę wśród mieszkańców, stowarzyszeń, federacji, związków zawodowych, lokalnych przedsiębiorców... Najbardziej niechętni projektowi byli rybacy, właściciele winnic oraz niektórzy rzemieślnicy budowlani i deweloperzy, którzy obawiali się, że uniemożliwi on ich działalność. To właśnie z ich szeregów rekrutowała się najsilniejsza grupa przeciwników. Prawdę mówiąc, stanowili większość. Laura rozumiała ich punkt widzenia i pragnęła przekonać ich do użyteczności istnienia rezerwatu przyrody. Dlatego też od dawna czekała na to zebranie, żeby uspokoić nastroje. Miała nadzieję, że politycy i urzędnicy zajmujący się projektem będą potrafili odpowiedzieć na każde z zadanych pytań, aby zyskać poparcie jak największej liczby osób.

Jej ojciec należał do jednych z pierwszych obrońców wybrzeża.

Gilbert Abrugore skontaktował się ze wszystkimi odpowiednimi instytucjami, żądając regulacji ruchu morskiego i oczyszczania ścieków komunalnych Marsylii, które wylewano do morza. Zdemaskował obecność czerwonego szlamu, pochodzącego z zakładu produkcji boksytu, z którego odpady wyrzucano do morza za pomocą rurociągu zanurzonego trzysta metrów od brzegu. Katastrofalne skutki takiego działania dla morskiego ekosystemu zauważał za każdym razem, gdy nurkował. Nie był jedyny, ale walczył najbardziej zaciekle. A Laura nosiła nazwisko Abrugore niczym sztandar. Zgadzała się negocjować, ale nie rezygnować.

W sali rady miejskiej zgromadziło się wiele osób. Laura nalegała, aby Renée towarzyszyła jej tego dnia na obradach. Przyjaciółka zgodziła się, choć jeszcze nie objęła swojego urzędu w przyszłej administracji parku. Z niemałym trudem utorowały sobie drogę i usiadły w trzecim rzędzie. Atmosfera była napięta.

– Będzie gorąco – szepnęła Laura do ucha przyjaciółce.

Ale Renée interesował tylko pewien oficjel, który właśnie zajął miejsce pośrodku trybuny.

– To François Marini, przewodniczący komisji śledczej. Porządny facet.

– Spotkałam go kiedyś na przyjęciu w ministerstwie. Tak, porządny facet, a nawet bardziej niż porządny, jeżeli chcesz wiedzieć. Rozkoszny.

Laura nie odpowiedziała. Zebranie rozpoczęło się od projekcji filmu, w którym prezentowano przyszły park. Widokom z lotu ptaka i zdjęciom podwodnym, w zbliżeniach i wspaniałych ujęciach, towarzyszył głos narratora opowiadającego o najważniejszych aspektach projektu. Miał to być największy podmiejski park w Europie, o całkowitej powierzchni ponad dwustu tysięcy hektarów, z czego większość na morzu. Od Marsylii do La Ciotat, na obszarze wielu tysięcy mil morskich,

wyznaczono dwie strefy: centrum parku, poddane bardzo restrykcyjnym regułom, oraz obszar przylegający, który pełniłby funkcję strefy przejściowej między terenem zabudowanym a terytorium podlegającym ścisłej ochronie. Na zakończenie projekcji François Marini wziął mikrofon, zamierzając bronić aktu, który pieczętował projekt.

– Bardzo przepraszam – przerwał mu jakiś mężczyzna spośród zebranych.

Wstał, zdjął kaszkiet, rozejrzał się wokół, licząc sojuszników, po czym zaczął:

– Pani mer, panie pośle, mówię w imieniu komitetu niezależnych rybaków (westchnienia niektórych przedstawicieli władz obecnych na trybunie)... Tak, nie wszystkim podoba się, że jesteśmy, ale bez nas nie byłoby *calanques*. I nie zgadzamy się z tym projektem, który zniszczy przybrzeżne rybołówstwo. Jeżeli mnie i moim kolegom nie będzie wolno łowić ryb na obszarze tego, co nazywacie „centrum parku”, to jak chcecie, żebyśmy zarabiali na życie? Nie mamy ani pieniędzy, ani łodzi, żeby łowić ryby na pełnym morzu.

Część zebranych wyraziła aprobatę. Kilka głosów zachęciło go do dalszej przemowy.

– Mówicie, że chcecie ochrony naszych dóbr naturalnych, ale kto dotychczas dbał o nie? To nasze źródło utrzymania. Degradacja wód przybrzeżnych nie leży w naszym interesie. Zapytajcie wieśniaków z wybrzeża, z Port-Miou, Morgiou i innych, czy się ze mną zgadzają.

Spojrzenie rybaka zatrzymało się na Laurze. Reprezentowała Przylądek Admirala. Znała jego poglądy, ale chciała mu zaszkodzić.

– A pani dobrze wie, pani Abrigore, że mam rację, pani ojciec był rybakiem-amatorem, ale łowił razem z nami. Był jednym z nas, czyż nie?

Na mównicy François Marini przeniósł wzrok na Laurę. Wyraz jej

twary mówił o ostrym sprzeciwie wobec tego, co powiedział rybak.

– Odpowiedz – poleciała jej szeptem Renée. – To jest odpowiednia chwila.

Laura wstała, tak aby wszyscy ją słyszeli.

– Nazywam się Laura Abrigore i mieszkam na Przylądku Admirala. W przeciwieństwie do tego, co zostało przed chwilą powiedziane, nie sądzę, aby utworzenie parku położyło kres działalności rybackiej. Przeciwnie. Wszystkie raporty potwierdzają użyteczność istnienia stref objętych zakazem połowu chociażby po to, aby zapewnić odnawianie gatunków.

– Co pani może o tym wiedzieć? – krzyknął z oburzeniem rybak.

– Wiem to, co mówią naukowcy, którzy badali te obszary, jak i to, co mówią ci, którzy tak jak pan żyją z rybołówstwa. Wielu z nich obawiało się najgorszego, a tymczasem stwierdzili rzecz dokładnie przeciwną. W Scandoli, na Korsyce, rybacy odnotowali, że wydajność połowu w sieci wzrosła czterokrotnie w ciągu dziesięciu lat. Przywożą dwa razy większe ryby, a zdolność reprodukcyjna gatunków zwiększyła się czternastokrotnie.

Poseł przyjął te słuszne słowa z zadowoleniem.

– Pani ma całkowitą rację. Wyniki z przybrzeżnych obszarów chronionych na Morzu Śródziemnym są najlepszym dowodem na to, że pańskie obawy, choć zrozumiałe, są bezpodstawne. – Następnie, jako wprawny mówca, nawykły do przykuwania uwagi słuchaczy, i wręcz odwracania ich dotychczasowych sympatii, przerwał, po czym podjął uroczystym tonem: – Tę ziemię pożyczamy od przyszłych pokoleń. Naszym obowiązkiem jest dbać o to dziedzictwo przez ochronę wybrzeża. Park narodowy jest ubezpieczeniem na życie naszej krainy. To przyroda, z której wszyscy skorzystamy. To szacunek wobec naszych przodków! To przyszłość naszych dzieci! To obietnica, której trzeba

dotrzymać!

Rozległy się oklaski. Rybak niechętnie usiadł z powrotem na swoim miejscu, siedział przez chwilę, mamrocząc coś pod nosem, po czym zerwał się na równe nogi i znowu natarł na Laurę:

– Mówi pani, że reprezentuje mieszkańców Przylądka Admirala...

– Tak, to prawda.

– Czyżby? Czy to nie Marcel Soubeyran posiadał największą część *calanque*? A wiadomo mi, że był przeciwny projektowi parku. Co na ten temat sądzą jego spadkobiercy?

– Ja jestem jego spadkobierczynią.

Świadoma efektu, jaki wywołała, Laura odwróciła się w stronę posła i poprosiła, aby jej mała *calanque* została wpisana w obręb centrum parku. Było to ryzykowne posunięcie, gdyż atmosfera robiła się gorąca. Skończyły się negocjacje. Wybuchła wojna, a Przylądek Admirala przeszedł właśnie do obozu wroga.

Zastanawiam się, gdzie oni mają rozum – powiedziała Laura, opuszczając rąs. – Skarżą się, że wybrzeże niszczy, ale odrzucają rozwiązania, które się im podsuwa.

– Odrzucają wszystko, co pochodzi z góry – odparła Renée.

– To nieprawda! Opinia mieszkańców została wzięta pod uwagę.

– Jakich mieszkańców? Garstki działaczy stowarzyszeniowych czy związkowych, paru krzykaczy, kilku poczciwców? W ministerstwie nazywa się ich „przedstawicielami społeczności lokalnych”. Mam z nimi do czynienia przy każdej okazji, a tym, co zazwyczaj skłania ich do działania, jest chęć przeciwstawienia się, a nie znalezienia rozwiązania.

– Generalizujesz. Joël i ja chcemy, żeby projekt się powiódł. Myślisz, że nam się uda?

Ale Renée już jej nie słuchała. Siedząc na schodach przed merostwem, podążała wzrokiem za mężczyzną, który chodził tam i z powrotem po drugiej stronie ulicy. Laura również skierowała wzrok w tamtą stronę i rozpoznała Raphaëla, właściciela Admiralicji, jak rozładowuje styropianowe pudła. Laura mimowolnie obserwowała go z zaciekawieniem. Nie zauważył ich obecności i mogła przyglądać się mu do woli. Piękne zwierzę w ruchu. Miał gesty człowieka nawykłego do wysiłku. I teraz Laura nie myślała o tym, kim był – świeżo poznanym restauratorem. Okiem ilustratorki, znającej się na sztuce i grafice, podziwiała po prostu plastyczność modelu, jego sposób poruszania się, ślad potu na bawełnianych podkoszulku.

Renée trąciła ją łokciem.

– Podejź do niego. W związku z ograniczeniami nie będzie mu łatwo znaleźć inne miejsce, gdzie mógłby zakotwiczyć.

Laura musiała przyznać jej rację.

– Jeżeli nadal szuka pan miejsca, to nie zapomniałam o pańskiej propozycji.

– Jest nadal aktualna – odparł Raphaël.

– Dobrze... Niech pan przyjedzie na Przylądek Admirala, przedstawię panu Joëla Bossisa. To mój sąsiad i ktoś więcej niż tylko przyjaciel – jest dla mnie drugim ojcem. Nie zrobię nic bez jego zgody.

– Z przyjemnością. Pod wieczór nie będzie dla pani za wcześnie? Dzisiaj mam zamknięte.

– Proszę przyjechać o dwudziestej, tak będzie najlepiej.

Późnym popołudniem wschodni, chłodniejszy wiatr przyniósł nad wybrzeże mgłę. Zatoka przybrała przytłumioną barwę, cykady zamilkły. W oddali krótkie szkwały poruszały powierzchnię wody. Laura siedziała po turecku i trzymając na kolanach klawiaturę, szukała w Internecie łatwych przepisów na kolację. Renée brała prysznic na piętrze. Jej pomoc nie przydałaby się na wiele. Nawet lepiej, że jej nie pomagała. Obie przyjaciółki łączyła niechęć do stania przy garnkach. Ostatecznie Laura zdecydowała się na zimny bufet: sałatkę z papryki, pomidory z mozzarellą, kanapki z tapenadą i różne rodzaje warzyw do przegryzania z lekkimi sosami. Bez ryzyka. No i nie było mowy, żeby robiła się na bóstwo. Wybrała swój ulubiony strój, dzinsy i biały podkoszulek oraz ażurowy sweterek na wieczorny chłód. Chociaż raz Renée powstrzymała się od krytykowania jej kreacji. Ona także postawiła na prostotę.

Na krótko przed wyznaczoną godziną do zatoki wpłynęła żaglówka na włączonym silniku. Dziewięciometrowy monotyp, stary model, ładnie odrestaurowany. Joël stał na przystani i naprowadzał łódź,

trzymając ręce złożone w trąbkę. Laura obserwowała manewry z tarasu i szybko poszła sprawdzić bufet. Irytowało ją własne rozgorączkowanie. Dziesięć minut później Raphaël Ortéga stał pod jej drzwiami. Wymienili uścisk dłoni, Raphaël podał jej dwie butelki różowego wina.

– Miejscowa produkcja, od kolegi, który robi wino zgodnie z zasadami sztuki. Niezłe. Najlepiej schłodzić, ale nie zmrażać!

Laura podziękowała i poszła włożyć butelki do lodówki. Z przerażeniem stwierdziła, że jeden z zimnych sosów przybrał grudkowaty, wyjątkowo mało apetyczny wygląd. Zastąpi go kupnym majonezem. Tymczasem Renée czyniła honory pani domu, prowadząc gościa na taras. Joël również przyniósł dwie butelki wina, tym razem białego. „Najlepiej schłodzić”. Laura zabrała je i znów zniknęła w kuchni. Gdy dołączyła do gości, stali przy bufecie i gawędzili.

– Rozmawialiśmy o parku – powiedziała Renée – i o... rybach.

– Rzecz w tym, że podaję je w mojej restauracji – odezwał się Raphaël. – Zaopatruję się u rybaków z portu. A oni nie przestają się skarżyć na projekt parku. Dla nich to oznacza ruinę.

Laura czuła się swobodniej w rozmowie na takie tematy niż w wymianie uprzejmości. Przedstawiła argumenty przemawiające za powstaniem parku. Joël kiwał głową.

– Jeśli dobrze rozumiem – powiedział Raphaël – rybacy na początku będą zmagać się z trudnościami, ale ostatecznie odniosą korzyści.

– Tak, ale niech pan to wytłumaczy takim upartym typom! Nie widzą dalej niż czubek własnego nosa.

Joël znał ich prawie wszystkich.

– To nie są złe chłopaki – dodała Laura – ale podchodzą nieufnie do wszystkiego, co ma cokolwiek wspólnego z nowymi przepisami. Taką mają mentalność.

Renée od dłuższego czasu usiłowała się wtrącić.

– Żyją legendą o ostatnim Mohikaninie. Morze należy do nich, a my przeganiamy ich z ich terytorium. Klasyczny przypadek.

Raphaël niezupełnie się z nią zgadzał.

– Mają swoje powody. Ja z tego parku skorzystam, będzie znakiem jakości, który przyciągnie turystów, a oni będą się u mnie stołować. Ale rybacy czują się wywłaszczeni ze środowiska, które ich karmi i które znają lepiej niż ktokolwiek. Ich zachowanie jest zrozumiałe.

– Ja też ich rozumiem – powiedziała Laura. – I tu jest problem. Musimy ich edukować i walczyć z uprzedzeniami.

Joël był mniej wyrozumiały.

– Uparte osły. Ile razy z twoim ojcem próbowaliśmy ich ostrzegać? Zawsze są mądrzy po szkodzie. Nie myślą przyszłościowo. Nie ma co się nad nimi litować. Niektórzy z nich są w gorącej wodzie kąpani i mogą nam się naprzykrzać. Nie mówię tego po to, żeby cię straszyć, Lauro, ale trzeba być czujnym.

– O, nie! – zawołała Renée. – Nie liczcie na to, że będę stać na warcie. Ja w nocy śpię.

– A teraz wypijmy za zdrowie... – dodał Raphaël, żeby zmienić temat.

Wzbudził tym uznanie Laury. Po raz kolejny zresztą. Z rozbawieniem puścił do niej oko. Zrobił pierwszy krok w stronę wspólnego porozumienia. Jego twarz o regularnych rysach świadczyła o spokojnym usposobieniu i pewności siebie pozbawionej arogancji. Wyglądał na kogoś spontanicznego, autentycznego, o niewymuszonym wdzięku. W miarę upływu czasu wrażenie to się potwierdzało. Okazał się ciekawym, przenikliwym, skorym do śmiechu człowiekiem. Wypowiadał się w sposób taktowny, ale swobodnie. Laura odnajdowała w nim bliską jej naturalność i sposób bycia. Przyglądała się Renée, która dostosowawszy się do sytuacji, zrezygnowała z efektownych frazesów i zamiłowania do prowokacji. Joël, zazwyczaj mało rozmowny, rozgadał się i porywał

słuchaczy opowieściami o nurkowaniu. Okazało się, że Raphaël fascynuje się wrakami. Wspomniano o samolocie, który Antoine de Saint-Exupéry pilotował podczas wojny i który zniknął pośród fal.

– Do tej pory odnaleziono bransoletkę na łańcuszku, należącą do Saint-Exupéry’ego, ale ani śladu kabiny „Błyskawicy”. Tajemnica pozostaje nierozwiązana. Wiadomo tylko, że nie rozbił się w Zatoce Aniołów, jak wówczas twierdzono, ale tutaj, niedaleko, najprawdopodobniej na Grand Frioul. W tej strefie prądy morskie z niespotykaną siłą omiatają obszar, sięgający aż po wierzchołek Przylądka Admirala. W takich warunkach nie da się zlokalizować wraku po ponad sześćdziesięciu latach. Byli tacy, co próbowali, żaden nie wrócił.

Laura zadrżała na myśl o słynnym dennym prądzie morskim. Zdaniem Joëla to te właśnie prądy były przyczyną katastrofy, w której Gilbert stracił życie. Wiedziała, że są wyjątkowo niebezpieczne i nigdy nie zapuszczała się dalej niż do rażonej piorunem sosny alepskiej, której cień wyznaczał granice znanych wód. Przekroczenie tej linii oznaczało niebezpieczeństwo, chaos i śmierć.

Rozmowa w końcu zaczęła się dłużyć. Joël stłumił ziewnięcie.

– Odprowadzę cię – powiedziała Laura, biorąc go za rękę.

– Dziękuję, to miło z twojej strony. Ale znam drogę... Pogadajcie sobie dalej sami, moje stare kości potrzebują odpoczynku.

Gdy Joël zbierał się wyjścia, Laura rzuciła spojrzenie Renée, która nieznacznym skinieniem głowy dała jej do zrozumienia, że i ona wkrótce zamierza się ulotnić.

– Proszę wybaczyć, jest późno, a ja panią zatrzymuję – zaczął przeproszać Raphaël.

– Ależ nie – wtrąciła się Renée – przeciwnie. Laura nigdy nie kładzie się wcześniej spać. I nie gniewajcie się, że was opuszczam, ale miałam

bardzo męczący dzień.

Pani domu spiorunowała ją wzrokiem. Przyjaciółka zostawiała ją na lodzie. Raphaël pospieszył jej z pomocą.

– Akurat skończymy butelkę.

Laura nalała gościowi wina, szukając w głowie tematu do rozmowy. Raphaël ujął kieliszek i zamieszał zawartość, przyglądając się jej okiem znawcy.

– Wina, gdy są dobrej jakości, nie zapewniają wyłącznie doznań smakowych, ale opowiadają o klimacie, ziemi, ludziach, którzy powołali je do życia. Przemawiają do każdego z naszych zmysłów. Proszę spojrzeć na to różowe wino z Fontcreuse. Jedwabista barwa, brzoskwiniowy kolor...

Laura zainteresowała się z grzeczności i w blasku świec dostrzegła delikatność pasteli i subtelne purpurowe odcienie. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Raphaëlem, który – dowiedziawszy się, że jest malarką i ilustratorką – pochwalił jej zmysł obserwacji.

– Najpierw wzrok – podjął – potem węch, tak zwany pierwszy nos. Bardzo wyszukane i otwarte. Przeniknięte zapachem białych kwiatów. Czuć brzoskwinię, a potem, po napowietrzeniu, bukiet czerwonych owoców, a dokładnie malinę i jeżynę.

Dopiero teraz podniósł kieliszek do ust i wziął długi łyk, który wymieszał między policzkami.

– W ustach jędrne. Konsystencja jest gładka, prawie cielesna, wciąż naznaczona aromatem czerwonych owoców. Na końcu utrzymują się przyjemne nuty cytrusowe. Ogólnie zrównoważone i o odpowiedniej długości. To różowe wino uosabia wdzięk i elegancję naszego regionu. Chciałem, żeby go pani spróbowała.

– Tak poetycko pan o tym opowiada... To cudowne.

Spuścił głowę.

– Enologia to jedna z moich pasji, ale nie jestem sommelierem.

– Można dać się zwieść!

– Cóż, język wina nie ma nic wspólnego z poezją, przynajmniej nie wśród profesjonalistów. Wszystkie te pozornie kwieciste określenia mają konkretne znaczenie. Pierwotnie pozwalały one winiarzom dogadywać się z kupcami, albo odwrotnie. Każde wino ma swój charakter, a w ten sposób przypisywano mu konsystencję, aromaty. To pozwalało lepiej je ocenić i sprzedać.

– Podoba mi się sposób, w jaki pan mówi o swoim zawodzie. Ludzie najczęściej nie potrafią opowiadać o tym, co robią, ponieważ robią to bez zainteresowania albo po to, żeby się popisać.

Raphaël milczał. Rozumieli się.

– Pewnie pan się zorientował, że zupełnie nie mam talentu kulinarnego. Tymczasem gastronomia mnie fascynuje... – dodała Laura, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Dlaczego pani tak mówi? Kolacja była bardzo przyjemna, a pomysł posypania pomidorów z bazylią świeżą miętą jest godzien zapamiętania.

– Żartuje pan sobie ze mnie...

– Nie, mówię poważnie.

– Szczerze mówiąc, byłam tak zestresowana, że się pomyliłam. Zorientowałam się dopiero po fakcie. I chociaż zeszkrobałam większość, widocznie musiało zostać kilka listków.

– Wiele słynnych przepisów powstało na skutek błędu. Na przykład bita śmietana albo tarta Tatin... – Przerwał na chwilę, po czym podjął z błyskiem podziwu w oczach: – Potrafi pani docenić jedzenie, Lauro. Powiedziałbym wręcz, że jest pani prawdziwym smakoszem. Pierwszy raz, gdy się spotkaliśmy, na tarasie przed restauracją, obserwowałam, jak tworzy pani swój pierwszy kęs. Rzekłbym... rytuał.

Laura, zmieszana, jednym haustem wychyliła kieliszek wina.

– Niewielu ludzi przygotowuje go z taką starannością – podjął. – Najpierw kroji pani potrawę wzdłuż, potem wszerz. Następnie nabija pani na widelec po kawałku każdego ze składników tworzących danie. Całość powinna być idealna, ani nie za szeroka, ani nie asymetryczna. Obserwuje pani skomponowany kęs, po czym powoli się nim delektuje.

Laura nie wierzyła własnych uszom. Ceremoniał ten przejęła po ojcu, wielokrotnie widziała, jak go odprawiał. To był jej sposób na upamiętnienie ojca przy każdym posiłku. Fakt, że obcy człowiek zauważył to i pochwalił, zamiast wyszydzić, głęboko ją wzruszył.

– Dla kucharza to najlepsza nagroda, gdy klient poświęca czas na degustację.

Laura uśmiechnęła się. Po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru odważyła się wytrzymać jego spojrzenie. Ten jeszcze młody mężczyzna, młodszy od niej, o twarzy smagłej i serdecznej, porzucił świat pozorów i wkroczył na obszar prywatny. Odkrywała, jaki był wrażliwy, kulturalny, ale dziwiło ją przede wszystkim zaufanie, jakie w niej budził. Była dość nieufna z natury i nie znajdowała tak łatwo wspólnego języka z obcymi ludźmi. Nie wiedziała jeszcze nic o jego życiu prywatnym oprócz tego, że mieszkał sam na łodzi i zdawał się nie mieć innych pasji poza swoją pracą. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wdychając noc. Wiatr ustał i nocne sklepienie jaśniało od gwiazd.

– To naprawdę miło z pani strony, że użycza mi pani schronienia – oznajmił w końcu Raphaël. – Nie chcę oddalać się od *calanques*. Działają na mnie jak magnes. Gdziekolwiek bym popłynął, zawsze do nich wracam...

– Dużo pan podróżował?

– Tak, ale zarzuciłem już kotwicę.

– Ja też.

Pod wpływem różowego wina zapragnęła opisać słowami ukochane

calanques, ale potrafiła dać tylko prozaiczny opis życia w nadmorskiej chacie.

Trzeba zaakceptować mieszkanie z dala od wszelkich wygód, w spartańskich warunkach i nauczyć się codziennie pracować.

– Jak na żaglówce.

– Tak. Jak na żaglówce...

Jeszcze jedna cecha charakteru, która ich łączyła, zwłaszcza że tak jedno, jak i drugie zgodnie przyznawało, że za nic na świecie nie wyrzekłoby się takiej egzystencji. Rozmowa toczyła się do późna, w końcu Raphaël postanowił wrócić na swoją łódź. Przez okno w kuchni Laura patrzyła, jak oddala się i znika w ciemnościach.

Tej nocy znowu nie mogła zasnąć. Jej myśli zaprzętał Raphaël. Nie mogła się powstrzymać od porównywania go z Sébastienem. On także zrobił na niej wrażenie od pierwszego spotkania. Także był przystojny i emanował spokojem, mniej przejmował się tym, jak wypadnie, niż tym, żeby sprawić, aby Laura dobrze się przy nim czuła. Ale należał już do przeszłości, obraz męża przesłonił obraz powściągliwego i jednocześnie czarującego młodego mężczyzny, jakim kiedyś był. Zewnętrznie. Raphaël miał mniej oryginalny wygląd, ale był bardziej zmysłowy, jego sposób bycia, poruszania się i zajmowania przestrzeni miał w sobie coś instynktownego. Mówiąc dokładniej, emanował pożądaniem.

Rozpaczliwie próbowała zasnąć, wreszcie wstała, by napić się wody, i wyszła na taras. Wzniosła oczy ku szczytowi skarp, białych w świetle księżyca, majestatycznych. Nie mogła przywyknąć do myśli, że ziemia, tam, na górze, należy do niej. Był to wciąż teren zakazany, ziemia Soubeyranów, bogaczy, niechętnie zadających się z prostaczkami z nabrzeża. Co pocznie z tymi połączeniami makii? Jej myśli odbiegły daleko, po czym powróciły do rozmowy przy kolacji. Dlaczego Joël obawiał się ewentualnych represji ze strony przeciwników projektu? To prawda, że

tutejsi mieszkańcy są w gorącej wodzie kąpani. Spojrzała pytająco na skały wokół niej. Skąd nadejdzie niebezpieczeństwo? Z gór? Z morza? To absurdalne. Do tego te historie o wrakach, które opowiadali przy jedzeniu. Za każdym razem ją to poruszało.

Poczuła się nieswojo i weszła z powrotem do domu. I nagle poczuła, jak bardzo potrzebuje ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Joël nie mógł już odgrywać roli opiekuna, z wiekiem stawał się coraz większym samotnikiem. Sébastien odszedł z jej życia. Pośród tych wszystkich pytań pojawił się Raphaël. Świadomość, że był blisko, na swojej łodzi, i że odtąd będzie tam co wieczór, dodała jej otuchy.

Płynęła energicznym kraulem, który stopniowo przeszedł w coraz wolniejszą żabkę, aż zupełnie znieruchomiała. Tkwiła zanurzona po samą brodę, wykonując z rzadka określone ruchy, które utrzymywały ją w pozycji pionowej. Poruszała się możliwie jak najmniej, wpatrzona w drugi brzeg zatoki. Żaglówka Raphaëla Ortégi, przycumowana na przystani, kołysała się leniwie obok pointu, tradycyjnej barki rybackiej Joëla. Laura uśmiechnęła się do siebie. Do jej zatoki wprowadził się nowy mieszkaniec. Nie odważyła się podpłynąć bliżej i wróciła na plażę. Maya pierwsza wyszła z wody i zaczęła poszczekiwać. Chciała dalej pływać.

– Wystarczy, psinko! Bądź cicho. Obiecuję ci, że jutro zostaniemy dłużej.

Głaskając sukę, Laura jednocześnie pilnie obserwowała cichą żaglówkę. Raphaël pewnie spał. Może usłyszał szczekanie? Wolała nie kręcić się w pobliżu.

– No, chodź. Jutro przyjdziemy wcześniej.

Żwawym krokiem pokonała setkę schodów, prowadzących do domu i usadowiła się na leżaku, żeby złapać oddech. Lekki wiatr obmył niebo z ostatnich porannych mgieł, które spowijały krajobraz. Każdego dnia, w zależności od pory roku i przepływu chmur, morze oferowało inną paletę barw. Od modrych lub turkusowych błękitów po mleczone lub soczyste zielenie, przez całą gamę szarości; Morze Śródziemne odbijało intensywne światło – to był wyjątkowy spektakl. W prześwitujące wody Przylądka Admirala zanurkowała mewa. Laura śledziła lot ptaka i jej

wzrok padł na zacumowaną w dole żaglówkę. Na widok Raphaëla ścisnęło się jej serce, choć nie wiedziała dlaczego. Stał na przystani i rozmawiał z Joëlem. Zrozumiała, że pertraktował w sprawie wypożyczenia „Zodiaka”, pontonu należącego do Bossisa. Laura zerwała się jednym susem i dotarła do żywopłotu z wawrzynu, rosnącego na skraju tarasu. Szalupa kierowała się w stronę zatoki Cassis. Gdy łódka znalazła się tuż u jej stóp, siedzący na jej pokładzie mężczyzna pomachał do niej ręką, na co odpowiedziała spontanicznie. Szalupa zniknęła po drugiej stronie skarpy. Laura wróciła do domu. Poprzedniego dnia, gdy wzięła Joëla na stronę, aby zapytać go o zdanie na temat wynajmu pierścienia cumowniczego, odpowiedział:

– Jeśli o mnie chodzi, to się zgadzam. Ortéga to porządny facet. Jak ktoś jest marynarzem, to musi być dobrym człowiekiem.

Weszła do domu i naląła sobie kawy, którą niespiesznie się delectowała. Przyłapała się nawet na tym, że analizowała poszczególne składające się na nią aromaty, z zamkniętymi oczami, tak jak Raphaël uczył ją przy degustacji wina. Raphaël... pomyślała. Westchnęła. Otworzyła oczy, przeciągnęła się. Nagle otaczająca ją sceneria sprowadziła ją do zupełnie przyziemnych zajęć. Nadszedł czas na zmianę wystroju wnętrza. Odstawiła filiżankę i weszła do salonu.

Układ mebli skupiał się wokół telewizora, który stanowił centralny punkt pomieszczenia kosztem widoku na morze. Taki wybór, dokonany w czasach jej ojca, dotychczas jej nie przeszkadzał. W myślach przeorganizowała całą przestrzeń. Stara szafa w stylu prowansalskim stanie na miejscu telewizora, który trafi do wbudowanej szafki. Stary kredens w stylu Henryka II przesunie do ściany kuchni, którą otworzy na salon. Wyobraziła sobie blat kuchenny, przerobiony w nowoczesny sposób, z pastelowym oświetleniem emitowanym przez rampę z żarówkami led, ukrytą pod barem. Pomysły same przychodziły jej do

głowy, jakby po prostu rozwijała kłębek wełny. Co do kosztów, nie powinny być wygórowane. Wystarczy kilka wiader farby i dużo samozaparcia, poza tym będzie mogła wykorzystać i przerobić wiele elementów. Niektórym meblom, w tym wielkiemu lustru w ramie z drewna i gipsu, przywróci drugą młodość, nadając im nowy połysk. Wszędzie będą królować biel, panele w naturalnych kolorach i światło! Wystarczy znaleźć czas. Miała książkę, do której musiała skończyć ilustrację. Dzwonić do wydawcy i pertraktować przesunięcie terminu – to było do niej niepodobne, ale co dziś jeszcze było do niej podobne? Miała ochotę wszystko wywrócić do góry nogami, przerobić i pozmieniać. Najpierw wystrój wnętrza. U jej stóp Maya zapiszczała cicho. Jej pani krzątała się gwałtownie i to ją niepokoiło.

Pierwszym pomieszczeniem, do którego wzięła się Laura, była toaleta. Zrywała drugą warstwę tapety, gdy weszła Renée.

– Ojej!!! Wygląda na to, że zabrałaś się do dzieła!

– Zajęło mi to cały ranek.

– Właśnie widzę...

Podekscytowana Laura zeszła z drabiny i opowiedziała Renée o swoich planach, która z dziwnie stoickim spokojem przytaknęła tylko, że to doskonały pomysł. Nic ponadto.

– Spodziewałam się trochę więcej entuzjazmu z twojej strony. Czy mam z tego wywnioskować, że to zły pomysł?

– Przeciwnie. Po trzech latach spędzonych w tej „chałupie” nadszedł czas, żebyś urządziła ją po swojemu. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak mogłaś tu żyć.

Laura zacisnęła wargi, prosząc przyjaciółkę o wyjaśnienia.

– No co, to prawda, twój dom jest idealnie położony i pewnie jest jednym z największych w okolicy. Ale to obskurna nora.

– Przesadzasz, jak zwykle!

– W porządku... Dom jest malowniczy, sympatyczny i przydałby mu się remont.

– Ja nie podzielam twojego upodobania do luksusu.

Kiedy ktoś krytykował Przylądek Admirala, Laura instynktownie pokazywała pazury.

– A konkretnie o co ci chodzi?

– O nic. Pytasz mnie o zdanie, to odpowiadam.

Renée weszła do kuchni i naląła sobie filiżankę kawy. Laura ruszyła za nią.

– Proszę cię, nie zmieniaj tematu. Znam cię za dobrze – rzuciła, odsuwając kosmyk włosów wierzchem dłoni. – Dobrze widzę, że coś cię gnębi. Mów.

Renée upiła łyk i wyszła. Laura nie odstępowała jej na krok.

– Powiedzmy, że myślałam, że opowiesz mi to i owo...

– A czego się konkretnie spodziewałaś? – zapytała Laura, sięgając po szpachelkę.

Renée złapała ją za nadgarstek.

– Lauro Abrigore – powiedziała, patrząc jej prosto w oczy – ja też dobrze cię znam. Czyżbyś szukała sobie jakiegoś zajęcia tylko i wyłącznie po to, żeby nie myśleć o czymś innym? Lub raczej o kimś innym?

– Nie, skądże.

Laura próbowała się wykręcić. Wszystko się pogmatwało. Jedyne, czego była pewna, to że Renée nie powinna zostawić jej samej poprzedniego wieczoru. Chciała zastawić pułapkę...

– Chcesz usłyszeć pikantne szczegóły? Wypiliśmy całą butelkę z Raphaëlem, który wykorzystał mój stan upojenia i przewrócił mnie na stół. Ciąg dalszy scenariusza dopisz sobie sama.

– Nie obrażaj się! Nie pytam z niezdrowej ciekawości.

– Nie, tylko właśnie ta twoja ciekawość czasami wyprowadza mnie z równowagi.

Renée przełknęła zniewagę, ale zaraz się odgryzła.

– Coś podobnego! Zachęcam cię do wyjścia z domu, daję ci okazję do poznania kogoś nowego, a ty masz do mnie pretensje?

– Daj mi święty spokój! Nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale manipulujesz ludźmi, mając przy tym nadzieję, że ci podziękują. Nie jestem marionetką! Jeśli zaś chodzi o tego chłopaka, to nie mam wobec niego żadnych zamiarów, a tym bardziej on wobec mnie.

Renée, urażona uwagą przyjaciółki, nie odpowiedziała i czekała na dalszy ciąg.

– Oczywiście, to, że można czuć sympatię do faceta i nie chcieć od razu zaciągnąć go do łóżka, tobie nie mieści się w głowie.

– Przykro mi, moja droga, ale to, co nie mieści mi się w głowie, to fakt, że się zakochujesz i nie potrafisz szczerze się do tego przyznać.

Laura wzięła głęboki oddech i wymamrotała „odczep się ode mnie”, co zakończyło tę wymianę uprzejmości.

– Świetnie – odparła Renée – w takim razie sądzę, że lepiej będzie, jeśli cię opuszczę. Idę się spakować.

Laura, wściekła, nie zatrzymywała jej. Dalej nerwowo odklejała tapetę, bijąc się z myślami. Miała dosyć tego, że ją pouczano, ba, że mówiono jej, co ma robić. Wiele lat temu, gdy razem z dziećmi jechała za mężem w najodleglejsze zakątki świata, do których zaniósł ją praca zawodowa, coś w niej pękło. Pewnego pięknego ranka obudziła się i życie przeleciało jej przed oczami jak film, w którym grał ktoś inny. Uświadomiła sobie, jak bardzo oddaliła się od samej siebie. Trzeba było odwagi, żeby rzucić wszystko z dnia na dzień, wszystko doprowadzić do porządku, choćby przyszło jej wyzbyć się uczuć i wygody, których wiele kobiet by jej pozazdrościło. Zasyłała się w tej skromnej chatce, gdzie w

burzowe wieczory wiatr wył pod drzwiami, kapryśna instalacja wodociągowa czekała na ratunek hydraulika, który nigdy nie nadchodził, gdzie po dwóch latach oczekiwania na pozwolenie na budowę udało jej się przekształcić strych tak, aby każde z dzieci miało własny pokój. Renée śledziła te wydarzenia ze swojego przytulnego mieszkania przy rue de Naples w zamożnej dzielnicy zachodniego Paryża. Już wówczas nic nie zrozumiała, sądząc, że Laura dołączyła do grona tych kobiet, które chcą być wolne i podbijać świat. Czy ona jej w ogóle słuchała, gdy opisywała, jakie to szczęście móc pływać co rano w swojej zatoce? Mieszkać z oknami przez większość czasu szeroko otwartymi na pełne morze, gdy bryza morska i słońce uprzyjemniały jej dni? Czy w ogóle zdała sobie sprawę, jak bardzo Laura była szczęśliwa?

Najwidoczniej nie.

Do szczęścia brakowało jej faceta, kochanka. Tylko że Laura nigdy nie mogła wdać się w związek fizyczny bez miłości, a miłość, gdy jest się w dojrzałym wieku, nie jest czymś, co można spotkać za każdym rogiem. Tak, nie utrzymywała stosunków seksualnych, obywatela się bez tego, miała inne priorytety i inne radości. I wcale jej to nie frustrowało. Niczego sobie nie odmawiała, do niczego się nie zmuszała. Renée zdecydowanie nic nie zrozumiała.

Energicznym ruchem zerwała ostatni pas tapety, który odkleił się bez trudu. Przyjaciółka stanęła w progu, z bagażami u stóp. W jednej chwili minęła jej złość.

– Naprawdę chcesz wyjechać?

Renée skinęła głową.

– Myślę, że tak będzie lepiej... W przeciwnym razie naprawdę się na siebie poobrażamy!

– Dokąd zamierzasz pójść?

Stały nieruchomo w odległości dwóch metrów od siebie. Laura

poczuła nagle wyrzuty sumienia.

– Tak czy siak miałam zamiar się przeprowadzić – odparła Renée. – Znalazłam dwupokojowe mieszkanie, wolne od zaraz. Nieduże, ale na ostatnim piętrze ładnej kamienicy w samym środku dzielnicy Malmousque. Z widokiem na morze i zamek If! Nie mam na co narzekać.

Laura podeszła z wyciągniętymi ramionami. Ucałowały się.

– Nie gniewaj się na mnie, Abrigore. Czasem mnie ponosi, ale mam do ciebie zaufanie. Poza tym muszę się zająć własnymi sprawami. Mnie też czekają życiowe zmiany.

Przechodząc przez drzwi, Renée odwróciła się z figlarnym uśmiechem na ustach.

– Ale nie myśl, że tak łatwo się mnie pozbędziesz!

Laura przerwała pracę i wyszła, aby usiąść na tarasie. Zgoda, czuła coś do Raphaëla. Ale żeby zaraz miłość? Pociąg, tak. Fizyczny. Już samo to było wystarczająco dziwne, żeby nic więcej nie dodawać. Prawdopodobnie wiele ich łączyło. Z pewnością także dzieliło. Co? Na razie jeszcze nie wiedziała. Z wyjątkiem bardzo różnych talentów każdego z nich, ale bycie kucharzem należało do dziedziny sztuki, gdzie także miesza się odcienie i smaki. Danie komponuje się tak samo jak obraz. Wreszcie był samotnikiem, jak ona. Czy miał jakieś inne życie, może dzieci...? Płonęła żądzą dowiedzenia się o nim czegoś więcej. To był kolejny znak. I ta myśl, która naszła ją w nocy, że w razie niebezpieczeństwa on tu jest, w zasięgu głosu, w zasięgu... ręki. Czy był tak przystojny, jak jej się wydawało? Wygląd jest ważny, nie można go lekceważyć. Laura nie należała do kobiet, które gardzą męską urodą lub twierdzą, że najpierw przywiązują się do męskiego serca. Nie, ciało jest naszą pierwszą powierzchnią kontaktu ze światem i w pewnym stopniu odzwierciedla to, jacy jesteśmy wewnątrz. Raphaël wyglądał na kogoś,

kto żyje w zgodzie z samym sobą. Żadnej maski, żadnego udawania. Był naturalnie piękny, ale niewątpliwie nie zdawał sobie z tego sprawy. Takie odniosła wrażenie w czasie wczorajszej kolacji. Jeszcze wszystko mogło się zdarzyć...

Zakochujesz się.

Zdanie to powracało nieustannie, nie dając jej spokoju. Jak to możliwe? Po tylu latach! I na pewno nie w młodszym mężczyźnie, którego dopiero co poznała. Gdyż w tym właśnie tkwił problem, musiała to przyznać. Raphaël był od niej kilka lat młodszy. A rozważanie choćby tylko romansu wydawało jej się wbrew naturze. To było coś zakazanego. Słodko zakazanego... „Przestań o tym myśleć – powiedziała sobie – i wracaj do pracy”.

Opuściła taras, poprawiając chusteczkę na głowie. Zabezpieczywszy najpierw posadzkę, wygładziła ściany papierem ściernym i z zapalem zabrała się do malowania. Walek poruszał się tam i z powrotem równym tempem, stopniowo zamalowując śnieżnobiałym pasem gips pokrywający ścianki działowe. Renée mogła być irytująca i niezręczna, ale to jej Laura zawdzięczała to spotkanie. Gdyby się nie wtrąciła, Laura nigdy nie odważyłaby się doprowadzić do spotkania sam na sam z Raphaëlem. Spodobało jej się, że pod wpływem ciepłej nocy i różowego wina nie usiłował sprowadzić rozmowy na inny tor... Dała się zauroczyć czarującemu mężczyźnie, który nie próbował swojego czaru wykorzystać. Podziwiała poczucie siły i niezależności, które z niego emanowało. Był mężczyzną wolnym i oddanym swojej pasji, zupełnie jak ojciec Laury. Uśmiechnęła się na myśl o tym porównaniu. Może to właśnie najbardziej jej przeszkadzało. Zamoczyła walek w farbie, a jej myśli odbiegły w daleką przeszłość.

Miała zaledwie pięć lat, kiedy Gilbert Abrigore zainstalował w chatce nowoczesną toaletę pod schodami.

– No, dalej – powiedział jej z dumą – pociągnij za łańcuszek.

Dziewczynka niepewnie wykonała polecenie i patrzyła zachwycona na wir czystej wody spływającej na dno muszli.

– Tak jak u mojej koleżanki Béatrice! – zawołała, rzucając mu się na szyję.

Wygody te, będące czymś powszednim dla wszystkich dzieci z klasy, jej wydawały się ogromnym luksusem, tym bardziej że Gilbert ustawił tam stojak na gazety, w którym znalazła swoje ulubione czasopisma. We wspomnieniach małej dziewczynki wszystko było nowe, lśniąca jak emalia muszla, nowoczesna tapeta w duże czerwone i pomarańczowe wzory, pokrywająca ściany. Ojciec wyjaśnił jej wtedy, że nie będą już musieli wychodzić do ogrodu, a antyczna sławojka z desek, która napawała ją takim przerażeniem w burzowe noce, została zburzona. Laura patrzyła na ojca z podziwem. Tak samo jak wtedy, gdy kilka lat później, po jej powrocie z kolonii, zaprowadził ją przed drzwi, których wcześniej nie było i za którymi zobaczyła lśniącą nowością łazienkę. Pod jej nieobecność Gilbert dokonał czarodziejskiej sztuczki. Odtąd domek na Przylądku Admirala stał się baśniowym miejscem. Jakiś czas później zastanawiała się, czy matka porzuciłaby ich, gdyby te wygody pojawiły się wcześniej. Ze swoich rozważań wyciągnęła naukę, że miłość między ludźmi opiera się czasami na zwykłych przyziemnych sprawach...

Tak daleko, jak sięgała pamięcią, Laura otrzymywała od ojca odpowiedzi na pytania, jakie sobie zadawała o przyrodzie. Nie można go było zaskoczyć. Wciąż jeszcze widziała i słyszała, jak uczył ją biegu chmur albo jak przewidzieć burzę po samym tylko ruchu fal. Gilbert znał tę tajemną mowę. Morze było jego pasją. Jak mogło odebrać go jej bez żadnych wyjaśnień? Laura odgoniła tę myśl i zabrała się do malowania ściany.

– Renée, jesteś prawdziwą wiedźmą – powiedziała cicho. – Doskonale wiedziałas, co robisz, zostawiając mnie samą z Raphaëlem.

Zamierzała właśnie robić poprawki sufitu, gdy wtem zamarła. Raphaël Ortéga stał w drzwiach pokoju i przyglądał się jej nieprzeniknionym wzrokiem.

Nie słyszała, jak wszedł do domu.

– Pukałem wiele razy, ale pani nie odpowiadała – powiedział Raphaël, lekko zmieszany.

– Nie wiedziałam, że...

– Przepraszam. To pewnie nie jest odpowiedni moment. Przyjdę później.

– Ależ nie, proszę zostać. Właśnie miałam zrobić przerwę.

Chcąc dodać sobie pewności siebie, Laura poszła do kuchni i zaproponowała mu kawę. Czula, że wygląda strasznie w fartuchu poplamionym farbą, chustce na głowie i roboczych rękawicach.

– Nie ma Renée?

– Nie.

A jeśli on się interesuje nią? To całkiem prawdopodobne.

– Wyjechała dziś rano – powiedziała, starając się zachować obojętny ton głosu. – Ale mogę jej powiedzieć, że pan był.

– To z panią chciałem się spotkać – odparł cicho.

Podala mu filiżankę, którą on postawił na kuchennym stole.

– Jak mówiłem wczoraj, jestem pani bardzo wdzięczny za wynajęcie mi pierścienia cumowniczego, i chciałbym pani podziękować, pani i Joëlowi.

Laura pozwoliła mu skończyć, nie przerywając. Podobała się jej barwa jego głosu. Co ciekawe, zapamiętała, że miał oczy jak węgiel, intensywnie czarne. Tymczasem w świetle dnia dostrzegła ich głęboką szarość... Zatopiona w myślach, nie zwróciła uwagi na to, o co ją pytał.

– Przepraszam, co pan mówił?

– W ramach podziękowania chciałbym któregoś wieczoru zaprosić panią i Joëla do restauracji. Oczywiście, jeśli pani się zgadza...

– Z Joëlem? Chętnie.

– Zdaje się, że jesteście sobie bardzo bliscy.

– Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie on. Po zaginięciu mojego ojca przygarnął mnie jak własną córkę. Wiele mu zawdzięczam...

Laure uderzyło nagle to, jak bardzo Raphaël się nią interesował. Nie chodziło o taktykę, mającą na celu uwiedzenie jej, ani o formę grzecznościową, ani nawet o zwykłą ciekawość, ale o prawdziwe zainteresowanie. Raphaël jej słuchał. Wytrzymała jego spojrzenie i przyjrzała mu się bezwstydnie. Miał dość krótkie włosy, prawie ogolone na zero, czarne jak heban. Trzydniowy zarost kładł mu się cieniem na policzkach, z wyjątkiem cienkiej blizny, która widniała nad szczęką po prawej stronie.

– Muszę coś panu wyznać – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że Joël zgodzi się tak szybko, żeby pan tu zacumował. Prawdę mówiąc, byłam niemal pewna, że odmówi. Proszę nie zrozumieć źle tego, co powiem, ale nasza rodzina od lat mieszka na Przylądku Admirala i nigdy nie mieliśmy okazji otworzyć naszego rajskiego zakątka dla kogokolwiek. Jest pan pierwszy.

– Czuję się zaszczycony i postaram się okazać godny państwa gościnności.

Laura wbrew sobie śledziła ruch jego warg, pełnych i wydatnych... Wszystko, co o nim wiedziała, to że bosko gotował i że wieczorem po pracy czytał powieści na swojej łodzi. Wzbudził jej ciekawość.

– Ortéga? Jest pan Hiszpanem?

– Mój ojciec był Hiszpanem, z Galicji. Wiem, ludzie spodziewają się,

że zobaczą czarnookiego bruneta. Ale jesteśmy spokrewnieni z Bretończykami i Irlandczykami. Jesteśmy jak Celtowie z całym typowym dla nich temperamentem.

– Kapryśni i uparci!

– Tak mówią. Tylko na kobzie nie gram.

Wypił kawę i rzucił na odchodnym:

– Proszę przyjść dziś wieczorem, jeśli nie ma pani żadnych planów.

We wtorki mamy zazwyczaj mniej pracy.

Laura kilka razy próbowała dodzwonić się do Joëla Bossisa, żeby przekazać mu zaproszenie od Raphaëla, ale nie odpowiadał. Zaintrygowana przemierzyła taras aż do miejsca, z którego miała najlepszy widok na leżące w dole dom i hangar. Okna były szeroko otwarte, łódź spoczywała na brzegu. Kierowana złym przeczuciem, zeszła na przystań. Może zasłabł?

Znalazła go w głębi hangaru, w kącie, w którym chował swój sprzęt do nurkowania. Ubrany w kombinezon sprawdzał ciśnienie w butlach z tlenem. Nie przejął się wyrzutami, jakie mu robiła. Był za bardzo podekscytowany.

– Musisz ze mną pójść, dziecinko. Coś fantastycznego. To prawdziwy cud!!!

– Ale o czym ty mówisz?

– Mówię ci, chodź. Nie pożałujesz. – Po czym, jakby chcąc dodać powagi swoim słowom, dodał: – Trawa morska! Cała masa trawy morskiej, tuż obok, u wejścia do naszej zatoki.

Bossis podał jej płetwy.

– Mówiono mi, że to prawdziwa łąka.

Laura, zachwycona nowiną, wiedziała, co miał na myśli. *Posidonia oceanica*, czyli trawa Posejdona, endemiczna roślina podwodna występująca w Morzu Śródziemnym, była na francuskim wybrzeżu

gatunkiem chronionym. Służyła za siedlisko licznym gatunkom i za główne pożywienie innym. Działalność człowieka, często niszczycielska, ale przede wszystkim inwazyjne rozprzestrzenianie się glonów, zwłaszcza glonów *caulerpa*, zniszczyły dno morskie i przeszkodziły w jej rozwoju. Jej ponowne pojawienie się w okolicy oznaczało powrót podwodnego życia.

Laura założyła kombinezon i podążyła za Bossisem do wody.

Choć Laura nie była entuzjastką nurkowania, czasami zanurzała się w jego towarzystwie. Za każdym razem odnosiła to samo wrażenie. Przylądek Admirala, jak i całe wybrzeże, był tylko końcem jakiegoś początku. Albo odwrotnie. Pod rozległym bezmiarem lazuru, który rozciągał się po horyzont, ciągnęła się nierówna linia prowansalskiego wybrzeża. Imponujące skarpy górowały nad rozległymi równinami. O różnicy decydowało światło, które ciemniało w głębokich dolinach. To ojciec nauczył Laurę nurkować. Nauczył ją też języka znaków, za pomocą którego nurkowie porozumiewają się między sobą, a pierwszy wrak, jaki zobaczyła, pokryty wodorostami, zrobił na niej ogromne wrażenie. Po zaginięciu Gilberta potrzebowała wielu lat, zanim ponownie zeszła pod wodę. Prześladowało ją spotkanie twarzą twarz z wrakiem „Lauramor”.

Znajdowali się na głębokości około dwudziestu metrów, gdy Joël odwrócił się do niej i wskazał na słynną łąkę, która rozciągała się przed ich oczami. Zapуścił się tam, głaszcząc trawę wierzchem dłoni. Laura zamierzała zrobić to samo, gdy wtem ławica małych żółtych rybek przepłynęła pomiędzy nimi, goniona przez szary cień granika. Granik podpłynął do niej, zakręcił się w kółko w chmurze baniek tlenu, które wypuściła. Mimo imponujących rozmiarów i mało sympatycznego pyska, ten gatunek ryby był całkowicie nieszkodliwy. Laura wiedziała o tym. Był łagodny i lubił towarzystwo ludzi, nie domyślając się, że

niektórzy z nich skorzystaliby z jego łagodności, żeby go złowić.

Nagle spostrzegła Joëla, która płynął do niej w pośpiechu. Z kciukiem uniesionym do góry nakazał jej, żeby jak najszybciej wracała na ląd. Przez chwilowy brak skupienia Laura nie wiedziała, co się dzieje. Potem dostrzegła masywną sylwetkę wynurzającą się z głębin. Joël wyglądał na przerażonego. Płynęła pionowo do góry, z całych sił, i udało jej się schronić na płaskiej skale pod chwiejną sosną. Wypatrując Bossisa, który się nie pojawiał, już miała zanurzyć się z powrotem, gdy zobaczyła w odległości kilku metrów od brzegu srebrzysty błysk płetwy...

Leżąc w koi na swojej żagłówce, Raphaël obserwował pierwszy brzask poranka przez świetlik umieszczony nad łóżkiem. Musiała być najpóźniej piąta rano. Znowu opuścił go sen. Odkąd zakotwiczył łódź w zatoce na Przylądku Admirala, jego noce urywały się przed świtem. Przesunął dłonią po kielkującej brodzie.

Zazwyczaj w pełni sezonu potrzebował dużo snu, żeby odpocząć i nabrać energii. A Bóg jeden wie, że energia była mu potrzebna, żeby codziennie przygotowywać posiłki w południe i wieczorem, każdy na osiemdziesiąt talerzy! W ciągu pięciu lat zrealizował swoje marzenie, żeby zostać właścicielem restauracji, wyróżniającym się spośród marnych parzygnatów, którzy wolą rozstawiać w portach sidła na turystów, zamiast interesować się swoim zawodem. Raphaël Ortéga nie przypadkiem wybrał gotowanie. Dla niego było ono powołaniem, dziecięcym marzeniem.

W wieku czterech lat ze zdumieniem odkrył, że smakołyki, które pichciła jego babcia, pochodziły z ogrodu. Wówczas zainteresował się sposobem ich przyrządzania, ale babcia nie zdążyła przekazać mu wszystkich swoich sekretów. Po jej śmierci Raphaël odczuł ogromną pustkę i schronił się w gotowaniu. Matka, która wychowywała go sama, odkąd się rozwiodła, przejęła pałeczkę. Jako nastolatek nie zmienił pasji. I z gotowania uczynił swój zawód.

Zbieg okoliczności sprawił, że postanowił rozpocząć działalność na własny rachunek i skorzystał z okazji, żeby oddalić się od rodziny. Miał dwadzieścia cztery lata, trochę oszczędności i doświadczenie w pracy

zastępcy szefa kuchni. Chciał spróbować sił. Wszedł w spółkę z menedżerem i razem otworzyli restaurację. Jednak pomimo sukcesu Raphaël szybko poczuł się uwiązany. Coraz gwałtowniejsze sprzeczki ze wspólnikiem skłoniły go ostatecznie do wycofania się i rozpoczęcia działania na własną rękę. Raphaël cenił swoją wolność. Zasmakował jej i nie znosił jakichkolwiek zobowiązań, które przeszkadzałyby mu w pracy. To dlatego wybrał życie na łodzi.

Gwałtowniejsza od innych fala zakołysała kadłubem żaglówki i sprowadziła go na ziemię. Znowu o niej myślał... Dlaczego tak często zakłócała mu spokój ducha? Poznał w życiu kilka kobiet, lecz mniej, niż mu przypisywano. Był przystojny, ale, co dziwne, nie wykorzystywał tego. Właściwie nigdy nie uważał się za szczególnie atrakcyjnego i nigdy się tym specjalnie nie przejmował. Lubił kobiety, szanował je, jedyne, czego chciał, to zaspokajać ich pragnienia. Do tej pory dwukrotnie związał się z kimś na dłużej. Po raz pierwszy z córką swojego przyszłego wspólnika. Odradzano mu angażowanie się w tak młodym wieku w romans, który niechybnie zakończyłby się ślubem, gdyż rodzina jego przyjaciółki na to nalegała. Mało brakowało, a zgodziłby się, przekonany, że aby być dorosłym, trzeba się ustatkować, założyć rodzinę. Cała historia zakończyła się fiaskiem. Nie był stworzony do małżeństwa.

Później przeżył ognisty romans z Virginie, mężatką. Przez trzy lata spędzali razem skradzione chwile, na które pozwalają sobie potajemni kochankowie. Myślał, że znalazł kobietę, która do niego pasuje, jednocześnie obecną i nieobecną, wolną, choć zajętą, a potem pewnego dnia wyjechała z mężem do Hongkongu. Raphaël stracił najlepszą przyjaciółkę, kobietę, która najlepiej znała mężczyznę, jakim się stał. Virginie była od niego o dziesięć lat starsza. Uwiodła go swoją swobodą i sposobem, w jaki oddawała mu się, należąc w głębi duszy wyłącznie do

siebie samej. Zdawał sobie z tego sprawę. Parę razy próbował ją zatrzymać. Ale przemówiła mu do rozsądku. Po jej wyjeździe za granicę i cichym rozstaniu właściwie nie cierpiał. Ale długo brakowało mu ich potajemnych spotkań, wspólnej zażyłości, bo były niczym wspomnienie raju, którego zakazane owoce uwielbiał zrywać. Raju sekretnego i utraconego.

Przebiegł jasnym wzrokiem po małym wnętrzu kabiny, znał każdy jej najmniejszy zakątek. Gdy wracał zmęczony po całym dniu pracy, zamiast słuchać muzyki, czy oglądać obrazki przesuwające na ekranie komputera, kładł się z kryminałem albo powieścią podróżniczą w rękach i czytał, póki zmęczenie go nie pokonało. Potem, po kilku godzinach snu, gdy pierwszy promień słońca wkradał się do kabiny, wstawał, robił serię brzusków na pokładzie, jadł solidne śniadanie i wyruszał do restauracji.

Ale od kilku dni jego myśli zaprzętała Laura Abrigore. Nie było godziny ani chwili, żeby jego myśli nie podążały ku niej. Co się z nim dzieje? Czyżby się zakochał? Taka ewentualność wydała mu się niemożliwa. Raphaël był uodporniony. Po epizodzie z Virginie to było zupełnie niepojęte. I zbyt świeże. A jednak musiał przyznać się sam przed sobą: Laura nie była mu obojętna. Nie była jedną z tych kobiet, które przykuwają uwagę na pierwszy rzut oka, lecz tych, przy których mężczyzna zatrzymuje się na dłużej.

Oczyma wyobraźni widział ją tego dnia, gdy się poznali, siedzącą na tarasie, gdy on bezskutecznie usiłował przedłużyć wynajem miejsca w porcie. Najpierw w oczy rzuciła mu się Renée, ze swoją płomienną aparycją, zaraz potem jego uwagę przykuła Laura. Wyglądała na zdystansowaną, długie, złocisto opalone nogi skrzyżowała pod krzesłem, jakby chciała zachowywać się możliwie jak najdyskretniej. Raphaël stwierdził, że była wzruszająca, inna od klientek, które przychodziły

mizdrzyć się na tarasie. Uśmiechnął się do niej, przechodząc obok, dopóki kelner nie oznajmił mu, gdy wracał do restauracji: „Szefie, tamta pani chce panu pogratulować. To pani Abrigore, klientka z Przylądka Admirala”. Raphaël był tym zachwycony, a jeszcze bardziej ucieszył się nazajutrz, gdy przyszła do niego, aby mu oznajmić, że może cumować swoją żaglówkę w jej zatoce...

Jeszcze przez chwilę leżał w łóżku i rozmyślał o wieczorze, który przedwczoraj spędzili razem. Jej obecność sprawiała, że czuł się szczęśliwy i lekki. Dostrzegł, że nie był jej obojętny, ale ani myślał o tym, żeby ją uwodzić. Chciał tylko zyskać jej przyjaźń. Następnego ranka widział, jak pływała z psem w zatoce, ale nie śmiała zbliżyć się do żaglówki. Zauważył jej wahanie i sposób, w jaki wróciła do domu. Później, wypływając do restauracji na pokładzie „Zodiaca”, miał nadzieję, że zobaczy ją na tarasie przed domem, i tak też się stało. Nawet pozdrowili się gestem dłoni. Więc chcąc dać jej jakiś znak, postanowił zaprosić ją tamtego wieczoru do Admiralicji razem z Joëlem. Laura się zgodziła. Tamtego dnia dał z siebie wszystko, w południe przygotowywał posiłki w świetnym humorze. Potem przyszła umówiona godzina, ale goście się nie pojawili. Nie zadzwonili, nie wyjaśnili. Próbował się do nich dodzwonić, ale systematycznie odpowiadała mu poczta głosowa Laury. Wraz z upływem czasu robił się coraz bardziej nieprzyjemny dla swojego personelu. W końcu wylał złość na Manu, swoim zastępcy. Rozgorzała kłótnia i Raphaël, wściekły, odesłał go do domu.

Nic z tego nie rozumiał. Laura nie była typem kobiety, która nie dotrzymuje słowa. Coś musiało się stać. Miał tyle pracy, że nie wiedział gdzie włożyć ręce i spieszyło mu się, żeby jak najszybciej zamknąć restaurację, musiał więc swoje troski odłożyć na później. Klienci jakby celowo się zasiedzieli. Wrócił o godzinie drugiej nad ranem, noc była bezksiężycowa, morze koloru atramentu. Dwa razy silna fala boczna

uniosła „Zodiac” do góry, silnik pracujący na pełnych obrotach naraził ponton na niebezpieczeństwo. Gdy dopłynął, natychmiast wyskoczył na przystań, minął skarpe i wspiał się po setce schodów, które wiodły do domu Laury. Czerwony fiat stał zaparkowany. Podszedł z wahaniem, ale zatrzymał się, zobaczywszy światło zza okiennic. A więc była w domu i nie miała ochoty się z nim widzieć. „OK”, powiedział do siebie zrezygnowany i wrócił na łódź.

Raphaël zerwał się na równe nogi, chcąc wyrzucić z siebie ogarniającą go złość. Ułożył się twarzą do ziemi i zrobił serię pompek. Jak mógł być taki naiwny? Spocony i wyczerpany, wstał i rzucił okiem przez świetlik, który wychodził na *calanque*. „Dureń, co z ciebie za dureń – powiedział sam do siebie. – Tak, jakby ta kobieta czekała, żeby paść ci w ramiona. Lepiej byś zrobił, gdybyś zadzwonił do Manu. Będziesz go potrzebował w pełni sezonu”. Zważywszy na poranną godzinę, postanowił wysłać mu SMS-a z przeprosinami. Ale zasięg, który w *calanque* był szczególnie kapryśny, okazał się niewystarczający. Zapisał wiadomość i obiecał sobie, że wyśle ją po dotarciu do restauracji.

Zjadł śniadanie w mesie i czekał na Laurę, przemierzając pokład żaglówki. Wielokrotnie zdawało mu się, że słyszy chrapliwe poszczekiwanie psa, które mogłoby oznaczać pojawienie się sąsiadki. Ale Laura nie przyszła popływać. Raphaël odpłynął więc, później niż zwykle...

Po przybiciu do brzegu nie zatrzymał się na pogawędkę z kioskarzem, który odpakowywał najświeższe wydanie „La Provence”, ani z piekarzem, który wracał do domu, włożywszy chleb do pieca. Właściciel Admiralicji chciał zostać sam ze sobą, przemyśleć sytuację i przede wszystkim zrozumieć, dlaczego Laura się nie odzywa. Szedł boczną uliczką, szukając kluczy do wejścia służbowego.

– Cześć.

Słyszając głos Manu, którego nawet nie zauważył, Raphaël się rozchmurzył.

– Napijmy się kawy, *compañero*.

Emmanuel Olivier, który w wieku osiemnastu lat zaciągnął się do marynarki, zachował ze swojego pobytu w wojsku punktualność i posłuszeństwo rozkazom. Już miał zostać kwatermistrzem, gdy jednak postanowił podążać inną drogą. Ożenił się i porzucił armię, zostając specjalistą od dań pieczonych, smażonych i z rusztu w prestiżowym lokalu, gdzie pracował razem z Raphaëlem Ortégą. Gdy Raphaël otworzył swoją pierwszą własną restaurację, zabrał ze sobą kolegę z pracy, który doskonale znał się na pieczeniu mięsa, drobiu, dziczyzny, ryb i skorupiaków. Manu nie miał sobie równych w dziedzinie krojenia mięsa i pozbawiania go kości. W mgnieniu oka dostrzegał, w którą stronę je pokroić i jak przyrządzić w zależności od upodobań i przypraw. Z biegiem czasu między dwoma mężczyznami zawiązały się prawdziwe więzy przyjaźni. Manu był cennym współpracownikiem, do którego Raphaël miał całkowite zaufanie.

– Od jak dawna się znamy? – zapytał, nalewając mu mocne espresso.

– Od dwunastu lat i siedmiu miesięcy.

Raphaël nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Cóż za wojskowa precyzja. Na zadawane mu pytania Manu odpowiadał zwięźle, głośno i wyraźnie, bez najmniejszych emocji. Brakowało tylko krótkiego: „tak jest, szefie!” na początku każdego zdania i czułby się jak w wojsku... albo w kuchni, bo ekipa kucharzy także działała według ściśle ustanowionej hierarchii. Czasami Raphaël zastanawiał się, czy jego przyjaciel przypadkiem nie był cyborgiem.

– Głupio się wczoraj zachowałem. Nie powinienem wyładowywać się na tobie. Bardzo cię przepraszam.

– Jasne, nie ma sprawy.

Stali w półmroku sali restauracyjnej. Szef Admiralicji naprawdę myślał to, co mówił. W tamtej chwili chciał, żeby jego pomocnik okazał się bardziej skory do zwierzeń. Ale Manu stał niewzruszony i wydawał się czekać na rozkazy na rozpoczynający się dzień.

– Kobieta? – zapytał zupełnie nieoczekiwanie.

Raphaël, zaskoczony tym pytaniem, zmierzył go zdziwionym wzrokiem. Czy dobrze usłyszał? Czyżby cyborg miał przebłyski ludzkich uczuć? Po raz pierwszy od dwunastu lat „i siedmiu miesięcy” dawał mu tego dowód. Raphaël skinął potakująco głową.

– Od jak dawna ją znasz?

– Dopiero od kilku dni... Ale ona ma to coś, wiesz.

Manu nie wiedział, ale słuchał uważnie. Raphaël opowiedział mu w skrócie o spotkaniu, kolacji, tarasie w ciepły wieczór...

– Wiem, jest starsza i na pewno ułożyła już sobie życie po separacji z mężem. To wszystko jest śmieszne i właściwie nic się takiego nie stało. Wszystko to wiem.

– Wpadłeś – rozstrzygnął Manu.

Raphaël popatrzył na niego bezradnie.

– Zajmij się pracą – ciągnął przyjaciel. – Gdy mój ojciec odszedł z domu, matka myślała, że oszaleje. Czwórka dzieci, w tym dwoje małych! Harowała jak wół. Wieczorem kładła nas spać i padała ze zmęczenia. Niczego nie zauważyliśmy.

– Masz rację.

Manu wypił ostatni łyk espresso i zerwał się z miejsca.

– Zabieramy się do roboty, szefie?

– Zabieramy się do roboty.

Admiralicja zajmowała jedno z najlepszych miejsc na bulwarze des Baux. w samym centrum Cassis. W pełni sezonu drewniany taras pozwalał pomieścić dwa razy więcej osób niż sala. Gdy Raphaël otwierał ją pięć lat wcześniej, chciał nadać restauracji charakter na miarę swoich aspiracji: żadnego blichtru, żadnego prowansalskiego folkloru. Wystrój miał być nowoczesny. Firma specjalizująca się we włoskim dizajnie dostarczyła meble, proste i stworzone z połączenia naturalnych tworzyw, metalu i żywic syntetycznych. Raphaël zdecydował się na białą owalną porcelanę, która dawała możliwość oryginalnego prezentowania dań. Nie było obrusów, tylko podłużne serwety na stołach. W przedłużeniu sali restauracyjnej widać było kuchnię, którą wyeksponowano za szeroką przeszkloną ścianą.

Raphaël okazał się szczególnie wymagający przy projektowaniu kuchni. Chciał, żeby była przestronna, funkcjonalna i zewsząd widoczna. Wychodził z założenia, że kolacja w restauracji nie powinna pozbawiać klientów spektaklu, który rozgrywał się za kulisami. Lśniące piece kuchenne, długie blaty ze stali nierdzewnej i balet, jaki towarzyszył przygotowaniom, gotowaniu i podawaniu dań. Raphaël chciał, żeby wszystko było widoczne. Ekipa dobrze o tym wiedziała. Najmniejsze zaniedbanie, najdrobniejsze potknięcie nie umykało uwagi gości, choć do sali nie dochodził żaden dźwięk. Za każdym razem, gdy otwierano restaurację, ekipa dowodzona przez swojego szefa wkraczała na scenę i musiała zaprezentować takie przedstawienie, aby widownia była zadowolona. Był to jeden z powodów, dla których przez resztę

czasu Raphaël żył jak pustelnik na swojej żaglówce. Poprzedniego wieczoru, gdy wybuchła sprzeczka między nim a Manu, szef kazał swojemu zastępcy wyjść razem z nim na ulicę, z dala od spojrzeń klientów. Kiedy zatrudniano kogoś w Admiralicji, jeden z pracowników podejmował się wyjaśnienia nowicjuszowi, co oznacza, gdy szef zaprasza do swojego gabinetu...

– Dzisiaj proponujemy filet z pioszka albo duszoną cielęcinę z grzybami i karmelizowaną cebulą albo polentą w ziołach prowansalskich – oznajmił Raphaël.

– A co do filetów?

– Warzywa w soku z homara.

– To było w jadłospisie w zeszłym tygodniu...

– Masz rację – przyznał Raphaël, zażenowany własnym roztargnieniem. – W takim razie krem cytrynowy z zielonymi szparagami.

– Doskonale! Dawno go już nie proponowaliśmy, a ludzie za nim przepadają.

Maxime, kelner, który zawoził Laurze dania do Cap Amiral, pierwszy przekroczył próg wejścia służbowego do Admiralicji. Zgodnie z ustalonym harmonogramem zaczynał o godzinie ósmej, ale stawiał sobie za punkt honoru, żeby przyjść wcześniej. Był odpowiedzialny za przygotowanie tarasu, co zajmowało mu dobry kwadrans, zanim doprowadził go do stanu używalności. Potem przychodzili kolejno pozostali pracownicy. W pełni sezonu ekipa składała się, oprócz Raphaëla i Manu, z jednego pomocnika kucharskiego – który, jak nazwa wskazuje, pomagał utytułowanym kucharzom, jednego pomywacza, trzech praktykantów i dwóch stażystów. Sophie, kierowniczka sali, pracująca przez cały rok, miała pod nadzorem dwóch kelnerów w restauracji, a latem jeszcze trzech dodatkowych, którzy obsługiwali gości

na tarasie, zarówno podając dania, jak i przygotowując napoje w barze. Ekipa była w komplecie i mogła zaczynać pracę.

Przez cały dzień Raphaël był milczący i ograniczał się do wydawania poleceń, usiłując skoncentrować się na pracy. Ale robił to bez entuzjazmu.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Manu, zbierając się do wyjścia jako przedostatni.

– W porządku. Wrócę do siebie i poczytam.

– To najlepsze, co możesz zrobić.

Wierny pomocnik szefa kończył właśnie zdanie, gdy zauważył jakąś kobietę w drzwiach wejściowych. Raphaël poczuł, jak krew gotuje mu się w żyłach.

– To do mnie.

Manu natychmiast zrozumiał, że jest tam zbędny i umknął do kuchni. Raphaël poszedł otworzyć.

– Nawet pan nie wie, jak mi niewiarygodnie głupio.

– No właśnie, nie wiem...

Od razu pożałował swojego tonu. Laura wyglądała mizernie i nieszczęśliwie.

– Napije się pani czegoś?

– Jeśli ma pan to wyśmienite różowe wino, to chętnie.

Raphaël odkorkował butelkę i usiedli przy stole już nakrytym na następny dzień.

– No więc? – rzucił, napełniwszy kieliszki.

Podniosła ku niemu oczy. Jej spojrzenie było poważne.

– Chodzi o Joëla.

– O Joëla?

– Wczoraj, poszliśmy nurkować i ... zdarzyło się nieszczęście.

Na wspomnienie tego, co się stało, wzięła głęboki oddech i zaczęła

opowiadać. Raphaël poczuł się tak bezsilny, że musiał się powstrzymać, żeby nie chwycić jej za rękę.

– Chciał mi pokazać trawę morską, roślinę podwodną, niezwykle cenną dla odbudowy fauny. Jeden z jego znajomych nurków odkrył ją u wejścia do Przylądka Admirala. Joël był tym ogromnie podekscytowany.

Uśmiechnęła się słabo ze smutkiem.

– Poszłam razem z nim. On płynął przodem. Ja zostałam w tyle. A potem zobaczyłam, jak nagle bardzo szybko wynurza się na powierzchnię. Dał mi znak, żebym popłynęła za nim. Dopiero na lądzie zrozumiałam, przed jakim niebezpieczeństwem chciał mnie uchronić. Wciąż jeszcze stoi mi przed oczami ta płetwa na powierzchni wody. Była tak blisko.

– Płetwa? Chce pani powiedzieć, że to był...

– Rekin. A dokładnie żarłacz biały.

– Myślałam, że nie występują w Morzu Śródziemnym.

– To nieprawda! Przepływają przez Morze Czerwone, a ocieplanie się wód sprawia, że migrują coraz dalej i dalej.

Raphaël obawiał się najgorszego.

– Joël chciał się uratować, chowając się w wyjątkowo ciasnej podwodnej wnęce skalnej. Siedział w niej przez jakiś czas, mając nadzieję, że rekin odpłynie. Ale pęcherzyki tlenu, które wypuszczał, przyciągnęły uwagę żarłacza. Więc zaryzykował i postawił wszystko na jedną kartę: odwrócił uwagę rekina, otwierając na oścież zawory butli i wyrzucając ją daleko przed siebie.

– I udało się?

– Tak. Ale za szybko wynurzył się na bezdechu. Gdy znalazł się na powierzchni, doznał ataku serca. Natychmiast zadzwoniłam po pomoc. Zawieźli go na pogotowie. Spędził noc na oddziale intensywnej terapii.

– Jak się teraz czuje?

- Nadal jest pod obserwacją.
- Co mówią lekarze?
- Powinien wyjść za dzień lub dwa.

Następnie Laura wyjaśniła, dlaczego wcześniej go nie powiadomiła. Po spędzeniu połowy nocy w szpitalu wróciła do domu, żeby zabrać kilka rzeczy i pojechała z powrotem. Tak bardzo się martwiła, że zapomniała o zaproszeniu.

– Proszę się tym nie przejmować. Najważniejsze, żeby Joël jak najszybciej wrócił do zdrowia.

– Tamtej nocy, kiedy wróciłam do szpitala, zapomniałam komórki, która została w domu podłączona do prądu. Nie znam numeru pańskiego telefonu. A dzisiaj rano nie chciałam panu przeszkadzać.

- Powinna była pani zadzwonić.
- Wolałam się z panem zobaczyć.
- I dobrze pani zrobiła.

Nic już nie miało znaczenia. Siedzieli obok siebie w opustoszałej restauracji. Raphaël nagle zdał sobie sprawę, że mógł ją stracić. I nigdy już nie móc jej powiedzieć, jak bardzo pragnął jej obecności. Z nieskończoną delikatnością położył palec pod podbródkiem Laury, uniósł jej twarz ku swojej i wyszeptał:

- Bardzo mnie pani przeraziła.

Serce Laury zaczęło bić ze wszystkich sił. Ten gest ją zaskoczył. Co teraz zrobi? Weźmie jej twarz w dłonie, pocałuje w usta? Zamknęła oczy.

– Że też o tym nie pomyślałem. Musi pani umierać z głodu! – wykrzyknął.

Otworzyła oczy z ulgą i żalem jednocześnie. Już odwrócił się i ruszył w stronę kuchni.

- Białko. Oto czego pani potrzeba po tylu przejściach.

Białko? Laura siedziała jak przykuta do krzesła, targana różnymi uczuciami: była rozczulona i równocześnie strasznie chciało jej się śmiać. Raphaëla interesowało tylko to, żeby postawić ją na nogi. Jak mogła się tak pomylić? Byli przyjaciółmi, a przystojny sąsiad właśnie jej to przypomniawszy. Pod wpływem Renée zaczęła wyobrażać sobie Bóg wie co. Jej samej nigdy podobne bzdury nie przyszyłyby do głowy.

Wstała i weszła do Raphaëla za przeszkloną ścianę.

– Jest późno – powiedziała. – To miło z pana strony, ale chciałabym wrócić do domu.

Ale Raphaël już zabrał się do dzieła. Rozpiął jeden guzik przy koszuli. Laura spuściła oczy, dostrzegłszy z zakłopotaniem przez uchylony kołnierzyk kilka włosków na klatce piersiowej.

– Proszę mi dać dwie minuty – poprosił błagalnie. – Zrobię pani omlet z ziołami. Cząber, szałwia i majeranek. Następnie, jeśli pani sobie życzy, mogę zaproponować krem cytrynowy z zielonymi szparagami.

Twarz Raphaëla zajaśniała promiennym uśmiechem.

– To żaden kłopot, mieliśmy to w dzisiejszym jadłospisie.

Sprawiał wrażenie tak zachwyconego, że zgodziła się zostać, choć właściwie zupełnie nie była głodna. Rozbijał jajka w stalowej salaterce, a Laurze kłębiły się w głowie setki sprzecznych myśli. Ten chłopak był uroczy i bardzo ceniła sobie jego przyjaźń. Ale z drugiej strony, co jej przyjdzie z takiej przyjaźni? Nie potrzebowała przyjaciela, przynajmniej nie takiego. Sączyła różowe wino, stojąc przed aluminiowym blatem kuchennym, który dzielił ją od kucharza.

– Jutro, jeśli się pani zgadza – powiedział, nie spuszczać z oczu przygotowywanej potrawy – chciałbym pojechać z panią do szpitala.

Propozycja ta odezwała się w niej echem niczym obietnica spotkania się nazajutrz.

– To miło z pana strony. Jestem pewna, że Joël się ucieszy.

- Mogę być u pani o szesnastej?
- Chciałam pojechać tam pod wieczór. Podwiozę pana, jeśli pan chce.
- Świetnie.

Teraz Raphaël znalazł się na wprost niej. Stał przy piecu kuchennym, pod rampą lamp halogenowych, które nadawały jego spojrzeniu migotliwego i wesołego błysku. Jego spojrzeniu, które dwa dni wcześniej tak ją oczarowało... Roześmiała się. Dużo się śmiała. Raphaël roztaczał wokół siebie lekkość i beztroskę, o których już zapomniała. Przyglądała się, jak układał omlet na warstwie rozpunkki, którą przyprawiał świeżo zmielonym czerwonym pieprzem. Skropił oliwą, dodał octu balsamicznego, posypał szczyptą soli i gotowe. Podał jej starannie przygotowane danie. Laura przyglądała mu się przez chwilę, po czym pieczołowicie skomponowała swój słynny „pierwszy kęs”. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zamknąć oczu, delektując się jedzeniem. Potrawa ta, tak łatwa do wykonania, okazała się prawdziwą eksplozją smaków, pełną finezji i lekkości.

– Przepyszne – powiedziała z podziwem. – Nigdy nie jadłam równie pachnącego omletu.

– Sekret tkwi w ziołach... – Zniknął za stołem, po czym wrócił z gałązką suszonej rośliny. – Proszę spojrzeć, na przykład to. Na pierwszy rzut oka wygląda jak pierwsze lepsze źdźbło szaławii. Otóż wcale nie, to jest szałwia porzeczkowa! Pochodzi z krzewu, który w stanie naturalnym rośnie wyłącznie na przylądku Canaille. To jedyna szałwia, której olejek eteryczny utrzymuje się tak długo. – Dziecinnym gestem potarł roślinę między palcami i zachęcił Laurę, aby powąchała. – Co pani o tym sądzi?

– Niezwykłe.

– Znalazłem tę odmianę przez przypadek, spacerując po *calanques*. Zrobiłem z niej sadzonkę, która całkiem nieźle przyjmuje się w ogrodzie,

który urządziłem sobie za miastem. Uprawiam go w sezonie i jestem z niego bardzo dumny!

Ogródek ten, który, jak sądziła, leżał na kamienistej glebie, albo wręcz na litej skale, musiał wymagać od niego ciężkiej pracy. Ale wyglądało na to, że zadowolenie klientów wynagradzało mu wszystkie wysiłki.

– Dlaczego nie ma pan żadnych gwiazdek^[7]? Nie brakuje panu ani talentu, ani pomysłowości.

Raphaël oparł łokcie na blacie kuchennym.

– Gwiazdki... Sława... To nie dla mnie. Wyróżniony szef kuchni wydaje rano polecenia i pilnuje, żeby lokal działał według ściśle określonych zasad. Niektórym udaje się gotować, ale większość z nich zleca prace w kuchni innym i zostaje menedżerami, specjalistami do spraw marketingu. Kilka lat temu założyłem spółkę. To była katastrofa! Mój kolega chciał przede wszystkim zbić interes, zbierać gwiazdki i odcinać kupony. Było to nie tylko naiwne, ponieważ nie da się wejść do tego elitarnego kręgu, licząc na łut szczęścia, ale mnie to nie odpowiadało. Chciałem zachować wolność i pasję. Dlatego wszystko rzuciłem. Nienawidzę szufladkowania. – Wstał, z błyszczącymi oczyma. – To, czego chcę, to poszukiwać, iść do przodu. Każde danie jest jedyne w swoim rodzaju. Nie wyobraża sobie pani, ile wariantów jednej potrawy można stworzyć przy użyciu tym samych składników. Choć spędzam większość czasu w pracy, dobrze mi z tym. Nie czuję, żebym pracował. Dobrze się bawię.

Laura odczuwała to samo w swojej pracy. Biała kartka czy pusty talerz rzucały takie samo wyzwanie. Tak jak ona, Raphaël musiał szukać w sobie natchnienia, podtrzymywać je, dbać o nie, podsycać pomimo wątpliwości i licznych kłopotów dnia codziennego, które je zakłócały. To pewnie dlatego odczuwał taką potrzebę niezależności.

– Mnie – odparła Laura, odnajdując tę samą bliskość, co dwa dni wcześniej – za każdym razem, gdy próbuję coś ugotować, wychodzi katastrofa. A przecież trzymam się przepisu słowo w słowo.

– Sekret tkwi w jakości wybranych składników. Weźmy na przykład takiego zębacza. W zależności od tego, skąd pochodzi, może rozpływać się w ustach albo być twardy jak podeszwa.

Przerwał. Laura skończyła jeść omlet.

– Jeszcze kilka lat temu proponowałem go w jadłospisie. Dzisiaj już nie. Jest już prawie niedostępny, drogi i ma posmak benzyny. – Potrząsnął głową z powagą, o jaką by go nie podejrzewała. – Wie pani, że jest zagrożony wyginięciem wzdłuż naszych wybrzeży?

– Tak. Czytałam o tym w raporcie w sprawie utworzenia parku.

– Ten park to dobra rzecz. Osobiście popieram pomysł, nawet jeśli tutejsi mieszkańcy są mu nieprzychylni. Ma pani rację, że o niego walczy.

Siedzieli jeszcze kilka chwil, rozmawiając o wszystkim i o niczym, a potem Laura postanowiła wracać. Raphaël odprowadził ją do samochodu.

– Dziękuję za omlet! – powiedziała, całując go niespodziewanie w oba policzki.

Potem wsiadła do swojego czerwonego fiacika i przekreśliła kluczyki w stacyjce. Bez powodzenia. Silnik nie chciał zapalić. Raphaël, który stał przy drzwiach samochodu, zastukał w szybę.

– To prawdopodobnie akumulator. Pewnie się rozładował. Proszę mi zostawić kluczyki, zajmę się tym jutro rano.

Podał jej rękę.

– Odwiozę panią. Noc jest jasna, nie ma się czego obawiać.

Laura nawet nie próbowała udawać, że się waha. Podała Raphaëlowi kluczyki do samochodu.

Przepłynęli zatokę na pokładzie „Zodiaca”. Laura siedziała z tyłu, blisko Raphaëla. Oboje obserwowali w ciszy roztaczający się przed nimi krajobraz. Na niebie księżyc w pełni opromieniał srebrzystym blaskiem fale, które płynęły ku podnóżom szczytów. Laura błędziła spojrzeniem po ujściu rzeki w Port-Miou, największej z *calanques*. Przy tej dawnej kopalni wapienia, która sięgała daleko w głąb lądu, kotwiczyło teraz dużo żaglówek, zdaniem Joëla sześćset. Znajdujące się tam miejsca postoju były szczególnie rozchwytywane.

– Czy pani wie, że jest pani aniołem? – powiedział nagle Raphaël, gdy mijali Port-Miou. – Gdyby nie pani pomoc pewnie wylądowałbym w La Ciotat, bo między Marsylią a Cassis nie ma już ani jednego wolnego miejsca.

A więc o to chodziło! Był jej wdzięczny za pomoc, nic poza tym.

– Szukałem dokładnie takiego miejsca, jak Przylądek Admirala – ciągnął, gdy wpływali do zatoki. – To spokojny, cichy zakątek. Człowiek czuje się tu jak u siebie w domu... Rozumiem, dlaczego jest pani do niego tak przywiązana.

Wyłączył silnik. Ponton prześliznął się wzdłuż kadłuba jachtu. Raphaël wyskoczył na brzeg i pomógł pasażerce wysiąść. Laura marzyła tylko o jednym: schronić się w domu i dość do siebie.

– Dziękuję za wszystko i dobrej nocy – rzuciła na odchodnym.

Nie widziała rozczarowania malującego się na twarzy Raphaëla. Patrzył, jak się oddalała, mając nadzieję, że się odwróci i kto wie, może zawróci. Ale pewnie już o nim zapomniała. On wyświadczył jej przysługę, ona mu podziękowała. Byli kwita.

Energicznym ruchem wytarła mokre włosy. Wcześniej przez godzinę pływała w uśpionej zatoce. Po powrocie, gdy właśnie wchodziła po schodach z Mayą przy nodze, rozległ się dźwięk telefonu. To jej córka Camille. Była zaniepokojona tym, że nie mogła wczoraj dodzwonić się do mamy i uspokoiła się, słysząc jej głos. Laura opowiedziała jej o incydencie, którego ofiarą padł Bossis, ale z braku zasięgu musiała przerwać rozmowę.

Jej uwagę przykuł odgłos silnika. Odwróciła głowę: to mały „Zodiac”, który Raphaël pożyczał co rano, aby dostać się do Cassis. Gdy łódź popłynęła w stronę zatoki i zniknęła, Laura stała jeszcze przez chwilę, napawając się ciepłem poranka. Nagle pomyślała o Renée. Co się z nią dzieje? Miała ochotę do niej zadzwonić, gdyby nawet miała ją obudzić. Wróciła do domu i podniosła słuchawkę telefonu.

– No, nareszcie! – usłyszała po drugiej stronie. – Zastanawiałam się, czy dasz wreszcie jakiś znak życia.

Opowiedziała o wypadku przy nurkowaniu, pobycie Joëla w szpitalu, ale powstrzymała się od podjęcia tematu, który nie dawał jej spokoju: swoich kontaktów z Raphaëlem. Renée musiało to bardzo rozczarować.

– Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. A co poza tym? To wszystko?

– Nie, ale za długo by opowiadać.

– Trudno. Zresztą nie mam czasu. Za godzinę mam pociąg.

– Wyjeżdżasz?

– Chyba zapomniałaś, że muszę zorganizować przeprowadzkę. Od

dwóch dni śpię na materacu położonym na podłodze. Obiecaj, że będziesz grzeczna podczas mojej nieobecności.

– Nie bój się, właśnie kiedy ciebie nie ma, jestem najgrzeczniejsza!

Laura odłożyła słuchawkę i naląła sobie filiżankę kawy, którą zaniósła na taras. Mewy krążyły po kapryśnym niebie, niektóre nurkowały pionowo do wody połyskującej od fal. W oddali żaglówka pod pełnymi żaglami wypływała na szerokie morze. Ona także potrzebowała dystansu, zwłaszcza psychicznego. Odetchnęła powietrzem przesyconym słonym zapachem od morza i odurzającą, korzenną wonią makii.

– A może zabrałybyśmy się do pracy, psinko?

Maya, która leniuchowała obok niej, prędko wstała i pobiegła do domu. Nadszedł czas zacząć poważny remont w salonie. Najpierw zrobiła sobie odpowiednio dużo wolnego miejsca wokół ścianki, którą zamierzała zburzyć i złożyła przedmioty w jednym kącie. Potem rozłożyła na podłodze plandeki.

– Możesz burzyć – zapewnił ją Joël, gdy powiedziała mu o swoich planach remontowych. – To nie jest ściana nośna, tylko płyty gipsowe. Skujesz je raz, dwa. Zajmę się tym, jeśli chcesz.

Teraz jednak Bossis nie był w stanie jej pomóc. A poza tym, skoro było to takie łatwe, powinna sobie poradzić sama. Wzięła młot i uderzyła w ściankę, która pękła w prawym rogu i rozpadła się za drugim uderzeniem. Powtórzyła operację, w krótkim czasie rozbijając ścianę na całej długości. Zajęcie to bardzo jej się spodobało. To było jak burzenie klocków, niszczenie wszystkiego pozwalało jej się wyżyć.

Zgodnie ze swoją wczorajszą obietnicą Raphaël zrobił, co było konieczne, i po południu przyjechał po Laurę jej fiatem. Odwiedzili Joëla w szpitalu; tryskał zdrowiem.

– Chcą mnie zatrzymać do jutra! Czuję się świetnie. Źle się poczułem,

to fakt, ale miałem powody.

Siedział, kręcąc oprawkami okularów, ze zmiętą gazetą na kolanach. Laura przysiadła na krawędzi łóżka i próbowała go uspokoić.

– Lekarze chcą zobaczyć ostatnie wyniki badań, zanim pozwolą ci wyjść. To normalne, na tym polega ich praca.

Bossis wzruszył ramionami.

– Tak czy siak cieszę się, że was widzę. Mam nadzieję, że dbasz o moją małą... – dodał, zwracając się do Raphaëla.

– Joël! – Laura była zażenowana. – Nie jestem już małą dziewczynką.

– Tak, tak. Dla mnie zawsze zostaniesz małą dzikuską, która biegła jak koza po skałach, i której trzeba było bronić przed wilkiem.

Raphaël położył dłoń na ręce Laury, a potem ze śmiechem otoczył ją ramieniem.

– Nie martw się. Pilnuję jej.

– Pilnuj dobrze! – nakazał Joël żartobliwie.

Laura wyzwoliła się z objęcia swojego protektora i odparła:

– Byle nie za dobrze... Koza, jak mnie nazwałeś, nie lubi być przywiązana do palika!

Wychodząc z sali, zganiła się w duchu. Co sobie pomyśli Raphaël? Że cenila swoją niezależność? Zapewne, ale chciała przede wszystkim zachować dystans. Rzuciła okiem na młodego mężczyznę, który zdawał się wcale nie przejmować tą uwagą. Więcej, idąc, znowu objął ją ramieniem.

– Joël powinien o siebie zadbać, i pani także – szepnął jej do ucha.

– Dlaczego?

– Widziałem, jak dzisiaj w nocy paliło się u pani światło. Ja też nie mogę ostatnio zmrużyć oka.

Wsiedli do samochodu i Raphaël nic więcej nie dodał. Tym razem Laura usiadła za kierownicą. Przez całą drogę wyglądała na

zmartwioną. Prawie się do siebie nie odzywali. Nie mieli nastroju do żartów.

Po powrocie do domu Laura miała ochotę się poddać. Salon zavalony był stosem gruzu. Przez zburzoną ściankę widać było pozostawioną w nieładzie kuchnię, wszystkie meble były poprzestawiane i mimo środków ostrożności w całym domu osiadła warstwa pyłu. Zostały jej trzy tygodnie, żeby skończyć remont i wszystko doprowadzić do porządku przed powrotem dzieci. Spojrzała na wysuszone dłonie i skrzywiła się. Zawsze uważała, że były zbyt drobne i nie nadawały się do robienia remontu. Nie mówiąc o paznokciach – co za okropność. Nie, zdecydowanie nie była w stanie się z tym uporać, nie miała nastroju. Skoro tak się cieszyła z miesiąca wolności, musi teraz znaleźć sposób, żeby zabrać się do pracy renowacyjnych, które rzucą ją na kolana. Nie ma co się bawić w uwodzicielkę. I nie ma czasu czarować tego uroczonego chłopaka, który nie widzi świata poza garnkami.

Kwadrans później, ubrana w strój bitewny: bezkształtny podkoszulek, luźne spodnie i chustkę na głowę, zbierała gruz i, pogwizdując głupawą melodyjkę, ładowała go do wielkich czarnych plastikowych worków. O północy, z prawie pustym żołądkiem i obolałymi plecami, poszła spać na piętro, do pokoju, który zajmowała Renée. Maya, która schowała się na górze, przywitała ją z wdzięcznością, ocierając się o jej nogi i żebrząc o pieśczoły.

– Idziemy spać, psinko, nie mam siły.

Poszła pod prysznic, wyszła spod niego równie wyczerpana, jak przyszła i położyła się do łóżka, wyrzuciwszy wcześniej sukę za drzwi. Na pewno szybko zaśnie... Dwie godziny później sen nadal nie przychodził. Z oczami szeroko otwartymi w ciemności, wracała w myślach do wydarzeń ostatnich dni. Jeżeli miłość była chorobą, to Laura odczuwała jej pierwsze objawy, i było to wyjątkowo niezdolne. Czy

Raphaël też przewracał się z boku na bok w swojej kajucie? I czy z tych samych powodów, co ona? Mogłaby w to uwierzyć, gdy rozstawała się z nim dziś wieczór. Oboje nie mogli oderwać od siebie wzroku.

Wstała, stanęła przy oknie, rozsunęła zasłony i próbowała dostrzec światło na jachcie zacumowanym w zatoce. Był pogrążony w ciemności. Nagle przestraszyła się, że po przebudzeniu nie zobaczy więcej łodzi. Że odpłynie, zniknie w mroku. Statek widmo... Tak jak łódź jej ojca. I już nigdy się nie dowie, co się z nim stało. Zbladła na tę myśl i Raphaël wszedł do jej serca przez najbardziej wrażliwe miejsce, przez nigdy niezabliźnioną ranę niedokończonej żałoby.

Po przywiezieniu Joëla Bossisa ze szpitala Laura została z nim chwilę w jego domku. zaproponowała, że zrobi mu kolację, ale zaprotestował. Nie jest chory i potrafi sam sobie poradzić. Z trudem przystał na dodatkowe kilka dni odpoczynku. Co nie przeszkodziło mu chodzić do warsztatu i wrócić do pracy podczas weekendu.

– Przestań mnie traktować jak starego dziadka, naprawdę czuję się świetnie.

Laura nie nalegała, zbyt dobrze znała Joëla. Gdy nie miał żadnego zajęcia, zaczynał się niecierpliwić.

– Nie martw się, obiecuję, że nie będę się przemęczał.

Przyjrzał jej się zza okularów, jakby przyglądał się części silnika, i zmarszczył brwi.

– Ja za to martwię się o ciebie. Mam wrażenie, że nie wszystko idzie tak, jak byś chciała.

To się nazywa zamiana ról. Laura odwróciła głowę.

– O czym mówisz? Mam się doskonale. Rozwaliłam ścianę, pomalowałam sufit, a jutro zabieram się do kuchni. Jestem u szczytu formy.

– Nie mówię o tym, ale o tobie. Widzę, że coś cię trapi.

Ten człowiek traktował ją jak własną córkę, nie odważyłaby się go okłamywać.

– Źle sypiam albo w ogóle nie mogę spać. Nie ma dzieci, tęsknię za nimi, albo raczej ich nieobecność sprawiła, że zostałam sama ze sobą... Różne myśli chodzą mi po głowie.

Joël słuchał jej, kołysząc się w milczeniu. Były tematy, których z nią nie poruszał. Zwierzyła mu się po separacji z mężem, ale zrobiła to po fakcie... Nie przed ani nie w trakcie. W tym momencie Joëlowi chodził po głowie Raphaël, do którego od początku poczuł sympatię. Postanowił powiedzieć wprost, co myśli.

– Wczoraj, w szpitalu, widząc cię z Raphaëlem, pomyślałem sobie, że bylibyście fajną parą, ty i on.

– O, nie! Teraz ty!

– O co chodzi?

– Renée pchnęła mi tego kucharza w objęcia i wbiła sobie do głowy, że między nami może zaiskrzyć. Zresztą znasz ją, zawsze chce uszczęśliwiać ludzi, nie pytając ich o zdanie.

Bossis uśmiechnął się.

– Ja nie miałbym nic przeciwko temu. I myślę, że on też nie. Mówię ci to ja, stary kawaler.

– Dobrze, poddaję się. Tak. Podoba mi się nasz nowy sąsiad, ale wcale nie tak, jak sobie wszyscy wyobrażacie. On jest... W każdym razie jest kimś, kto pojawił się w moim życiu w odpowiednim momencie, kimś, kto...

Słowa, zbyt osobiste, więzły jej w gardle.

– Przypomina ci, że można być matką i jednocześnie kobietą. Jesteś kobietą, Lauro, i byłoby szkoda, gdybyś o tym zapomniała i położyła krzyżyk na swoim życiu. Raphaël jest trochę młodszy od ciebie, i co z tego? Uważam, że jest wyjątkowo dojrzały, nie boi się pracy i wierz mi, że wpadłaś mu w oko.

Laura usiadła na taborecie, spuściła oczy i zakryła dłonią usta.

– Co mam teraz zrobić? Cały czas staram się zachować dystans. Dzisiaj rano znowu czatował na mnie na przystani. Widziałam go, ale pływałam i uważałam, żeby wyjść z wody, zanim on wypłynie.

– To najlepszy sposób na złowienie faceta – powiedział Joël ze śmiechem.

– Doprawdy? A jak już dostanie to, czego chce, weźmie nogi za pas. Nie mam na to ochoty, rozumiesz?

– Rozumiem, dziecinko, rozumiem tym lepiej, że sam kiedyś byłem jednym z takich ptaszków. Kiedy ktoś chce ich usidlić, zaraz zrywają się do odlotu. I sama widzisz, koniec końców zostałem starym kawalerem i umrę samotnie jak dziad.

Laura ujęła go za rękę.

– Nie jesteś sam, ja tu jestem.

– Wiem, dziecinko. A jeśli chodzi o tego chłopaka, to nie możesz od razu zakładać najgorszego scenariusza. Jeżeli będziesz zręcznie postępować, tak jak cię nauczyłem, jeżeli będziesz płynąć z prądem, to owiniesz go sobie wokół palca, ba, będzie dla ciebie gotował!

– Cały Jo! Ty wiesz, jak mi poprawić humor.

Potrząsnął głową, zdjął okulary i wytarł szkła. Jego twarz, ogorzała od słońca, jeszcze bardziej się pomarszczyła, wykoślawiona w jakimś dziwnym grymasie. Wyglądał, jakby się skrzywił. Chwilę później odzyskał swój poczciwy wyraz. Odezwał się cicho.

– Raphaël i ty jesteście samotni, i to może was ze sobą połączyć. Ja nie miałem tego szczęścia, serce tej, którą kochałem, należało już do innego.

W tamtej chwili, i chyba po raz pierwszy w życiu, Laura chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej o przeszłości swojego przybranego ojca. Pamiętała go z czasów, gdy była dzieckiem, jako przystojnego mężczyznę o atletycznej sylwetce i z hiszpańskim wąsikiem, który później zgolił. Wtedy jego wygląd musiał niejedną przyprawiać o zawrót głowy. Ale Laura uważała go przede wszystkim za człowieka o wielkim sercu, lojalnego wobec swoich przyjaciół. Nie każdy zgodziłby się zaopiekować nastolatką taką, jak Laura, po śmierci jej ojca. On nawet się nie

zastanawiał, spełnił swój obowiązek.

Słońce powoli znikało za linią horyzontu wśród pogrążających się w mroku jaskrawoczerwonych odcieni. Usiedli przy stole w ogrodzie, pod pnączem winorośli. Joël zwykle jadł na kolację kilka plastrów kiełbasy, kawałek sera, chleb i owoc. Pił czerwone burgundzkie wino, które rodzina przysyłała mu w baryłkach. Laura, nie czekając na zaproszenie, została, aby z nim zjeść. Zapaliła świeczkę, którą postawiła na spodku i poszła po nakrycia. Gdy wróciła, Joël milczał, zapewne przywołując wspomnienia, o których nigdy nie mówił. Laura usiadła naprzeciwko niego. Odganiając osę, która drażniła ich, latając wokół, zastanawiała się nad tym, co zaczął mówić. Joël, zmęczony pobytem w szpitalu, stracił weny. Siedział zgarbiony na wiklinowym krześle, z półprzymkniętymi powiekami.

– Zostawię cię na dwie minuty – powiedziała, wstając z miejsca. – Zobaczę, czy nie zostały jakieś warzywa, z których dałoby się zrobić sałatkę.

Otworzyła lodówkę, która była praktycznie pusta, przeszukała bez skutku kredens, w którym gospodarz tego domu trzymał słoiki ze szparagami albo pieczarkami. Zamierzała wrócić, gdy usłyszała głos z altany. Stała w drzwiach i wychyliła się, żeby lepiej zobaczyć. Bossis siedział bokiem, nóżką kieliszka do wina stukał o stół i nucił: „Marlena, Marlena...”

Laura odchrząknęła i udała, że niczego nie słyszała.

– Najwyższy czas, żebyś zajął się znowu uprawianiem ogródka albo jutro będziemy musieli pojechać po zakupy. Nie masz nic do jedzenia.

Bossis nie zareagował. Poprosił ją, żeby usiadła obok niego, i ujął jej dłoń w swoje ręce.

– Uczyń z tego mężczyzny swojego przyjaciela albo kochanka, wszystko jedno, ale nie pozwól mu odejść. Będiesz go potrzebowała,

kiedy mnie już nie będzie.

– Jo! Nie mów tak. Jesteś najtwardszą skałą na Przylądku Admirala.

– Tak, tak... Co nie zmienia faktu, że najlepsze lata mam już za sobą.
Laura znowu zaprotestowała.

– Masz rację. To, że okleili mi całe ciało elektrodami jeszcze nie znaczy, że zaraz wyzionę ducha. Jeszcze by tego brakowało! Zresztą chciałbym zobaczyć naszych przeciwników od siedmiu boleści, jak podcierają się swoimi ulotkami w dniu inauguracji parku! Już nie mogę się doczekać!

– Ja też! Ale walka jeszcze się nie skończyła...

Podczas kolacji Laura nie odważyła się zapytać Bossisa o Marlenę, o której mówił. Myślał, że jest sam. Trochę się wstydziła, że podsłuchiwała. Poza tym miał już swoje lata, sam to przyznał. Ale obiecała sobie, że zapyta go, kim była ta kobieta. Chciała, żeby opowiedział jej o sobie i swojej przeszłości, zanim będzie za późno.

Rozstali się, gdy złociste światło zalało skarpy, chwilę po tym jak słońce zniknęło za bezmiarem błękitu. Ta wieczorna światłość przypominała opary unoszące się z ziemi, jakby ziemia, wysyłając promienie, oddawała hołd odchodzącej gwiazdzie.

Późnym wieczorem Laurze udało się wydostać torebkę rumianku spod sterty szmat, pośrodku przebudowywanej kuchni, zaparzyła ją i wyszła wypić na tarasie. Raphaël powinien niedługo wrócić, choć w restauracji w przeddzień weekendu był komplet klientów. Owinięta jedwabnym szalem czekała, siedząc na leżaku. Około drugiej nad ranem obudziła się gwałtownie. Zasnęła. W dole „Zodiac” stał już na swoim miejscu. Nie obudził jej odgłos silnika. Z wnętrza żagłówki nie sączyło się żadne światło, ale Laura odetchnęła z ulgą. Był blisko niej.

Następnego dnia rano, gdy zamierzała właśnie zejść do zatoki i popływać przez godzinę, z psem u boku, zadzwonił telefon. Zawróciła do

salonu i odebrała. To była Renée, która najwyraźniej wstawiała coraz wcześniej.

– Uff, bałam się, że cię nie zastanę – powiedziała Renée. – Wracam dziś przed południem.

– Ale... A twoja przewodniczka?

– Załatwiona. Wszystko ci opowiem, ale teraz dzwonię do ciebie z innego powodu. Mam dla ciebie złą wiadomość, bardzo złą wiadomość. Soubeyran zapisał ci beznadziejny teren, a jeśli moje informacje się potwierdzą, możesz mieć poważne problemy.

Laurze odebrało dech.

– Wiesz co, jestem w taksówce, słabo słyhać. Nic się nie martw, przyjeżdżam!

– Ale czego się dowiedziałaś? Mów!

– Nie teraz, spotkamy się na dworcu Saint-Charles o dwunastej trzydzieści pięć, wyjedź po mnie na pociąg. Dwunasta trzydzieści pięć, nie zapomnij.

Laura przytaknęła odruchowo, oszołomiona telefonem.

Chwilę później pobiegła zdjąć kostium kąpielowy i ubrała się w pośpiechu. W pierwszym odruchu chciała powiadomić Joëla. Dostrzegła go na przystani w trakcie ożywionej dyskusji z Raphaëlem, który siedział okrakiem na dziobie żaglówki. Jeżeli pogna do nich w tym stanie, pomyślą, że oszalała. Raphaël zobaczy ją przerażoną. Nie, to byłoby śmieszne. Za wcześnie. Powinna poczekać na Renée, wysłuchać, co ma do powiedzenia, oddzielić fikcję od rzeczywistości. Z nią nigdy nic nie wiadomo. Laura wróciła do domu i próbowała się uspokoić. Maya ocierała się pyskiem o jej nogę.

– Nie, nie dzisiaj, psinko. Nie pójdziemy popływać. Musimy usiąść i pomyśleć.

Na szczęście Raphaël tego ranka nie przyszedł do niej z wizytą. Tym

razem jednak Laura była mu za to wdzięczna.

Jesteś pewna, że wiesz, co mówisz? – zapytała, wyjeżdżając z parkingu przed dworcem Saint-Charles.

– A jak myślisz?

Laura czekała, aż podniesie się automatyczny szlaban. Odwróciła się w stronę Renée, która wpatrywała się w nią wielkimi niebieskimi oczami. To spojrzenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

– Jeżeli dobrze rozumiem – powiedziała Laura, ruszając nerwowo – Marcel Soubeyran podarował mi zatruty prezent. Jego teren grozi zawaleniem i może pociągnąć za sobą całą skarpe.

– Doskonale o tym wiedział – dodała Renée. – W zeszłym roku zlecił wykonanie badania gruntu, chcąc wybudować luksusową rezydencję. Analiza geologiczna terenu wykazała, że w tym miejscu skarpa jest podmyta przez ciek. Może nie wytrzymać. Zakładam, że zrezygnował z projektu ze względu na astronomiczne koszty prac.

– I mnie podłożył tę bombę! Dlaczego? Co ja mu zrobiłam?

Przerwała na chwilę, żeby ominąć rząd samochodów.

– Czyżby Joël Bossis coś przede mną ukrywał? Nie sądzę.

Renée schyliła się do torebki i wyjęła z niej notes.

– Muszę podjechać do agencji, żeby odebrać klucze. Jutro przyjeżdżają moje rzeczy.

– Możesz spać u mnie, jeśli chcesz. Ale ostrzegam, to jeden wielki plac budowy.

– To miło z twojej strony, ale dziś wieczorem jestem z kimś umówiona.

– Z kim?

– Nie teraz, Abrigore, wszystko po kolei. Najpierw moje klucze, potem samochód, potem jedziemy do ciebie... O rany, uważaj!

Samochód dostawczy przed nimi zahamował niespodziewanie przed wjazdem na rondo. Laura zatrzymała się gwałtownie, chcąc uniknąć kolizji.

– Przepraszam, nie mam czasu na wypadki.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Joël na widok dwóch przyjaciółek w drzwiach jego warsztatu.

Laura wyglądała na zdenerwowaną.

– Marcel Soubeyran nas wykiwał! Jego teren jest nic niewart, urwisko jest niestabilne i w każdej chwili może się zawalić. Rozumiesz?

Joël nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Wiedziałaś, co wisi nam nad głowami?

– Nie. Kto ci to powiedział?

– Pewna wysoko postawiona osoba, która zajmuje się projektem parku. Zostałam poinformowana osobiście – wtrąciła Renée.

– Kto? – zapytał Joël.

– Laura panu wyjaśni, ale informacja jest sprawdzona, są na to dokumenty.

– Czy to oznacza, że mamy stąd uciekać?

Joël wyglądał na zrozpaczonego. Ręce mu drżały i nagle Laura przestraszyła się, że doznał zbyt gwałtownego szoku.

– Uspokój się, Joël. Nie o to chodzi, istnieje tylko takie prawdopodobieństwo, a jak dotąd nie było jeszcze żadnego osuwiska, żadnego niepokojącego znaku. Problem w tym, że mamy teren, który trzeba wzmocnić, a prace konsolidacyjne będą kosztowały fortunę. Nie ma na to pieniędzy.

Joël zaczął głośno rozważać. Są różne techniki. Pierwsza polegała na

wywierceniach otworów w podmytym zboczu w regularnych odstępach. Następnie umieszczano w nich stalowe pale, które umacniały nadwyrężoną strukturę skarpy. Druga technika, trudniejsza, polegała na zamocowaniu podnośników u podnóża urwiska. Biorąc pod uwagę głębokość i ukształtowanie dna morskiego, operacja ta, trudna do wykonania, pod względem finansowym była poza zasięgiem osoby prywatnej.

– A skąd pan to wszystko wie? – zapytała Renée, zaskoczona wiedzą staruszka.

– Wystarczy poczytać gazety. Okoliczne gminy miały ten sam problem. Nie było cię wtedy jeszcze, Lauro, ale pięć lat temu droga departamentalna była zamknięta przez trzy miesiące z powodu prac na skale. Musieliśmy korzystać z objazdu, który bardzo komplikował nam życie. Wiem, że roboty pochłonęły miliony.

Laura załamała ręce. Przyjęła spadek i była oficjalnie właścicielką tego przekłętą terenu. Jeśli Soubeyran chciał ją zrujnować i zmusić do wyjazdu, nie mógł sobie wymyślić bardziej makiawelicznej pułapki.

– Spokojnie – powiedziała Renée. – Od jutra rozpocznę odpowiednią procedurę. Będziemy monitorować urwisko i zrobimy tak, żeby nikomu nie spadło na głowę.

– Jeśli to cię uspokoi – dodał Joël – zawsze możesz zamieszkać u mnie. Z tej strony jest znacznie mniejsze ryzyko.

– A gdybym przekazała ten teren państwu? Wzięliby koszty na siebie.

– Myślisz, że to takie proste? – odparła Renée. – Ze względu na sumy, które wchodzi w grę, państwo nie będzie zainteresowane nabyciem działki, o której jeszcze nie wiadomo, czy zostanie wpisana do centrum parku. Wydatki publiczne są obecnie pod ścisłą kontrolą, a politycy ponoszą za nie odpowiedzialność. Biorąc pod uwagę sprzeciw części mieszkańców wobec projektu parku, każdy polityk najpierw zastanowi

się dwa razy, zanim zaangażuje się w tę sprawę. – Położyła rękę na dłoni Laury. – Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uwolnić cię od tego ciężaru. Moja obecna funkcja w administracji departamentu zobowiązuje mnie do przestrzegania zasady poufności, ale mam inne sposoby, żeby wstawić się za tobą. A wiesz, jak daleko potrafię się posunąć...

Renée wróciła do Marsylii, a Laura do domu na obiad, ale nic jej nie smakowało. Miała ściśnięty żołądek. Usiadła na podłodze na środku salonu. Po co kończyć remont domu, skoro i tak nie będzie mogła w nim mieszkać? Odziedziczona ziemia okazała się przekleństwem. Skuliła się, z twarzą w dłoniach i ze łzami w oczach. Mało brakowało, a nie usłyszałyby odgłosu kroków przed domem, a potem skrzypnięcia drzwi. Natychmiast wstała. Przed nią stał Raphaël z poważnym uśmiechem na twarzy.

– Zadzwoił do mnie Joël i przekazał mi złe wieści. Zaczekałem do przerwy i wziąłem samochód Manu, żeby przyjechać jak najszybciej. Nie przeszkadzam ci?

Laura potrząsnęła głową. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Po raz pierwszy powiedział do niej: „ty”.

– Co to za historia? Wyglądasz na zdenerwowaną.

Milczała, ujął ją więc za ramiona i zaprowadził na taras, lawirując między workami z gruzem i puszkami farby.

– Lauro, jestem przy tobie! Poradzisz sobie. Musi być jakieś rozwiązanie, prawda?

Laura podniosła na niego oczy.

– Nie trzeba było, powinien pan... Powinieneś być w pracy.

– To nieważne, Manu jest na miejscu, a ja będę z powrotem przed podawaniem kolacji. A teraz opowiadaj...

Gdy skończyła, Raphaël odetchnął z ulgą. Nie było bezpośredniego

zagrożenia, w przeciwnym razie władze gminy nakazałyby poprzedniemu właścicielowi natychmiastowe wykonanie prac albo zabroniły wstępu na *calanque*. Nie oznaczało to jednak, że można zdać się na wolę boską, ale skarpa nie runie, dopóki problem nie zostanie rozwiązany. Był natomiast zaskoczony złośliwością Soubeyrana. Zdumiewające, że ktoś mógł się zachować tak podle na łożu śmierci.

– O co temu wariatowi chodziło?

– Gdybym tylko wiedziała... – odparła Laura z westchnieniem.

– Moim zdaniem chciał się za coś zemścić, ale za co? Zdarzają się zazdrośni sąsiedzi, ludzie, którzy uprzykrzają życie tylko dlatego, że mieszka się obok nich. Z powodu wspólnej ściany, miejsca na parking, jakichś głupstw, ale on... Był bogaty, mieszkał gdzie indziej, co go obchodziła wasza skarpa? Nie chciał jej odkupić...

– Nie. Ale gardził nami za czasów mojego ojca. Tak po prostu. Musiał nas uważać za prostaków.

– To niczego nie wyjaśnia... Ale nie przyszedłem po to, żeby zamęczać się pytaniami. Chciałem cię tylko zobaczyć, wesprzeć, powiedzieć ci, że...

– Nic nie mów, jesteś przy mnie, to wystarczy.

Wyczytała w jego oczach wołanie, które ją poruszyło. Nieokiełznane emocje, których nigdy nie widziała u żadnego mężczyzny. Ścisnęła otaczające ją ramiona, pochyliła twarz na bok i poczuła, że coś ją unosi, wchłania, porywa w kurczowym uścisku. Okrył ją pocałunkami, szukając jej ust, pocałował namiętnie, po czym odsunął się, równie poruszony jak ona.

– Przepraszam, nie powinienem.

Uśmiechnęła się nieśmiało, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Milczała.

– To głupie, ale mam wrażenie, jakbym znał panią od zawsze. Od pierwszego wieczoru miałem ochotę wziąć panią w ramiona. Nie ośmieliłem się, bo pomyślałaby pani, że jestem... Ale tak mi z panią

dobrze. Nigdy nie...

Był tak zmieszany, że znowu zwracał się do niej per „pani”.

– Cii!

Tym razem Laura przytuliła się do niego i delikatnie dotknęła wargami jego ust. A więc to proste, kochać.

O mało nie przyłapał ich Joël, który udawał, że się nie domyśla, co przed chwilą robili. Zadzwoił do kilku swoich znajomych, w tym klienta, który miał firmę budowlaną.

– I oczywiście są tacy, którzy twierdzą, że co nieco na ten temat wiedzieli. Jak zwykle najbardziej zainteresowani dowiadują się ostatni! Myślisz, że przyszłoby im do głowy poinformować nas o stanie urwiska? Niech ich diabli!

Po południu Raphaël musiał wrócić do pracy. Zdążyli jeszcze pocałować się, zbyt krótko, uścisnąć sobie dłonie, roześmiać się z całego tego zamieszania, obiecać sobie być razem na wieczność, gdy tylko znajdą czas... Laura odprowadziła go do samochodu. Tak, spotkają się dziś wieczorem, właściwie w nocy, bo restauracja będzie czynna co najmniej do pierwszej. Tak, niech się nie martwi, Laura będzie o siebie dbać, obiecuje.

Zawróciła i zawołała Mayę. Miała ochotę znaleźć się w wodzie, wśliznąć do niej tak, żeby muskała jej skórę, a morze kołysało ją, musiała popływać. Podniosła głowę i śledziła wzrokiem ślad za lecącym samolotem, puszystą smugę tam, na górze, w błękicie nieba. Nagle pomyślała o swoich dzieciach. Jak zareagują na to, co jej się przytrafiało? Potem przypomniała sobie jedną ze złotych myśli Renée, „zasadę dziesięciu randek”. „Do łóżka nie wcześniej niż po dziesiątej randce, to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, czy ma poważne zamiary, czy nie”. Laura zrobiła rachunek w myślach, widzieli się dopiero po raz szósty, jeśli w ogóle, bo pierwszy raz się nie liczył. Nie spieszyć się. Zaśmiała się

z samej siebie. Nie ma żadnych zasad, jest tylko tajemnica pożądania, porozumienie, które rodzi się pomiędzy dwojgiem ludzi i przenosi się, oczarowuje, każe zrobić krok dalej.

– Idziemy do wody, psinko! Tak, teraz. Mamy prawo pływać i opalać się tak jak inni, tam, na dole, z ich plażami i parasolami.

Nie była w stanie nic zrobić przez resztę dnia. Unosiła się w błogostanie bliskim ośłupienia. Jej ciało stawało się lekkie, przezroczyste, dziewicze. Chwilami to osłupienie ustępowało miejsca nagłym gorączkowym napadom podniecenia, potrzebie działania, poruszania się dla samego poruszania. Ale nie potrafiła się powstrzymać, uczucie radości wypełniało ją i rozlewało się na wszystko, co ją otaczało. Potem szła opadała i rzeczywistość ponownie się wynurzała, przygnębiająca i ekscytująca zarazem. Dzisiaj wszystko się na nią zważyło, katastrofa i szczęście miłości. I to oczekiwanie, to rozkoszne oczekiwanie w napięciu... Jeszcze pięć godzin, trzy godziny, godzina...

Powietrze pachniało jaśminem. O tej porze nocy jego wonną obecność tłumili zapach dzikiego rozmarynu, rosnącego na makii, i wiciokrzewu, oplatającego siatkę. Gilbert Abrigore uczył Laurę właściwości leczniczych roślin, lawendy, goryczki, tymianku i szalwii. Laura dała się unieść otaczającym ją zapachom, które ożywiały wspomnienia. Jej ojciec znał tyle tajemnic... Jej myśli zatrzymały się przy nim. Czy zmarli wiedzą, jak bardzo żywi niepokoją się o nich, o ich milczenie? Czy jej ojciec był wciąż przy niej, czy pochwalał życie, jakie prowadziła, i porywy jej serca? Czasami do niego mówiła, tej nocy też, ale już nie po to, żeby wyrzucić mu, że wypłynął na morze, pozostawiając ją samą. Przeciwnie, pocieszała go, nie miała już do niego żalu. Przypomniła sobie Joëla, siedział przy stole w kuchni z głową schowaną w ramionach. Gdy ją zobaczył, podszedł, przycisnął do siebie i

poprosił, żeby „była silna”.

– Co ci jest?

Maya, leżąca tuż obok, zaczęła popiskiwać. Spała. Pewnie coś jej się przyśniło. Laura przyglądała się suce, nie ośmielając się jej pogłaskać. Zwierzak towarzyszył jej, nie tracąc nic ze swojej tajemniczości i całkowitej niewinności. Będzie żyć, a potem zgaśnie niczym płomień ognia, rozdawszy swoje ciepło i piękno. Laura lubiła patrzeć, jak Maya bawi się, skacze, leniuchuje. Chciała ją narysować, ale żaden z portretów nie potrafił oddać jej charakterystycznego wyrazu i zachowania. Pies wymykał się swoim odbiciom.

Gdy „Zodiak” wpłynął na wody zatoki, serce Laury zadrżało. Skuliła się, miała sucho w ustach i lodowate dłonie. A jeśli on się nie odważy? Zapaliła lampy na skraju tarasu. Dostrzegła jego sylwetkę. Nie gestykulować. Stać prosto.

Ledwo przyszedł, padli sobie w objęcia. Jej usta napotkały jego wargi, potem przemknęły po karku, torsie, ramionach. Odnalazła jego oddech, zapach, delikatny dotyk skóry. Pierwsza fala pożądania, za nią słodki odpływ. Trzymał dłoń na jej ręce.

– Gdybyś wiedziała, jak nie mogłem się doczekać, żeby się z tobą spotkać. Myślałem tylko o tobie.

Słowa plątały się, przeplatane pocałunkami. Laura wyzwoliła się z uścisku, łapiąc oddech.

– Jesteśmy nierozsądni.

Nie zaprzeczył, lecz ponownie przytulił ją, gładził palcami kontur jej oczu, krawędź nosa, podbródek. Powtarzał, patrząc jej prosto w oczy:

– Pragnę cię, rozumiesz, ciebie i tylko ciebie!

Jego słowa miały niezwykłą siłę. Z uwielbieniem przesunęła dłońmi po jego rozpalonej twarzy. Chwilę później posadził ją na stoliku, przycisnął do siebie, po czym powoli zaczął kołysać jej głowę w swoich

ramionach. Kołysał ją jak dziecko, a jej ten uścisk wydawał się snem na jawie, pośród szumu morza, podobnym do fali, która unosiła ją i uwalniała od świadomości samej siebie. Poddała się pieścizom, odwzajemniając je. Potem ich pragnienie siebie stało się zbyt silne. Poprowadziła go do swojego pokoju i kochali się aż do świtu, dając się całkowicie ponieść i przerywając tylko po to, żeby nadziwić się, jak bardzo jest im ze sobą dobrze.

– Tylko ty – szeptał.

A ona rozumiała, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżył. W końcu zasnęli. Gdy się obudzili, ciepło dnia zaczynało przenikać do pokoju. Wstała pierwsza i wyszła na palcach, aby zrobić kawę. Zaraz potem dołączył do niej, chwycił w pasie, pocałował. Był nagi, a nagość ta wprowadziła ją w takie zakłopotanie, jakby między nimi nigdy nic się nie wydarzyło. Roześmiał się śmiechem iskrzącym wesołością.

– Wiesz, co najbardziej w tobie lubię?

– ...

– Nie domyślasz się?

– Chyba nie to, jak wyglądam z rana?

– Tak, to też, ale to, co lubię najbardziej, to twój śmiech, kiedy szczytujesz! Śmiałaś się i śmiałaś, to było cudowne.

– A ty mówiłaś o małym, dwupokojowym mieszkanku. Jest przepiękne – przyznała Laura.

Renée wprowadziła się do mieszkania na ostatnim piętrze w dawnej rezydencji miejskiej w stylu secesyjnym. Mieszkanie zostało odrestaurowane zgodnie z duchem epoki, bez popadania w karykaturalność. Białe ściany, sufity zdobione sztukaterią i boazeria harmonizowały z oryginalnym dębowym parkietem. Urządzone było w stylu łączącym nowoczesny design z meblami znalezionymi u najlepszych antykwariuszy w okolicy. Ale najwspanialsza była

panorama rozciągająca się z okien salonu, jeden z najpiękniejszych widoków Marsylii, z zamkiem If w samym jej centrum.

Renée, ubrana w seledynowy kostium, wyglądała olśniewająco. Zachęciła Laurę, żeby usiadła na dużej kanapie, i stwierdziła, że przyjaciółka wyglądała promiennie.

– Wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj. To dobrze. Jak to się stało, nigdy nie wyglądałaś równie uroczo!

– Aż tak bardzo to widać? – odparła Laura fałszywie niewinnym głosem.

Renée zaczęła klaskać w dłonie i zawołała, wznosząc oczy do nieba:

– Bogu niech będą dzięki!

– Tak, tak, wzywaj Pana Boga! Ale nie ma mu za co dziękować. Przespałam się z Raphaëlem. No, to wiesz już wszystko, a teraz bądź tak miła i zmieńmy temat.

– Nie tak szybko. Muszę wiedzieć. Nie, nie wszystko, ale trochę, tylko troszeczkę. Jaki on jest w łóżku? Nic nie wiesz o mężczyźnie, dopóki nie zobaczysz go w akcji.

– Och... Ależ ty jesteś prozaiczna.

– Jestem tak samo cielesna jak ty, choć ty owijasz wszystko w bawełnę.

– Mylisz się, zawsze się myliłaś co do mnie. Byłam mężatką przez osiemnaście lat i wierz mi, że jeśli chodzi o sprawy cielesne, to nigdy nie byłam świętoszką.

– Jest owłosiony?

– Tak.

– Mam nadzieję, że nie na plecach?

– Nie, tylko, tylko na klatce piersiowej i ...

– ... między pośladkami? Oooooch, uwielbiam to u facetów – wyznała Renée, zamykając oczy.

Laura parsknęła śmiechem. Gdyby chłopcy wiedzieli, co dziewczyny czasami sobie opowiadają, zaczerwieniliby się ze wstydu.

– Było zmysłowo, czule, namiętnie, jakbyśmy znali się od zawsze. Doświadczylam nieprawdopodobnej rozkoszy.

– Brawo, moja droga...

Laura czekała, aż rozmowa zejdzie na mniej pasjonujący temat, żeby poruszyć kwestię, która dręczyła ją od rana. Pewnie nie było się o co zamartwiać, ale każdy zakochany przeżywa zarówno przyjemności, jak i smutki, cieszy się chwilą i obawia o przyszłość.

– Co jest? – odezwała się Renée, zdziwiona tą zmianą tonu.

Usiadła obok Laury i objęła ją w pasie.

– Co się dzieje?

– Boję się.

– Masz babo placek! Przespałaś się raz z jednym facetem, co więcej z fajnym facetem, powiedziałabym nawet, że Raphaël znajduje się w ścisłej czołówce fajnych facetów, a już martwisz się o przyszłość.

– Muszę stąpać twardo po ziemi, Renée. Jestem od niego o osiem lat starsza i prędzej czy później ta różnica nas rozdzieli.

– Niekoniecznie.

– Łatwo powiedzieć. Ale jeśli się do niego przywiążę i on mnie rzuci, to kompletnie się załamie. A wolę, żeby moje dzieci nie musiały przez to przechodzić.

– Jeszcze na to nie czas. Dopiero rozpoczynasz historię miłosną, a już dopisujesz zakończenie.

Laura wstała z kanapy i zaczęła przemierzać pokój wzdłuż i wszerz, usiłując zebrać myśli.

– Byłam szczęśliwa, zanim się pojawił. Odzyskałam równowagę. Nie chcę jej stracić. Załóżmy, że ułoży się między nami, co będzie, jeśli pewnego dnia on zechce mieć dziecko? Ja będę na to za stara. Mam już

dwoje dzieci, dwoje dzieci, które chciałam mieć. – Odwróciła się w stronę Renée. – I mówiąc szczerze, nie jestem w stanie wrócić do tego, co było. Pieluchy i butelki, to już nie dla mnie. Enzo będzie miał niedługo czternaście lat, Camille skończyła siedemnaście. Nie mam najmniejszej ochoty na powrót do przeszłości.

– Nie wydaje ci się, że trochę za bardzo się pospieszyłaś? A poza tym skąd wiesz, że on chce mieć dzieci?

Renée potrząsnęła głową z rozdrażnieniem.

– To, co mnie najbardziej irytuje, to że społeczeństwo uważa za normalne, że sześćdziesięcioletni facet puszcza kantem żonę, podrywa małolatę, żeni się z nią i płodzi bachora, który będzie praktycznie sierotą od urodzenia, gdy tymczasem czterdziestolatka, która zadurzy się w trzydziestoletnim chłopaku uchodzi za dziwkę! To wszystko jest chore. My też mamy prawo wykorzystywać nieletnich... No coś ty, żartuję!

– Dzięki.

– Dam ci jedną radę, dobrą radę. Nie zepsuj wszystkiego, mówiąc mu, że się boisz. Bo wtedy w końcu zrobi to, co wszyscy, weźmie się na odwagę i zwieje.

Leżący na szklanym stoliku iPhone Renée zaczął wibrować. Zerwała się i wyłączyła go.

– To w sprawie pracy, może poczekać...

Mieszkanie Renée zalało się tak jasnym blaskiem popołudniowego słońca, że Laura czuła się jak na scenie w teatrze. Nigdy nie mogłaby zamieszkać w tej pretensjonalnej scenerii, pośród tak wymuskanego wystroju. Dla niej było tu zbyt bezosobowo, ale jej przyjaciółka czuła się swobodnie, jak wszędzie. Ze swojego paryskiego mieszkania zatrzymała tylko kilka mebli i bibelotów. Za to przywiozła ze sobą całą swoją szafę, o czym świadczyła garderoba wypełniona wieszakami, pudełkami i stosami ubrań.

Renée nie odebrała telefonu, który przed chwilą zadzwonił, ale nie mogła się powstrzymać przed łapczywym odczytaniem wiadomości, jaką dostała dwie minuty później. Laura powiedziała jej o tym. Przyjaciółka zaprzeczyła, acz nieprzekonująco, aż w końcu przyznała:

– Niech będzie, teraz moja kolej na zwierzenia...

– Masz kogoś? I nic nie powiedziałaś? A gdzie twoje pogadanki o zaufaniu i przyjaźni...

Renée przyznała, że chodziło o tajemnicze spotkanie z wczorajszego wieczoru. Nie, nigdy nie był żonaty; stawiał karierę ponad wszystko. Spotykała się z nim na gruncie zawodowym.

– Przecież dopiero zakończyłaś podobny związek – zauważyła Laura.

– Tak, moja pani psycholog nazwałaby to powielaniem schematów.

– Nie rozumiem, w czym tkwi problem. Wiele osób poznaje się w pracy.

– Pewnie tak... A jednak jesteśmy zmuszeni do zachowania dyskrecji, to... Powiedzmy, że to drażliwa kwestia.

Renée zagryzła usta. Tym razem chodziło o nią, a ten związek wprowadził ją w zakłopotanie.

– No dobrze, powiem ci wszystko. To Marini. François Marini.

– Ten poseł? Ten, który kieruje utworzeniem parku PNC?

– Ten sam.

– Nic mi nie mówiłaś!

– Daj spokój... Jestem po prostu dyskretna.

Renée opowiedziała jej o całej historii, która zaczęła się kilka tygodni wcześniej. Poznała go w czasie przyjęcia w ministerstwie. Polityk pochodził z departamentu Bouches-du-Rhône, a ona została mu przedstawiona jako współpracownica szefa gabinetu. Mimo uporczywych plotek, które krążyły na temat jej związku z szefem, przechadzała się, rozpromieniona, pomiędzy gośćmi. François Marini, kierujący projektem PNC, zagadnął ją na ten temat, po czym rozmowa zeszła na inne, bardziej osobiste tematy. Wymienili się numerami telefonu i dwa dni później zjedli razem kolację w restauracji w hotelu Lutetia. Renée szybko zrozumiała, że to pozornie zawodowe spotkanie miało inne, ukryte motywy. Marini, który musiał słyszeć o jej związku z szefem gabinetu, zalecał się do niej i robił to tym chętniej, że miał porachunki do wyrównania z aktualnym kochankiem Renée.

– Ale ja nic o tym nie wiedziałam – podkreśliła Renée. – W przeciwnym wypadku odprawiłabym go z kwitkiem. Nie jestem łupem wojennym!

Jednakże znajomość ta służyła ich wspólnym interesom. Renée chciała zrezygnować ze swojego stanowiska, a Marini gorąco ją do tego zachęcał i nakłaniał, żeby ubiegała się o pracę w innym regionie, najlepiej jego własnym. Wykorzystując swoje znajomości, z łatwością załatwiła sobie stanowisko zastępcy kierownika w Dyrekcji Obszarów Lądowych i Morskich, w żargonie urzędniczym nazywanej w skrócie

DDTM.

– I nie miałaś skrupułów? – zapytała naiwnie Laura.

– Żadnych. Trzeba wiedzieć, czego się chce w życiu. A ja miałam dosyć tamtego męczącego romansu.

– Ale... Ty i Marini... wy...?

– O nie, nie. Przypomnij sobie moją zasadę „dziesięciu randek”. Nie mówiąc o tym, że dopiero co zerwałam poprzedni związek. Łatwo mnie zainteresować, ale nie tak łatwo kupić – dodała, wybuchając śmiechem.

W rzeczywistości przede wszystkim obawiała się zaszkodzić ich przyszłej współpracy. Jej ostatnie doświadczenia kazały jej wystrzegać się łączenia pracy zawodowej i życia prywatnego. Ale poseł z Bouches-du-Rhône tak łatwo się nie poddał. Wykorzystywał różne okazje, zapraszał ją na konferencje, przyjęcia w kręgach politycznych i śniadania prasowe pod pretekstem, że musi się „wdrożyć”.

– W końcu stało się to, co musiało się stać. Nadszedł ów słynny wieczór, gdy zostawiłam cię i pojechałam do Marsylii. Odtąd doskonale się dogadujemy. Jestem nawet skłonna sądzić, że się tego nie spodziewał.

– Jesteście zakochani?

– Zaraz wielkie słowa! Choć przyznaję, że mamy ze sobą sporo wspólnego. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Ależ z ciebie kokietka! Jestem pewna, że facet je ci z ręki.

– Myśl sobie, co chcesz.

Faktem było, że François Marini dwoił się i troił, żeby jej pomóc, zatrudnił nawet ekipę do przeprowadzki, która w ciągu dwudziestu czterech godzin przetransportowała jej rzeczy do Marsylii. Laura słuchała, z twarzą w dłoniach, jakby opowiadano jej bajkę.

– Dlaczego – zapytała – nie przywitałaś się podczas prezentacji statutu Parku Narodowego *Calanques* w Cassis? Chętnie porozmawiałabym sobie z twoim posłem.

– Wybacz, Lauro, ale będziesz miała jeszcze ku temu okazję w przyszłości. François bardzo ci się przyda, jak wiesz. Tylko że to wymaga wycucia, a on jest bardzo zajęty. Sama rozumiesz...

Sprawa była delikatna. Laura nie nalegała, choć ów przeklęty spadek nie dawał jej spokoju. Chcąc zmienić temat, wróciła do poprzedniej rozmowy i zapytała, jak przyjaciółka widzi swoją przyszłość. W końcu ona także wkraczała w nieznane.

– François jest działaczem politycznym, stawia swoją karierę ponad wszystko. Nie mam żadnych złudzeń.

Wyznanie to zmartwiło Laurę. Stwierdziła, że miała szczęście, a jej romans z Raphaëlem wydał jej się nagle bardzo prosty i bardzo obiecujący.

Następnej nocy Raphaël pojawił się u Laury bez zapowiedzi. Ona miała nadzieję, że przyjdzie, on pragnął się z nią spotkać. To była naturalna kolej rzeczy. Przybił do brzegu, upewniwszy się najpierw, że czekała na niego na tarasie, udał się na chwilę na swój jacht, żeby wziąć prysznic i przebrać się, po czym poszedł do niej, drżący z pożądaniami. I tak przed nią stanął. Zazwyczaj wracał wykończony po całym dniu pracy i marzył tylko o tym, żeby położyć się i nie myśleć o niczym. Ale spotka się z Laurą i noc będzie jak nowy dzień.

Niespiesznie oswajali się ze sobą, tkali na nowo zmysłową sieć, która oplecie ich tej nocy, sieć ze słów wypowiedzianych w półmroku, z porozumiewawczych spojrzeń. W ich bliskości była radość z ponownego spotkania i porozumienie. Oboje oddawali się sobie, co nie przestawało ich zaskakiwać. Uczyli się siebie, rozumieli bez słów i niewinnie zachwycali sobą nawzajem.

– Niesamowite, prawda?

Uśmiechała się, przytakując wszystkiemu, czego razem doświadczali. Zrobiła się na bóstwo. Spódnica, bluzka dopasowana w talii i śliczne

lakierowane baleriny, które wydobyła z wnętrza szafy, dodawały jej wdzięku i sprawiały, że wyglądała obłędnie.

– Patrz, dla ciebie ubrałam się jak kobieta.

Pokiwał głową z podziwem. Nie oczekiwał aż tyle. Zachwycała go sama jej obecność, piękna barwa głosu, różne wyrazy twarzy, które odkrywał i które go urzekały, aksamitny zapach. Laura uosabiała w jego oczach pełnię kobiecego wdzięku, bez sztucznych ozdobników, a jednak był to wdzięk kobiety wyrafinowanej, działającej coraz pewniej, igrającej z pożądaniem, które tliło się teraz w ich oczach i sprawiało, że drżeli od najłżejszego muśnięcia, od najdelikatniejszej pieśczoły. Wkrótce odnaleźli się jak za pierwszym razem, ona przyciągała go do swojej piersi, przyciskając do ciepła swojego ciała, on wtulił głowę w jej brzuch, napawając się tym, co było w niej miękkie, aksamitne, wzruszające, po czym on z kolei poddał ją sobie. Na koniec powstrzymała go, błagała, żeby zaczekał, a potem nagle objęła jego pośladki i naprężyła się, wyginając biodra w łuk. Była cała jego, tylko jego.

– Chodź... – szepnęła bez tchu.

Gdy o brzasku jej kochanek odszedł, Laura, wyczerpana nocnym znojem, pozwoliła sobie na kilka godzin snu, ku wielkiemu rozczarowaniu Mayi, która przyszła, żądając, aby się nią zajęto, ale została uprzejmie odprawiona z kwitkiem.

– Później, obiecuję.

Drzwi pokoju zamknęły się za suką. Zaczęła skomleć, po czym zrezygnowana położyła się na progu. Laura w głębi duszy wyrzucała sobie swój egoizm, jej mała towarzyszka nie była przecież przedmiotem, który można przesuwac z miejsca na miejsce. Ale potrzebowała ciszy i spokoju, pragnęła, żeby zasłona zapomnienia przykryła ją i pozwoliła pogrążyć się w rozkosznym śnie.

„Bębni okiennica. Targają nią porywy wiatru. Laura zrywa się ze snu. Nagle błyskawica rozdziera noc, wrywając jej okrzyk z gardła. Potem blisko słyhać trzask, trzask łamanej gałęzi, po którym następuje ogłuszający grzmot pioruna. Jego drgania wstrząsają domem, ziemią i całym urwiskiem. Laura w przyływie paniki zbiega na parter.

– Tato? Tato, jesteś tutaj?

Nie ma odpowiedzi. Laura zostaje sama ze swoim strachem. Wtedy jej uwagę przykuwa szeroko otwarte okno balkonowe w salonie. Deszcz porywami zalewa podłogę wyłożoną czerwonymi płytkami. Nagle ulewa zamienia się w falę, która zatapia dom i Laura czuje się pochłonięta, wessana, na próżno walczy z silnymi prądami, które nie przestają ciągnąć jej w stronę płynnej otchłani. Krew pulsuje jej w skroniach, a kończyny odmawiają posłuszeństwa”.

Laura wydała okrzyk, rzucając się na łóżku. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiała, że znowu przyśnił jej się koszmar. Odzyskawszy spokój, wyprostowała się, oparła o poduszkę i usiłowała zrozumieć, co się z nią dzieje. Skąd ten okropny sen, skoro była tak spokojna, tak odprężona, gdy zasypiała? I dlaczego właśnie tego ranka, promiennego szczęściem? Było w tym koszmarze coś tak konkretnego, coś tak rzeczywistego, że sprawiał wrażenie prawdziwego wspomnienia.

Za drzwi dało się słyszeć głośnie szczekanie Mayi. Zaniepokoiły ją krzyki jej pani.

Nie musieli się ukrywać. Raphaël przestał uciekać się do wykrętów w obecności Joëla. Zresztą Joël sam dał im swoje błogosławieństwo, zanim w ogóle zostali kochankami. Początkowo Laura trochę się za to gniewała na Raphaëla. Sformalizował ich związek, choć był on dopiero w powijakach. Potem była mu za to wdzięczna. Zaangażował się, zanim ona zdobyła się na to z obawy przed niepowodzeniem. Wkrótce potem jej wątpliwości zostały rozwiane. W ciągu kolejnych dni narodził się pewien rytuał. Ona szła popływać w zatoce, wracała do domu, a potem machała mu ręką na powitanie, gdy usłyszała odpływającą łódź. Po południu, w czasie przerwy w restauracji, on wracał na Przylądek Admirala i pomagał jej w remoncie, który dzięki jego umiejętności majsterkowania, zaczynał nabierać tempa. „Marynarz potrafi zrobić wszystko – mawiał – z wyjątkiem wiatru”. Około godziny siedemnastej wracał do restauracji i pracował do pierwszej lub drugiej w nocy. Laura drzemała przy zapalonym świetle i nie mogła głęboko zasnąć, dopóki nie usłyszała odgłosu silnika. Dopiero wówczas gasiła lampę.

– To światełko służy mi za latarnię morską – powiedział.

Odtąd Laura przestrzegała umówionego znaku.

Co wieczór kładła się w swoim wielkim łóżku z książką w ręce, w oczekiwaniu na zakończenie pracy w Admiralicji i powrót Raphaëla. Odkąd się poznali, jedynymi książkami, które trzymały ją w napięciu, były powieści Theresy Révay. Ich romantyczny styl przenosił ją w samo serce wielkich eposów historycznych. Około godziny drugiej w nocy słyszała w oddali znajomy szmer, który oznaczał nadpływający „Zodiac”.

Odkładała książkę i nasłuchiwała odgłosów z zewnątrz. Przyjdzie czy nie przyjdzie? Nie ustalili żadnej zasady, niczego sobie nie obiecywali, ale Raphaël co wieczór spełniał jej nadzieje, otwierając cicho drzwi wejściowe. Przemierzał salon na palcach z obawy, żeby jej nie obudzić, i znajdował ją w kręgu światła nocnej lampki.

– Nie śpisz?

– Czytałam książkę.

– Niech zgadnę, Theresa Révay?

– Zgadłeś.

Raphaël pochylał się nad nią i całował ją w usta.

Pewnego razu podszedł do niej, trzymając rękę schowaną za plecami.

– Proszę, to dla ciebie – powiedział, wręczając jej prezent.

Laura odwinęła papier i jej oczom ukazały się *Ostatnie lato w Mayfair* i *Wszystkie marzenia świata*, dwie książki autorstwa jej ulubionej pisarki.

– Zdaję się, że brakowało ci ich w kolekcji.

– Uwielbiam cię.

Raphaël wśliznął się do jej łóżka. Wtulali się w siebie pod kołdrą, ułożeni w sposób, który nazywali „ich pozycją”. Magia niezawodnie zaczynała działać. Przytulali się do siebie i trwali tak nieruchomo, a ich oddechy układały się w jedno wspólne tchnienie. Potem jedno z nich wydawało westchnienie, które świadczyło o błogostanie zachęcającym do dalszych uciech.

Czas mijał, a ich stosunki stawały się coraz bliższe. Raphaël dzwonił do niej kilka razy dziennie, na krótko, pod różnymi pretekstami, dowiadując o postęp prac nad albumem poświęconym Marsylii. Po południu przychodził i razem rozkładali się w słońcu na ich tarasie. Nie mieli ochoty na tajne schadzki. Wieczorami Laura robiła się bardziej rozmowna, opowiadała o swojej przeszłości, o dzieciach, zdając sobie

sprawę, że wciąga go w to, co najbardziej intymne i najdroższe. Raphaël też nie skąpił zwierzeń. Każde z nich próbowało odnaleźć się w życiu drugiego. Nieuchronnie powracał temat spadku. Ale Laura wystrzegala się, żeby nie uczynić z niego swojej obsesji, a przede wszystkim nie zwierzać się z obaw, które nią targały, gdy rozmyślała o tym w samotności. Zaniepokoił ją wyraz, który przemknął po twarzy Raphaëla, kiedy opowiedziała mu w kilku słowach o tym, jak porzuciła ją matka. Słuchał jej z wyjątkową powagą, potem zastygł, jakby osobiście urażony postawą tej kobiety.

– Jak mogła się z tobą rozstać? I nawet cię nie pocałowała? Zostawiła cię przez te wszystkie lata? To chore. Musisz jej nienawidzić za to, co zrobiła.

Nie, właśnie, że nie. Tylko jak to wytłumaczyć? Jej matka stała się cieniem bez twarzy, od dawna milczącą nieobecnością, niemal obiektywnym faktem. Jak to, że dorastała tu, w tej *calanque*, a nie gdzie indziej. Jej matka uciekła od życia, jakie kazał jej wieść mąż, co nie znaczy, że porzuciła ją, małą Laurę. Tu chodziło o jej rodziców, o ich małżeństwo. A ojciec, zawsze to wiedziała, nigdy nie zgodziłby się utracić córki. Laura sądziła, że nawet się nie rozwiedli. Joël twierdził coś innego, ale wówczas sąd, zgodnie z prawem, powierzyłby ją jednemu z rodziców, przyznając drugiemu przynajmniej prawo do wizyt. Nic takiego nie nastąpiło. Jej matka odeszła, życie toczyło się dalej. Bez niej. Po śmierci ojca nikt nie interweniował, żeby oddać ją matce, która nie dała o sobie znać, pewnie dlatego, że nie wiedziała o tym, że mąż nie żyje. Laura była prawie pełnoletnia. Życie, po raz kolejny, toczyło się dalej. Bez nich.

– Nigdy nie chciałaś jej odszukać, zobaczyć się z nią?

Laura wykręcała się od odpowiedzi. Po co do tego wracać? Wielokrotnie wszczyniała poszukiwania, Sébastien zachęcał ją do tego,

ale, o dziwo, jej działania nigdy nie przyniosły efektów, gdyż za szybko się poddawała. Wytrwałość towarzyszyła jej we wszystkich dziedzinach życia, a tutaj jej zabrakło. Kiedy sama została matką, próbowała wyjaśnić tę tajemnicę raz na zawsze. Też bez skutku. Będzie musiała żyć z pytaniami pozostawionymi bez odpowiedzi. Tylko zniknięcie jej ojca wciąż nie dawało jej spokoju. Ale Raphaël nie wiedział nic o koszmarach, które coraz częściej ją dręczyły. Laura nic nie mówiła na ten temat. A jej kochanek był zbyt taktowny, aby się dopytywać. Chciała żyć z nim tylko teraźniejszością, choć doceniała ich relacje, dające nadzieję na przyszłość.

Lipiec kończył się, dni były ciężkie, panowała wilgoć niemal tropikalna, ale nie przeszła żadna burza. Camille i Enzo wkrótce przyjadą. Laura obawiała się tego. Jak zareagują na jej związek z Raphaëlem? A jak Raphaël odnajdzie się w jej życiu rodzinnym, z jego ograniczeniami i harmonogramem zajęć? Ich drobne przyjemne przyzwyczajenia zostaną nieuchronnie zakłócone.

– Robisz z igły widły – stwierdziła Renée na kilka dni przed powrotem dzieci. – Twoje dzieciaki są duże, rozumieją, że masz prawo ułożyć sobie życie na nowo.

– Może.

– Na pewno. Myślę nawet, że będą dumni z tego powodu. Raphaël nie jest starym prykiem, ponurym i zrzędlwym. Będzie dla nich jak starszy brat, zobaczysz, jeszcze przejmą nad nim władzę.

– A, co to, to nie! To moje życie, nie ich.

Nadszedł dzień, w którym Laura i Raphaël mogli ustawić meble na swoim miejscu. Laura była wniebowzięta. Świeżo odmalowany salon otwierał się na kuchnię amerykańską w stylu, gdzie lakierowane meble odbijały światło docierające bez przeszkód aż na piętro. Pokoje dzieci zostały odnowione farbą wapienną, co dawało wyśmienity efekt. Zrobiło

się przyjemnie, ciepło, przewiewnie. Korzystając z okazji, Laura powiesiła nowe, wzorzyste bawełniane zasłony, z wyjątkiem pokoju Enza, który dostał żaluzje z jasnego drewna.

– Teraz, skoro remont skończony, co byś powiedziała na małą wycieczkę po morzu? – zapytał Raphaël. – Jutro wziąłem sobie dzień wolnego, Manu mnie zastąpi.

– Bardzo chętnie! – zawołała z entuzjazmem.

To była ich pierwsza wyprawa i Raphaël miał okazję ocenić umiejętności Laury jako sternika. Morze to był jej żywioł.

Nazajutrz dołączyła do Raphaëla na przystani. Była rozgorączkowana jak panna młoda przed ślubem. Raphaël był zupełnie spokojny. Nie wątpił w umiejętności swojej partnerki. Gdy znaleźli się na pokładzie, odcumował i skierował się na południe. Laura miała przejąć ster przy następnej wachcie, ale kołysana ruchem łodzi zasnęła na dziobie. Gdy się obudziła, półnagi Raphaël stał nad nią i obserwował ją z uroczym uśmiechem, trochę rozczulającym, a trochę szelmowskim. Ledwo otworzyła oczy, uśmiechnęła się do niego. Pochylił się nad nią, uniósł i przyciągnął do siebie. Lizała go po słonawej szyi, a potem długo całowała. Chwilę później kochali się jak jeszcze nigdy dotąd. Kiedy odzyskała zmysły, leżał obok niej na pokładzie z oczyma wpatrzonymi w niebo, jego pierś unosiła się bezgłośnie. Nucił piosenkę, której nauczył się w dzieciństwie.

– O czym jest ta piosenka? – zapytała Laura, ujmując jego twarz w dłonie.

– Daj spokój, to idiotyczne i nic nie znaczy, jak te wszystkie przyspiewki, których człowiek uczy się jako dziecko.

– Proszę cię, powiedz.

Ponownie zanucił.

– *Caballito blanco/ Llevame de aqui/ Llevame hasta el pueblo/ Donde yo*

naci...

W tym języku, którym posługiwał się tak dobrze i tak rzadko, jego głos nabierał niemal melancholijnego brzmienia.

– Przetłumacz mi.

– Naprawdę chcesz? To takie głupie...

– Jeżeli wciąż ją nucisz, to znaczy, że masz tę piosenkę w sercu. Przetłumacz mi słowa.

Obrócił się na bok.

– To znaczy mniej więcej: „Biały koniku, zabierz mnie stąd, zabierz mnie do miasta, gdzie się urodziłem”.

Morze wokół nich było gładkie jak stół, żagla nie wzdymał najłżejszy podmuch wiatru. Raphaël leżał nieruchomo i obserwował szczyt masztu. Laura przytuliła się do niego i wyszeptała mu do ucha:

– Kocham cię, Raphaëlu Ortéga.

Reakcja była natychmiastowa, choć niedostrzegalna – krótki wdech zacisnął mu nozdrza, a potem jego twarz zastygła w bezruchu. Co powiedziała? Podniósł się powoli, odsunął od niej. Laura poczuła się odarta z samej siebie.

Zszedł do kabiny, żeby sprawdzić prognozę pogody, potem wrócił, aby zwinąć żagiel.

– Według prognoz w nocy nie będzie wiatru. Jutro tak samo. Proponuję, żebyśmy włączyli silnik i wrócili, w przeciwnym razie utkniemy w tej zupie.

– To ty jesteś kapitanem...

Ich rejs trwał zaledwie kilka godzin, co wystarczyło, żeby natrafili na podwodną skałę, która czyha na kochanków, gdy serce jednego z nich zaczyna bić innym rytmem. Ale skała podwodna nie zatopiła łodzi. Powrót nie powinien ich rozdzielić. Raphaël wyraźnie poczuł się swobodniej, gdy zbliżyli się do wybrzeża, kpiąc z samego siebie, że

zachciało mu się żeglować w taką pogodę.

– Myślałem, że na pełnym morzu znajdzie się jakaś mała bryza, mały wietrzyk tylko dla nas dwojga. Wolne żarty! Trudno, zrobimy sobie wycieczkę po lądzie.

Zapewniła go, że to świetny pomysł. Przesłał jej całusa, mocując ster. W sumie tego dnia nie wypłynęli na szerokie wody – pokręcili się tylko w kółko.

Laura ostrożnie wyswobodziła się z objęć Raphaëla, który zapadł w sen. Po co leżeć po ciemku z szeroko otwartymi oczami? Sen znowu nie przychodził. Na palcach wyszła z pokoju, naląła sobie dużą szklankę wody i wyszła na taras. Nocy nie chłodził najłżejszy podmuch wiatru. Urywane brzęczenie owadów trwało nieprzerwanie. Położyła się na szezlongu i masowała sobie skronie, żeby zmniejszyć rosnące w niej napięcie. Beztroska ostatnich tygodni należała do przeszłości. Teraz dopadała ją rzeczywistość.

Wahała się między obawą i żalem. Po pierwsze, to przedwczesne wyznanie, którym wprowadziła Raphaëla w zakłopotanie. Oswajał się z nową sytuacją, Laura doskonale zdawała sobie z tego sprawę, zwłaszcza że zbliżał się powrót dzieci... Będą potrzebowali czasu. Laura, osaczona z dwóch stron, będzie musiała ich uspokajać. Zakochała się i było za późno, żeby się wycofać. Zresztą Laura wcale nie miała na to ochoty. Była przekonana o tym, że Raphaël jest jej oddany, ale trzeba będzie iść na pewne ustępstwa. Dopilnuje, aby powrócić do tematu, i wytłumaczy mu się. Wczoraj wieczorem, po powrocie z morskiej eskapady, zjedli kolację, prawie nie odzywając się do siebie. Raphaël wydawał się niechętny wszelkiej rozmowie. A ponieważ Laura nie znosiła sztucznych sytuacji, w końcu zwróciła mu uwagę na jego milczenie. Nie zaprzeczył.

– Jakie masz plany na jutro? – zapytała w końcu, gdy sprząтали w kuchni.

Powiedział o wycieczce w głąb lądu. Ale Laura czuła, że jego propozycja, którą złożył po to, żeby pocieszyć ją po żalnym wypadzie

na morze, była już nieaktualna. Potrzebował spokoju, żeby poukładać sobie wszystko w głowie.

– Możemy to przełożyć – odezwała się. – W każdym razie zrozumiem, jeżeli wrócisz do pracy, Manu na pewno się ucieszy.

– Dziękuję, Lauro. Jestem wykończony, muszę iść spać.

– Możesz zostać, jeśli chcesz.

Przed pójściem spać Laura uruchomiła komputer i wysłała do Sébastiena maila, chcąc potwierdzić numer lotu i godzinę powrotu dzieci, po czym położyła się do łóżka obok Raphaëla. Spał jak zabity. Kiedy się kładła, poruszył się, odwrócił w jej stronę i objął ją. Ale ten gest był tylko odruchem, a ona leżała uwięziona w jego objęciach, nie ośmielając się ruszyć.

Kiedy się obudziła, łóżko było puste. Jej kochanek zniknął bezszelestnie. Przez cały rano czekała na telefon, który nie zadzwonił. Po południu też się nie odezwał. Późnym wieczorem, gdy układała rzeczy w pokoju Enza, odgłos silnika sprawił, że wybiegła na schody. Z tarasu ujrzała przybijający do brzegu „Zodiac” i Raphaëla, który wysiadł z pontonu i przez burtę wszedł do swojej łodzi. Noc była jasna. Zawahała się, czy nie zbiec do niego po schodach, już miała to zrobić, ale zmieniła zdanie i wróciła do domu. Poprzestała na zadzwonieniu na jego komórkę, żeby życzyć mu dobrej nocy. Trafiła na automatyczną sekretarkę, wybełkotała parę słów, po czym rozłączyła się, wściekła, że po „dobranoc” dodała: „mam nadzieję, że wszystko w porządku”, co przypominało wołanie o pomoc.

Nazajutrz Raphaël odpłynął, zanim zdążyła popływać z Mayą. Ale zadzwonił do niej około godziny jedenastej, żeby podziękować za wiadomość, którą mu zostawiła, i zapewnić, że wszystko było w porządku, że miał strasznie dużo pracy, godziny dodatkowe, kłopoty z kelnerem... Zadzwoni do niej, kiedy tylko będzie mógł. Zrządzeniem

losu minutę później Laura dostała SMS-a od Renée, która zapowiadała się na obiad na Przylądku Admirala. Spędziła swoją pierwszą noc z François Marinim. Laura powstrzymała się, żeby nie odetchnąć z ulgą. Wydarzenie to spadło jej z nieba. Nie będzie musiała znosić wyrzutów przyjaciółki na temat gafy popełnionej na łodzi. Rzeczywiście, obiad w całości poświęcony był sprawom Renée.

– Czego można oczekiwać od polityka? Nigdy nie uczyni mnie oficjalnie swoją partnerką. Zostaję w buduarze. Tylko nikomu ani słowa.

– No wiesz? Potrafię trzymać język za zębami.

– Ależ ja nie myślałam o tobie! Chodzi mi o innych, wiesz, obrońców moralności. Tacy zdarzają się nawet w dzisiejszych czasach...

Przed wyjściem Renée przypomniała sobie, że Laura też ma kochanka.

– A ty? Nic mi nie mówisz o swoich amatorach?

Laura wskazała na mosiężny barometr, wiszący na ścianie przy wejściu. Wskazówka na tarczy pokazywała wysokie ciśnienie.

– Optymistyczne prognozy, rozumiem... Ale uważaj, kiedy wrócą dzieci. Wszystko będzie odbywać się w ich obecności, a co najważniejsze, nie rób głupot, nie wyznawaj mu miłości, jeszcze nie teraz, obiecujesz?

Zaczął się. Renée dawała jej swoje złote rady.

– Jeżeli zależy ci na tym mężczyźnie, nigdy nie okazuj mu, że jesteś uzależniona emocjonalnie. Musisz zachować zimną krew, być pewna siebie, a nawet perfidna, jeżeli trzeba, rozumiesz?

– Doskonale.

– To dla niego wyzwanie, będzie musiał stawić czoło rodzinie, trzem osobom. Musi ustosunkować się do każdego z was. Ale ty to wszystko wiesz, niepotrzebnie ci to mówię... Uciekam, już jestem spóźniona.

Laura ucałowała przyjaciółkę, mówiąc sobie w duchu, że to

judaszowy pocałunek. Chętnie doniosłaby na nią Mariniemu, poinformowała go, że jego kochanka marzy o tym, żeby uczynić z niego swojego niewolnika, gorzej, potulnego męża. A co!

Po południu nic. Wieczorem nic. Nic się nie działo. Kompletny zastój. Uporczywy upał. Bezksiężycowa noc. Na skarpie rysowały się poszarpane cienie, czarniejsze niż sama noc, która chwytiała w swoje szczęki niewidzialne ofiary. Przelatujący nietoperz sprawił, że zadrżała. Od dwóch godzin snuła się po tarasie, układając w myślach puzzle nadchodzących dni. Nadeszła pora, żeby położyć się spać. Raphaël niedługo wróci do portu, a ona nie chciała na niego czekać. Już miała zgasić lampkę nocną, gdy dało się słyszeć stukanie do drzwi. Przyjął go. Mimo wszystko.

Wycofał się w cień, widać było tylko zarys jego sylwetki. Podeszła do niego, a gdy chciała zaprosić go do domu, nakazał milczenie, kładąc palec na jej ustach. Chwilę później wszedł za nią do salonu. A potem zamknął ją ramionach.

Laura czuła się dziwnie spokojna. Położyła mu głowę na ramieniu i wyszeptała:

– Chodź, nie mogę już bez ciebie spać.

Laura, która z obawy przed spóźnieniem przyjechała za wcześnie, przemierzała terminal numer jeden na lotnisku w Marignane. Jeszcze tylko dziesięć minut do zakończenia lotu AF 4573 z Paris-Charles-de-Gaulle. Na podkładzie samolotu lecieli Camille i Enzo, i wkrótce będzie mogła ich uściskać.

Enzo wyszedł pierwszy.

– Witaj, moje maleństwo! – zawołała, machając ręką.

Podszedł do niej z udawaną nonszalancją, najwyraźniej nie spiesząc się z odpowiedzią na jej powitanie. Miał cerę koloru dojrzałej moreli i wyglądał, jakby urósł dziesięć centymetrów. Poza tym był rozczochrany i miał na sobie podkoszulek, który prosił się o wypranie. Pocałował ją od niechcenia.

– A gdzie twoja siostra?

– Odbiera bagaże...

Ze sposobu, w jaki to powiedział, Laura wywnioskowała, że wspólna podróż musiała być niełatwa.

– Znowu się z nią pokłóciłeś?

– Ona mnie wkurza.

– Enzo!!!

– Daj spokój, mamó, to nic nie da.

Po miesiącu bujania w obłokach – powrót na ziemię. Oboje przylecieli w jak najlepszej formie, ale za parę tygodni każde z nich będzie znów w bojowym nastroju. Enzo z trudem zdał do trzeciej klasy gimnazjum, z poważną dysleksją, która wymagała nieustannej pomocy

w nauce, a Camille opuszczała rodzinne gniazdo. Uzyskała maturę z wyróżnieniem, dostała się do klasy przygotowawczej na prestiżowej uczelni i zamierzała przeprowadzić się do Paryża, do swojej ciotki Vanessy, siostry Sébastiena, aby tam studiować.

W fiacie 500, który wiozł ich na Przylądek Admirala, Laura wypytywała ich o pobyt. Ani jedno, ani drugie nie miało nic więcej do powiedzenia poza tym, co codziennie opowiadali jej przez telefon. Powietrze wpadało przez otwierany dach małego czerwonego samochodu i uwagi Enza przepadały w drogowym hałasie.

– Co mówiłeś? – powtórzyła Laura, zjeżdżając polną drogą prowadzącą do Przylądka Admirala.

– Tata będzie się żenił.

– To jeszcze nic pewnego – odezwała się Camille, siedząca na miejscu pasażera. – Tata powiedział, że jeżeli miałby się ponownie ożenić, to tylko z Kathleen i z nikim innym.

Laura zachowała komentarze dla siebie. Ze zdjęcia, które dostrzegła na smartfonie Sébastiena, wynikało, że rzeczona dziewczyna zaliczała się do kategorii słodkich blondynek z krzykliwym makijażem. Jej były mąż przerzucił się na plastikowe lale...

Wyładowawszy bagaże z bagażnika, zatrzymała się na progu.

– Mam dla was niespodziankę... Przygotujcie się na zmiany.

Włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

– Genialne! – wykrzyknął Enzo, odkrywając całkowicie odmieniony salon.

– Sama to zrobiłaś? – zapytała Camille z powątpiewaniem.

– Prawie.

Enzo, wyczerpany po podróży, poszedł spać, pochłonawszy najpierw kopiasty talerz zapiekanki makaronowej, która przynajmniej raz się udała. Laura włożyła naczynia do nowiuteńkiej zmywarki i wyszła na

taras do Camille. Dziewczyna siedziała na leżaku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Po chwili milczenia zapytała matkę:

– Czyja jest ta żaglówka na dole?

– Jednego znajomego – odparła Laura bez wdawania się w szczegóły.

No jasne, żaglówka... Jak mogła o tym nie pomyśleć? To było pierwsze, co rzucało się w oczy w zatoce, szczegół uderzający, gdyż przez trzy lata żadna łódź nie cumowała do pierścienia Gilberta.

– Jakiego znajomego? Twojego czy Joëla?

– Nas obojga.

Zaskoczona Laura usiadła na krawędzi murku, a córka nie spuszczała przystani z oka.

– Zostaje na kilka dni czy na stałe?

Laura wstała i przeniosła się na drugi szezlong, szukając w myślach odpowiednich słów. Trzymała się zasady, żeby nigdy nie okłamywać swoich dzieci. Najwyraźniej jej córka była dużo bardziej spostrzegawcza, niż sądziła. Camille odwróciła głowę i przeniosła wzrok na Laurę.

– Mamo, przez lata nie zgadzałaś się, żeby wynająć pierścień dziadka i nagle zmieniasz zdanie... – Widząc zażenowanie matki, ciągnęła figlarnym tonem: – Coś mi mówi, że ominęło mnie jakieś wydarzenie z twojego życia. Mam rację?

Lepiej mieć to już za sobą.

– To bardzo świeża sprawa, wolałabym nie stawiać zamków na lodzie.

– A więc o to chodzi! – wykrzyknęła Camille. – Spotykasz się z kimś?

– Tak – przyznała Laura, spuszczając wzrok.

– Super!

– Tak uważasz?

– No wiesz, przecież to cudownie! Jaki on jest? Czym się zajmuje?

Kiedy nam go przedstawiś?

– No, no, nie tak szybko! To dopiero początek znajomości.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tak, naprawdę jestem. Ale strasznie się boję, że się ze sobą nie dogadacie.

– Wiesz co, potrzebowałam wielu lat i tej podróży do Republiki Południowej Afryki, żeby zrozumieć, że ty i tata nigdy już nie będziecie razem. To było bolesne, ale potem przywykłam do tej myśli. – Pochyliła się i ujęła ją za rękę. – Mamo, zajmowałaś się nami przez całe życie. Teraz przyszedł czas, żebyś pomyślała o sobie. Wyprowadzę się z domu, Enzo może niedługo zrobi to samo. Zrozum, że my będziemy spokojniejsi, wiedząc, że nie jesteś sama, że ktoś nad tobą czuwa.

To były najlepsze słowa, jakie Laura mogła usłyszeć. Wstała i uściskała Camille z całych sił, z oczami wypełnionymi łzami.

– Dobrze już, dobrze – szepnęła Camille, wyswobadzając się z jej objęć. – Może teraz coś mi o nim opowiesz?

Laura zeszła do warsztatu Joëla, któremu pewien właściciel z Monako zlecił remont swojej rivy. Te łodzie motorowe, wykonane z mahoni, chromu i skóry, prawdziwe rolls-royce'y mórz, które zyskały sławę w szalonych latach sześćdziesiątych, wymagały rzemieślniczej konserwacji. Joël potrafił to robić. Enzo stał obok niego i pieczołowicie polerował lakier.

– A, tu jesteś! – zawołała do syna. – Wszędzie cię szukałam.

Bossis poprawił okulary, których metalowa oprawka trzymała się już tylko cudem, i wstawił się za swoim młodym uczniem. Enzo porzucił na chwilę pracę i wziął matkę na bok. Z poważnym i zdecydowanym wyrazem twarzy, który wywołał u Laury uśmiech, powiedział:

– Zrozum, Joël jest już stary. I niedowidzi...

Odsunął kosmyk za długich włosów, po czym oświadczył prosto z mostu, że studia go nie interesują i że woli pracować przy łodziach. Laura nie była zaskoczona. Przez lata przyzwyczała się do myśli, że jej syn odnajdzie się w pracy fizycznej. Nieraz mówiła sobie, że mu pomoże, jeżeli takie będzie jego powołanie. Enzo przypominał jej ojca.

Chłopak nie wypytywał o żaglówkę zacumowaną na przystani, jakby wolał nic nie wiedzieć. Laura uszanowała jego wybór. Miała czas, żeby przygotować odpowiedzi. Nie chciała go popędzać. Enzo zgrywał twardziela, ale w rzeczywistości był jeszcze dzieckiem. Tymczasem nadjechał smart Renée i zaparkował z piskiem opon. Właścicielka wyszła z niego wściekła jak osa i trzasnęła drzwiami.

– Muszę z wami porozmawiać – zwróciła się do Laury i Bossisa, który

wyszedł jej na spotkanie, wycierając ręce w szmatę. – Katastrofa! Victor Salomone... Mówi wam coś to nazwisko?

Bossis pierwszy zareagował.

– To kombinator, jakich mało! Bycie rybakiem mu nie wystarcza, ma wielkopańskie ambicje! Chciałby startować w wyborach, szczyryć się z plakatów do frajerów i naiwniaczków. Jest zdolny do wszystkiego, nawet do zebrania wojska!

– I to właśnie zrobił – przerwała mu Renée.

Mężczyźnie, który przyczepił się do Laury w trakcie prezentacji statutu parku narodowego, udało się przekonać do swoich racji niezależnych rybaków, winiarzy i większość mieszkańców wybrzeża. Nikt z nich nie chciał więcej słyszeć o parku narodowym.

– Udało mu się zrzeszyć wszystkich malkontentów. A możecie mi wierzyć, że ich nie brakuje. Zwołał zebranie dziś wieczór w Cassis, w sali weteranów wojennych. Też wybrał miejsce! Wstęp jest wolny, słowem – musimy tam iść i się sprzeciwić. Nie możemy dopuścić, żeby mieszał ludziom w głowach swoimi dyrdymałami. Twierdzi, że wraz z utworzeniem parku lokalne podatki wzrosną dziesięciokrotnie.

– To bzdura! – wtrąciła się Laura. – Bujda na resorach. Państwo opłaca swoją część, społeczności lokalne nie poniosą aż takich kosztów. Ten facet wszystko zepsuje.

– To wiemy – odezwał się Joël. – Ale co robić?

– Mamy asa w rękawie – powiedziała Renée. – A właściwie ty go masz, Lauro.

– Ziemię Soubeyrana?

– Tak. Rozmawiałam z François Marinim na temat twojego zamiaru oddania tej działki skarbowi państwa, jeżeli tylko znajdzie się ona w centrum parku. Pod warunkiem oczywiście wykonania prac umocnieniowych na koszt państwa.

Renée przywykła do toczenia bojów politycznych. Obrońcy PNC będą teraz musieli stawić czoła atakom przeciwnika i nie poddawać się. Przylądek Admirala, położony u wejścia do Cassis, zajmował strategiczną pozycję i leżał na spornym terenie. Tak też przedstawiła sprawę posłowi. Jeżeli Przylądek Admirala się zawali, wszystko będzie skończone. Marini w mig pojął, że ma w tym swój interes.

– Teraz, jeśli nadal się zgadzasz, postaram się przysłać tu ekipę fachowców. Będą mogli wycenić koszt przeprowadzenia prac.

– Tak, oczywiście. Rób, co uważasz!

Renée wyjęła telefon i wydała stosowne instrukcje.

– Salomone nie spodziewa się, że przyjdziecie. Wykorzystajcie to.

Laura spostrzegła, że Joël się waha. Udział w zebraniu niezbyt mu się uśmiechał.

– Jeżeli przyjdę, rzucą się na mnie, a ja nie zamierzam znosić pokornie ich impertynencji. Nie rękę za siebie, dziecinko.

Renée skinęła głową. Żadnych utarczek, bo to by oznaczało, że walczą tymi samymi metodami. Trzeba dyskutować i przekonywać, nie ulegając prowokacjom.

Pożegnała się z Joëlem i wróciła do samochodu. Laura ją odprowadziła.

– Całuski, kochana, zajmę się tobą. Zdzwoniemy się i umówimy przed salą zebrań.

Smart zniknął w chmurze pyłu. Wtedy Laura przeniosła wzrok na skarpe. Puszysta roślinność rosnąca na równinie oplatała stromą ścianę, która nagle wydała jej się niezwykle groźna. Wyobrażała sobie, jak pęka i osuwa się z hukiem. Kiedy to się stanie? Niby to nic pilnego. A jednak... Co będzie, jeśli nadejdzie potężna burza? Straszne, okrutne obrazy stanęły jej przed oczami. Jak uchronić dzieci? Wróciła do Joëla.

– Dlaczego on to zrobił? – zapytała cicho, żeby nie niepokoić Enza.

– Soubeyran? Któż to wie...

Bossis zabrał się do czyszczenia śruby, obrośniętej maleńkimi muszelkami.

– Przecież to chore! Za co miałyby żywić do mnie urazę?

Joël nie odpowiedział, co Laurę jeszcze bardziej zdenerwowało.

– Czy to ma jakiś związek z moim ojcem?

Jej przyjaciel nie zareagował i dalej pracował jak gdyby nigdy nic.

– Joël – nie ustępowała Laura, chwyciła go za rękę, zmuszając, żeby spojrzał jej w oczy. – Wyobrażasz sobie, że któregoś wieczoru wzgórze wali się na dom? A moje dzieci, pomyślałeś o nich? Chcę zrozumieć!

Bossis przerwał pracę i wyprostował się. Przeszli kilka kroków w stronę mola, z którego roztaczał się najlepszy widok na dom Laury i leżącą nad nim działkę Soubeyrana.

– To klasyczna historia – wyznał, wycierając ręce w poplamioną smarem szmatę. – Nigdy ci jej nie opowiadałem, żeby nie budzić dawnych urazów.

Zrobił krótką przerwę, tyle żeby oprzeć się o drewniany słupek, wokół którego owinięto liny cumownicze. Laura czekała na ciąg dalszy, ale nie okazywała zniecierpliwienia. Po raz pierwszy od zaginięcia jej ojca Joël zgodził się powrócić do przeszłości. Zdjął okulary i odsunął do tyłu czapkę z daszkiem.

– Wiesz co? Pagnol niczego nie wymyślił, pisząc *Jean de Florette*. Rodziny Abrigorów i Soubeyranów przez lata toczyły taką samą wojnę. Dwa kawałki jałowej ziemi, jedno źródło wody pitnej... Z jednej strony bogactwo, z drugiej zazdrość...

Laura cofnęła się w czasie. Niewiele wiedziała o swoim dziadku, tyle tylko, że był nauczycielem w Marsylii i że kupił chatę na Przylądku Admirała, do której przy ładnej pogodzie zabierał rodzinę.

– Dziś to osławione źródło jest już tylko cienką strużką wody. Tą,

która płynie za twoim domem. Ale były czasy, kiedy było szerokim strumieniem. To był bezcenny luksus. Ojciec Marcela Soubeyrana od dawna miał na nie chrapkę. Z łatwością mógłby zmienić jego bieg i nawodnić swoją ziemię. Ale twojemu dziadkowi udało się nabyć je na własność. I to za jakąś symboliczną opłatę, jak mówił twój ojciec.

Laura wielokrotnie miała okazję czytać historie opowiadające o dziejach *calanques*, które były niczym Dziki Zachód dla pionierów cywilizacji wypoczynku. Chaty zbudowane na skarpach cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród marsylczyków. Nikt nie sprzedałby ich żadnemu „obcemu”. Zostawały w rodzinie, przekazywano je sobie z pokolenia na pokolenie. Gdy któryś bezdzietny właściciel był zmuszony pozbyć się jej, zazwyczaj oddawał ją w dożywotni najem któremuś z sąsiadów. W przypadku Przylądka Admirala tradycja została przerwana. Właściciel chaty wolał ją sprzedać ojcu Gilberta. Staruszkowi nie zależało już na pieniądzach, prosił tylko, żeby jego skromny dobytek był użytkowany zgodnie ze swoim przeznaczeniem i aby dbano o zachowanie miejsca w jego naturalnym stanie. Laura bez trudu wyobraziła sobie reakcję dzieci Soubeyranów.

– Ojciec był przedsiębiorcą, syn adwokatem – dodał Bossis. – Wykorzystywali swoje wpływy w całej gminie. Pamiętam, jak mój ojciec uchylał przed nimi słomkowego kapelusza. Byłem oburzony, widząc, jak się przed nimi płaszczyl. Kiedy twój dziadek został oficjalnie właścicielem chaty, robili wszystko, żeby skłonić go do jej sprzedania. Źródło było obiektem zazdrości w okolicy... – Bossis westchnął głęboko, po czym dokończył swoją opowieść. – Czas mijał. Gilbert zadomowił się tutaj na dobre i otworzyliśmy naszą małą firmę. Ani on, ani ja nie byliśmy łasi na pieniądze. Kochaliśmy to życie, wystarczało nam do szczęścia. Marcel Soubeyran nieraz próbował nas podchodzić, jak nie prośbą, to groźbą. Twój ojciec nigdy się nie ugiął. Podejrzewam, że

Soubeyran chciał na łożu śmierci zemścić się, zapisując ci ten zatruty dar...

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie mówiłeś?

Joël nagle wydał się znużony.

– Po co rozgrzebywać stare historie? Dość nam już napsuły krwi.

– Mimo wszystko, kiedy opowiadałam ci o cudownym spadku po Marcelu Soubeyranie, mogłeś mnie ostrzec.

– Nie osądzaj mnie, Lauro. Nie jestem już najmłodszy i jedyne, na czym zależy mi na starość, to zakopać dawne sprzeczki i żyć w spokoju. Niczego się nie domyślałem, zapewniam cię. Naprawdę sądziłem, że Soubeyran, umierając, postanowił naprawić swoje błędy.

Złagodniał i położył dłoń na ramieniu Laury.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Oddając tę przeklętą działkę państwu, aby wpisano ją w centrum parku, robisz dokładnie to, czego by sobie życzył.

Laura milczała, zirytowana tym, że Bossis trzymał ją w niewiedzy. Jednocześnie odczuwała ulgę.

– W każdym razie – podjął Joël – nie ustąpimy przed tą kanalią, Salomonem. Zamknij mu gębę, dziecinko, obiecuj.

Laura spojrzała na swojego syna. Szlifował dziób łodzi pod wodnicą. Nigdy nie widziała, żeby pracował równie skrupulatnie. Właściwie czemu nie? Jeżeli przejęcie rodzinnego interesu miałoby go uszczęśliwić, Laura nie widziała przeciwwskazań. Podeszła do niego, ucałowała, poleciła, żeby uważał, aby się nie zranić, czym wywołała szyderczy uśmiech syna, i poszła do domu. Czekala na nią wiadomość od Raphaëla.

„Czekam na ciebie w restauracji. Mam nadzieję, że wszystko w porządku”.

Natychmiast do niego oddzwoniła.

Zgodnie z umową spotkali się w Admiralicji, opustoszałej o tej porze, w czasie przerwy dla personelu. Manu, zastępca szefa kuchni, dyskretnie się ulotnił. Restauracja była pusta, jeśli nie liczyć trzech kelnerów podających napoje na tarasie. Raphaël i Laura nie widzieli się od powrotu dzieci. Raphaël starał się przyplýwać i odpływać możliwie jak najdyskretniej. Jeszcze się na nie nie natknął. Po nieporozumieniu, które oddaliło ich od siebie po wycieczce łodzią, niczego sobie nie wyjaśnili. Poprosił Laureę, aby usiadła przy stole w głębi sali.

– Nie gniewaj się na mnie, mam tu urwanie głowy. Musiałem w ostatniej chwili znaleźć zastępcstwo dla kelnera, jeden z dostawców wystawił mnie do wiatru, a mamy pełnię sezonu. Haruję od rana do wieczora, żeby się wyrobić.

Laura chciaaby w to uwierzyć, ale czuła, że próbuje się wykręcić, a to nie było do niego podobne.

– To dlatego, że powiedziałam, że cię kocham, tak? Poczuleś się osaczony?

Siedział przed nią, podpierając się na łokciach, ze skrzyżowanymi ramionami, w swoim ubraniu kucharza. Nie wydawał się poruszony pytaniem.

– Nie, nie osaczony. Trochę zaskoczony, chociaż nawet nie, to nam było pisane. Chodzi o to, że...

Urwał i przeniósł wzrok na klientów, którzy zaglądali do sali z pytającymi minami.

– Przepraszam na chwilę.

Wstał, podszedł do nich, wyjaśnił coś i usiadł z powrotem naprzeciwko Laury.

– Prawda jest taka, że nagle uświadomiłem sobie, co dla ciebie znaczą i co to ze sobą niesie. Poza tym twoje dzieci miały właśnie wrócić. Przygoda się skończyła. Spodziewałem się tego, ale zrozumi, dla mnie ta wycieczka była przedłużeniem snu, który trwał nadal.

– Nie mów mi, że zepsułam ten sen.

– Tak było, bo tak musiało się stać. Mnie też na tobie zależy, Lauro, i potrzebowałem konfrontacji z własnymi uczuciami.

Nie powiedział, że ją kocha, ale że mu na niej zależy, co w jego ustach zapewne oznaczało to samo. Ujął czubki jej palców i ścisnął je delikatnie.

– Życie jest dziwne, nie sądzisz? Osoba, na której ci zależy najbardziej na świecie, wyznaje ci miłość, a ty, zamiast skakać z radości, padasz na ziemię. Ja tak się właśnie poczułem. Mówisz mi, że mnie kochasz, a ja dowiaduję się, że czuję do ciebie to samo i że będziemy musieli zmienić nasze życie.

– Ależ ja nigdy nie każę ci opuszczać twojej łodzi. Możemy się kochać i nie mieszkać razem.

– Tak, oczywiście.

Nie wyglądał na przekonanego do końca.

– Jak przyjmą to twoje dzieci? Jestem od ciebie młodszy, Lauro, ja się tym nie przejmuję, ale one?

Laura była przygotowana na to pytanie.

– Camille od razu zauważyła twoją żaglówkę i powiedziałam jej prawdę. Bardzo dobrze to przyjęła. Myślę, że z Enzem też nie będzie problemu. Obiecuję ci, Raphaëlu, że wszystko będzie dobrze. Znam ich, spodobasz im się.

Znowu dostrzegła w jego oczach szczery blask, który pojawiał się, gdy cieszył się na jakąś myśl.

– Zrobię im hamburgery według mojego przepisu. Jeżeli to ich nie przekona, to składam swój fartuch!

Postanowili poczekać tydzień albo dwa, zanim zaczną pokazywać się razem. Do tego czasu Raphaël zdąży już poznać dzieci. Tymczasem pozostaną w kontakcie telefonicznym. Było to frustrujące, ale nadrobią zaległości, gdy przyjdzie czas!

Gdy Laura wsiadała do fiata, zawibrował telefon.

– Gdzie ty jesteś? – wykrzyknęła Renée tonem wyrzutu. – Co ty wyrabiasz? Zebranie Salomone’a zaraz się zacznie, a ja dzwoniłam do ciebie co najmniej dziesięć razy!

– Przepraszam, miałam wyłączony dzwonek.

– Zbieraj się jak najszybciej. Sala Dawnych Weteranów, ulica Jeune – Anarchasis.

Laura stała przez chwilę nieruchomo w miejscu, ze smartfonem w jednej ręce i kluczami do fiata w drugiej. Najwyraźniej nikt nie chciał dać jej chwili wytchnienia.

Victor Salomone przemawiał przed salą wypełnioną po brzegi. Laura dostrzegła Renée w pierwszym rzędzie i dyskretnie przecisnęła się do niej.

– Długo cię nie było! – odezwała się z wyrzutem.

– Musiałam wpaść do Admiralicji.

– Wiedziałam... Dobra, zapomnij na chwilę o swoim facecie, mamy tu masę roboty. Ten kretyn od dziesięciu minut plecie bez ładu i składu.

Salomone, niczym kogucik, wspinał się na palce i dawał wyraz swojemu oburzeniu.

– Nie zgadzamy się, żeby paryżanie mówili nam, jak mamy żyć! Rybacy, winiarze, rzemieślnicy, to my nakreślamy lokalną gospodarkę i mamy prawo, aby nas szanowano. Biurokraci chcą nas zniszczyć, ale my tanio skóry nie sprzedamy i jeszcze nas popamiętają.

W tłumie rozległy się śmiechy. Mówca wiedział, jak schlebić swojej publice. Salomone ciągnął dalej:

– Nasze wybrzeże padnie ofiarą własnego sukcesu. Mieliśmy osiemset tysięcy turystów, za dwa lata ma ich być trzy miliony. Jak sobie wyobrażacie życie w takim kołowrocie? I nie mam na myśli naszych zatok i naszych ogrodów. Zjedzie się motłoch, ot co.

Gniewny pomruk podniósł się wśród części zgromadzenia. Inni uważali, że trochę przesadzał, nawet jak na marsylczyka. Cienki głos Salomone’a uderzył w wysokie tony.

– Nikt w Cassis nie chce ani centrum parku, ani strefy przylegającej.

Laura była wstrząśnięta taką demagogią. Podeszła do mównicy, poprosiła o mikrofon, zabrała go, zanim jej na to pozwolono, po czym mocnym głosem przedstawiła swoje kontrargumenty.

– Nie zgadzam się z niczym, co zostało tutaj powiedziane. Jeżeli projekt PNC nie ujrzy światła dziennego, w ciągu najbliższych lat nadejdzie katastrofa. Nie będzie ryb, nie będzie rybaków, nie będzie nurków. Jeżeli się tego nie ureguluje prawnie, promy i statki towarowe będą pływać do Marsylii dowolną drogą. Nie mówiąc już o odpadach wyrzucanych do morza i zanieczyszczeniu wybrzeża. Tak, to prawda, ruch w okolicy będzie cały czas rósł, ale park pozwoli nam ten ruch ukierunkować.

W sali nikt nawet nie pisnął.

– Mieszkam na najmniejszej z wszystkich *calanques*. Ostatnio, razem z moim sąsiadem Joëlem Bossisem, którego część z was zna, zanurkowaliśmy i odkryliśmy trawę morską. Nie widziano jej tutaj od lat. I wiecie co? Obok pływały całe ławice ryb... Mówię to po to, aby zachęcić was do ponownego, uważnego przeczytania statutu, który wam proponują. Mówi on o ochronie środowiska naturalnego przy jednoczesnej dbałości o lokalną gospodarkę.

Laura przerwała, wyczerpana z powodu wysiłku, jaki włożyła w swoje przemówienie.

– Co do mnie – podjęła – zamierzam wpisać Przylądek Admirala do centrum parku. Jedyna korzyść, jaką mi to przyniesie, to świadomość, że przekazuję swoim dzieciom dziedzictwo w nienaruszonym stanie.

Już miała odejść, gdy odezwał się Salomone.

– Piękna przemowa, pani Abrugore – powiedział, oklaskując ją jako jedyny. – Szczególnie wzruszająca, gdy wiadomo, co łączy panią z Renée Lastrade, jedną z przedstawicielek Departamentalnej Dyrekcji Obszarów Lądowych i Morskich. Innymi słowy instytucji, która ma częściowo zarządzać parkiem. – Wskazał oskarżycielsko palcem na Renée. – Ta pani jest tutaj tylko po to, żeby bronić interesów pewnego polityka, którego ambicje nie są nikomu obce. Mam na myśli François Mariniego. Park jest jego kartą przetargową w walce o fotel mera!

Renée wstała spokojnie i zwróciła się do swojego przeciwnika.

– Można uciekać się do różnych chwytów, panie Salomone, ale nie do oszczerstwa. A politykierstwo nie ma tutaj nic do rzeczy. – Po czym odwróciła się w stronę słuchaczy: – Kto w tej sali choć przez moment sądził, że państwo i samorządy lokalne zainwestowałyby setki milionów euro w utworzenie Parku Narodowego *Calanques*, gdyby nie stanowił on przedmiotu zainteresowania władz na szczeblu ministerialnym? Naszym zamierzeniem jest uczynienie z PNC europejskiego wzoru parku podmiejskiego.

Z głębi sali dobiegło na razie pojedyncze klaskanie.

– Są wśród was – ciągnęła – rybacy, właściciele winnic, uczciwi ludzie, którzy zadają sobie wiele pytań, i mają rację. Niech więc wysłuchają tego, co mamy im do powiedzenia, zwłaszcza w kwestii finansowania. Pieniądze zainwestowane przez państwo i samorządy zwrócą się podatnikom z zyskiem! Ja także urodziłam się w tym

regionie, tutaj mieszkam i tutaj płacę podatki. I wiem, że te pieniądze nie zostaną roztrwonione. Mówią wam o rybach? Zgoda, ryby są ważne, ale bez ochrony morskich ekosystemów ich zasoby szybko się wyczerpią. Chodzi także o utrzymanie miejsc pracy. PNC wzmocni i ożywi działalność gospodarczą. Pomyślcie o waszych dzieciach, to tutaj znajdą pracę, podczas gdy teraz muszą szukać jej gdzie indziej. Pomyślcie o nich...

Chwilę później, wychodząc z sali, Renée szepnęła Laurze do ucha:

– Jeszcze nie wygrałyśmy, ale Salomone stracił twarz. Widziałaś jego minę, kiedy sala zgotowała mi owację? Ale mu było głupio.

Laura otwierała właśnie drzwi swojego samochodu, gdy drgnęła na dźwięk głosu Victora Salomone’a.

– Brawo, piękny występ! – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Laura unikała jego spojrzenia.

– Kiedyś się pani doigra – dodał, pokazując zaciśniętą pięść. – Jeszcze pani pożałuje, że nas zdradziła.

I odwrócił się na pięcie. Laura, wstrząśnięta tym, co usłyszała, wsiadła do fiata, zablokowała drzwi i jak najszybciej wróciła na Przylądek Admirala.

Joël Bossis poklepywał się po udach z radości, gdy Laura zdawała mu relację z przebiegu zebrania.

– Dobrana z was para, ty i twoja koleżanka. Żeby dwie dziewczyny tak im zaszły za skórę... Ci twardziele musieli kipieć ze złości.

Zastanawiał się jednak nad motywami, jakimi kierował się Marini. Z czasów swojej anarchistycznej młodości zachował głęboko zakorzenioną nieufność wobec polityków.

– Renée zdradziła mi, że partia, do której należy Marini, skorzysta na utworzeniu parku, chociażby zapewniając sobie dużą liczbę głosów ekologów w najbliższych wyborach parlamentarnych. Ale to nie nasza

sprawa, dla nas liczy się efekt.

Poinformowała go także, że w następnym tygodniu przyjadą geolodzy, aby zbadać teren. Po chwili wahania zwierzyła się też Joëlowi z ledwo skrywanych pogroźek, które na odchodnym usłyszała od Salomone'a.

– Niech no tylko spróbuje – ryknął Joël. – Już ja mu pokażę, draniowi!

Nie żartował. Laura zastanawiała się, czy jej opiekun pod pozorami dobroduszości nie skrywał kiedyś zamiłowania do awantur. Zauważyła, że kryła się w nim jakaś chęć walki, gdy tylko ktoś próbował sięgnąć po jego *calanque*. Mówił o niej jak o ukochanej kobiecie, jakby był zazdrosny o wszystkich, którzy próbowali mu ją odebrać.

Minęło pięć dni. Cykady brzęczały w powietrzu rozgrzanym do białości. Biegająca przed Laurą zwirowa ścieżka drżała i skraplała się w słońcu. W porze, w której mieszkańcy wybrzeża oddawali się sjeście, ona chodziła w upale. Na płaskowyżu Soubeyrana geolodzy badali skałę. Na szczycie skarpy Laura otarła twarz wierzchem dłoni; pot perlił jej się przed oczami. Odwróciła się, czując czyjąś obecność za plecami. Nie było nikogo. Poszła więc dalej i wkrótce dołączyła do geologów. Jeden z nich poświęcił chwilę, aby wyjaśnić jej pochodzenie i charakter okolicznych ziem. *Calanques* powstały w czwartorzędzie. Po koniec epoki lodowcowej ogromne bloki wapienne uwolniły się z lodowego uścisku i ukazały się doliny. Pod wpływem ocieplania się klimatu poziom morza wzrósł, woda zalała owe szerokie korytarze. Tak oto sześć tysięcy lat temu powstały *calanques*. Ale erozja, która nasiliła się w ciągu ostatnich stuleci, osłabiła skałę. Zjawisko to nie ominęło Przylądka Admirala. W ciągu następnych dni eksperci zbadali zbocze góry, aby postawić diagnozę i zaproponować rozwiązania techniczne. Potem przeszli na drugą stronę zbocza, ponad chatą Bossisa, od warsztatu po najdalszy zakątek zatoki i sosnę alepską. Zebrali wszystkie dane i napisali raport, który dostała Renée i pokazała Laurze.

– Przejrzyj go szybko, jeżeli chcesz, żeby darowizna doszła do skutku – poleciła jej. – Jutro muszę przekazać ten dokument Mariniemu. Ale uważaj, to jedyny egzemplarz. Mieliśmy po południu problem z komputerami i plik cyfrowy zniknął.

Z nadejściem wieczoru Laura rozsiadła się na kanapie i z uwagą

zabrała się do studiowania raportu. Około godziny pierwszej w nocy, znużona cyframi i statystykami, odłożyła go na stół w salonie i poszła spać.

Spała głębokim snem, gdy zaalarmowała ją Maya. Przybiegła do swojej pani, zapiszczała, po czym wróciła do drzwi i zaczęła groźnie warczeć.

– Co się dzieje, psinko?

Golden retriever stał nieruchomo. Gdy Laura zapaliła światło, instynktownie zauważyła zjeżoną sierść suki i usłyszała hałas dobiegający z salonu. Ostrożnie niczym Indianin wyszła z łóżka, złapała należący do Enzo kij bejsbolowy, który leżał u niej w pokoju, i położyła dłoń na klamce. Ncisnęła ją jednym ruchem. Maya rzuciła się na zewnątrz. Gdy Laura zapaliła lampę w salonie, drzwi balkonowe były szeroko otwarte, a strony raportu porozrzucały się po podłodze...

Maya wybiegła przez drzwi balkonowe, ujadając chrapliwym głosem na intruza.

– Mamo, co się dzieje? – zapytał Enzo ze szczytu schodów.

– Nie ruszaj się – nakazała Laura, która wciąż trzymała nad głową kij bejsbolowy. – Gdzie jest twoja siostra? W swoim pokoju?

– Śpi i chrapie.

– Dobra, nie ruszaj się stąd. Jasne? Po żadnym pozorem. Niech żadne z was nie wychodzi z domu. A jeżeli nie wrócę w ciągu najbliższych dziesięciu minut, dzwoń na żandarmerię.

– Ale...

– Rób, co ci mówię.

Coś takiego wydarzyło się po raz pierwszy. Ktoś się włamał do jej domu... Laura myślała zwłaszcza o swoich dzieciach i o tym, co mogłoby się stać, gdyby któreś z nich wstało. Jej złość górowała nad strachem. Wyszła w noc, kierując się szczekaniem Mayi, i przemierzyła taras.

Furtka była szeroko otwarta. Laura przyspieszyła kroku, ściskając w rękach kij bejsbolowy i mając zdecydowany zamiar użyć go przeciwko intruzowi. W oddali ujadanie psa zmieniło się w radosne popiskiwanie. Laura, która zamierzała właśnie zejść po schodach, zatrzymała się na najwyższym stopniu. W świetle księżycy dostrzegła białą sierść swojej suki, która dreptała na spotkanie z kimś, kogo znała. Maya merdała ogonem. Z miejsca, w którym stała, Laura rozejrzała się po okolicy. Plaża wyglądała na pustą i nie widać było żadnego podejrzanego ruchu, ale w cieniu skały jakaś sylwetka wspinała się po schodach. Laura zeszywniała z rękami zaciśniętymi na kij.

– To ja! – zawołał zasapany Raphaël, machając rękami.

– Co ty tu robisz?

– Nic ci nie jest?

W jego głosie słyhać było niepokój. Laura dziwiła się, skąd się tu wziął.

– Dobijałem do brzegu, gdy twoja suka zaczęła szczekać. Ujadała przed furtką, jakby przed czymś ostrzegała. Wtedy zobaczyłem jakiegoś faceta, który uciekał w pośpiechu. Zacząłem biec, ale zanim okrążyłem plażę, zdążył zniknąć w zaroślach. Maya ruszyła za nim, ale wydaje mi się, że zgubiła trop. Co się stało. A dzieci? Nic im nie jest?

– Chodź. Enzo się obudził. Na pewno umiera ze strachu.

Laura odetchnęła z ulgą, że Raphaël ją odprowadza i pospiesznie opowiedziała mu całe zajście. W domu światło świeciło się na wszystkich piętrach, także pod szpalerem winorośli, gdzie Maya siedziała na straży przed drzwiami balkonowymi, zamkniętymi na cztery spusty.

– Enzo, to ja. Możesz otworzyć.

Po kilku sekundach stukania za szybą pojawił się jej syn.

– Co ty z tym wyrabiasz? – zezłościła się Laura, zabierając mu z dłoni

długi nóż kuchenny.

– Muszę nas bronić, gdyby coś się stało – odparł, przyglądając się podejrzliwie mężczyźnie stojącemu za matką.

– To Raphaël Ortéga, kochanie, nasz nowy sąsiad. Mieszka na żaglówce w zatoce. Przybiegł, jak tylko usłyszał szczekanie Mayi.

Jej córka, przykucnieta w kącie pokoju, trzymała w drżącej ręce pogrzebacz. Laura podeszła do niej, podniosła ją i posadziła na kanapie, gdzie dosiadł się także Enzo.

– Już po wszystkim. Teraz jesteśmy bezpieczni. Nie bójcie się. Nasza Maya to dobry stróż. Nie ma się już czym martwić.

– Jasne! – zawołała Camille, zdjęta paniką. – A jeśli ten typ wróci? A jeśli nie znalazł tego, czego szukał?

– Mogę zostać na noc, jeśli chcecie – zaproponował Raphaël. – Mogę spać na kanapie...

Laura uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Camille przytaknęła skinieniem głowy, jej brat odwrócił wzrok.

Laura uspokoiła dzieci i wyprawiła je spać, a potem zamknęła powoli drzwi pokoju i oparła się o ścianę. Przez ponad godzinę jej instynkt macierzyński pozwalał przewyciężyć strach. A teraz nagle stres powracał. O mało się nie załamała, gdy zdała sobie sprawę, jakiego niebezpieczeństwa udało jej się uniknąć. Co by się stało, gdyby Camille albo Enzo wstali? Gazety pełne były tego typu historii, gdzie włamanie przybierało zły obrót, a włamywacz brał za zakładników całą rodzinę... Gdy wróciła do salonu, Raphaël odłożył rozrzucone kartki, które pozbierał z podłogi, podszedł i ją przytulił. Drżała. Jeszcze nigdy nie czuła się równie bezbronna.

„Będzie nad nimi czuwał”. Laura poczuła się zakłopotana własnymi słowami. W czasach, gdy dzieliła życie z Sébastienem, zdarzało im się mieszkać w regionach o niestabilnej sytuacji politycznej. Być może

wynikało to z niewiedzy, ale nigdy niczego się nie obawiała, nawet wtedy, gdy jej mąż zostawiał ją samą z małymi dziećmi. Równie lekkomyślnie zachowała się, postanawiając przeprowadzić się na Przylądek Admirala. *Calanque*, na którą trudno było się dostać, i jej skromnie wyglądająca chatka nie wzbudzały ciekawości. Laura czasem nawet nie zamykała drzwi, wychodząc z domu. Nie miała biżuterii ani innych kosztowności, tylko przedmioty o wartości sentymentalnej. Co do sprzętów, w które wyposażony był dom, nie było wśród nich nic cennego. Po co więc ktoś się włamywał? Wstała i badawczo przyjrzała się całemu pomieszczeniu, po czym jej wzrok padł na dokumenty złożone na stoliku w salonie.

– O tym samym pomyślałem – powiedział Raphaël. – Wygląda na to, że nic nie zostało przeszukane, żadnych powyrzucanych szuflad, żadnych poprzewracanych mebli... Najwidoczniej twój gość szukał sprawozdania ekspertów.

Jednomyślnie spojrzeli w tym samym kierunku, na leżący przed nimi plik papierów. Być może tam znajdowała się odpowiedź na ich pytania.

– Ale dlaczego?

To nie miało najmniejszego sensu. Badania geologiczne dotyczyły prywatnego terenu na Przylądku Admirala, czyli zaledwie dwóch stoków, których właściciele zgadzali się co do tego, że chcą wpisać je do centrum parku.

– No właśnie, centrum parku – podjął Raphaël. – Z tego, co mi mówiłaś, wynika, że ludzie się ostro temu sprzeciwiają. A zwłaszcza facet, który ci groził.

– Salomone? Ale jaki miałby w tym interes?

– Mógłby chcieć upublicznić wysokość kosztów prac.

– To drobiazg w porównaniu z całkowitym kosztem projektu.

Raphaël wziął dokumenty do ręki i zaczął układać kartki,

przebiegając je jednocześnie wzrokiem.

– Czytałaś to?

– Pobieźnie, wczoraj wieczorem. Ale szczerze mówiąc, nie zrozumiałam całej treści. To po prostu raport.

– Moim zdaniem nie to jest najważniejsze. Najpierw sprawdźmy, czy niczego nie brakuje.

Laura przeczytała na głos spis treści.

– Część pierwsza: Środowisko lądowe. Definicja geotechnicznego badania stabilności.

Raphaël przewracał strony. Obszar oddziaływania geotechnicznego (OOG), szczegółowe parametry działalności gleby (skraplanie, niestabilność strukturalna...), powierzchnie potencjalnie narażone na osuwanie, wpływ wód podziemnych, zagrożenie dla osób trzecich, metody stabilizacji poprzez prace ziemne, odwadnianie, mur oporowy (ściana wolno stojąca lub kotwiona, mur przybity)...

– Jak na razie wszystko jest.

– Część druga – ciągnęła Laura. – Środowisko wodne. Rzeźna podwodna, wymywanie, prądy morskie, pływy morskie, i na końcu parametry...

Nie zdążyła przeczytać ostatniej linijki.

– Zaczekaj...

Raphaël cofnął się.

– Brakuje dwóch stron – oznajmił.

Laura pochyliła się nad nim i stwierdziła, iż rzeczywiście rozdział o prądach morskich zniknął. Przeszukali każdy kąt w pokoju – na darmo. Kartki przepadły.

Nazajutrz wcześniej rano Renée była już na miejscu.

– Jeden szczegół mnie zastanawia – powiedziała do Laury i Joëla.

Bossis stał obok kanapy, na której siedziały obie kobiety.

– Po co Salomone miałyby kraść te – i tylko te – strony? – zapytała. – Do niczego mu się nie przydadzą...

– Salomone to dureń – zdenerwował się Bossis. – Diabli wiedzą, co mu strzeliło do łba. Już ja z nim pogadam! Niech go tylko wezmę w obroty.

Laura próbowała przemówić mu do rozsądku.

– Niepotrzebnie się unosisz, Joëlu. Nie mamy żadnych dowodów przeciwko Salomone'owi. To są tylko przypuszczenia.

– Proszę bardzo, myśl sobie, co chcesz – mruknął, wzruszając ramionami. – Ale nawet nie wiesz, do czego jest zdolny. Ja widziałem go w akcji

Laura wstała i objęła go za szyję pełnym czułości gestem.

– Wiem, że denerwujesz się, bo mogła stać się krzywda mnie i dzieciom. Ale już jest po wszystkim. Nic się nie stało. I obiecuję ci, że od teraz będę uważać. No, już się nie martw.

Pocałowała go czule w policzek. Bossis zamruczał coś niezrozumiale i wrócił do pracy w hangarze.

– Jest mi naprawdę strasznie przykro. – Laura zwróciła się do Renée.

– Powierzyłaś mi jedyny egzemplarz tych dokumentów, a ja straciłam dwie strony.

– Nie bądź głupia, to nie twoja wina. A poza tym widzę, że skałę

można podeprzeć bezpośrednio z urwiska. Co, mówiąc między nami, znacznie obniży koszty interwencji. Najważniejsze, że obyło się bez szkód w domu.

Laura opadła na kanapę.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić? – westchnęła przytłoczona obrotem wydarzeń. – Ten spadek to tak, jakby ktoś rzucił na mnie zaklęcie. Lepiej bym zrobiła, gdybym odmówiła. Przedtem byłam spokojniejsza.

– Przedtem? Zanim miałaś możliwość uratowania swojej *calanque*?

– Ostatnio wszystko tak szybko się dzieje...

Renée nie miała zwyczaju oszczędzać swojej przyjaciółki, ale tym razem wyjątkowo wykazała się delikatnością.

– Myślę, że przede wszystkim powinnaś porozmawiać z Raphaëlem...

– wyszeptała pełnym zrozumienia głosem. – Sądziłaś, że jesteś wolna od tego typu uczuć, że twoje serce zasnęło po rozstaniu z Sébastienem. Wybacz, że ci o tym mówię, ale dopóki bije, dopóty nie przestanie cię zaskakiwać. – Przyznaj się, kochasz Raphaëla. W ciągu kilku tygodni ożywił w tobie gasnący płomień, płomień, który nas wszystkich pobudza do życia. Mam rację?

Laura potrząsnęła twierdząco głową.

– A najbardziej doskwiera ci fakt, że twoja codzienna rutyna została przewrócona do góry nogami przez huragan, którego się nie spodziewałaś.

– To prawda.

– Ale teraz nie jesteś już sama, czuwa nad tobą anioł stróż. I przy tym jaki seksowny anioł!

– Nie gadaj głupot.

Laura oczyma wyobraźni ujrzała sylwetkę Raphaëla, wynurzającą się z nocy w chwili, gdy goniła włamywacza. Wspomnienie to wywołało w

niej nieprzyjemne uczucie. Nie odważyła się powiedzieć o tym Renée. To było tylko niejasne wrażenie. Nie miała powodów, żeby dopowiadać sobie do niego historię. Raphaël często wracał o tej porze. I przybiegł im z pomocą. Zawstydziała się swojej myśli, gdy przez krótką chwilę przyszła jej do głowy: że Raphaël mógł mieć jakiś udział w tej tajemniczej sprawie. Chcąc przegonić absurdalny pomysł, gwałtownie zmieniła temat. Renée, widząc, że Laura jest roztargniona, skorzystała z okazji, żeby napisać wiadomość na smartfonie.

– A ty? – zapytała Laura prosto z mostu. – Jak ci idzie z Marinim?

Renée dalej stukała w klawisze, wysłała wiadomość i dopiero wtedy odpowiedziała.

– Mam go.

– To znaczy?

– Jest zaślepiony, dosłownie je mi z ręki. Marini wie, jak mnie podejść. Należymy do tego samego gatunku. Wszystkiego potrafi się domyślić, wszystko przewidzieć. Jest sprytny jak lis. Albo – i tu nie mam już nic do powiedzenia – naprawdę zakochany. Aby uczcić nasz pierwszy miesiąc, kupił mi bransoletkę. Nawet sobie nie wyobrażasz, czyste szaleństwo. A przecież nie zarabia kokosów, ma tylko pensję poselską, nie mówiąc już o alimentach.

– Myślałam, że nie był żonaty.

– Nie, ale ma dwie córki, obie są już duże. Sam przekroczył przecież pięćdziesiątkę.

– Dobrze się trzyma.

– E tam... Mężczyzna w jego wieku wraca do okresu dojrzewania. Staje się na powrót romantyczny i na szczęście też trochę priapiczny.

Laura kazała sobie wyjaśnić znaczenie tego słowa.

– Pieprzy się jak królik, taka jest moja definicja.

– A romantyczny?

– Romantyczny jest wtedy, gdy niepoprawny uwodziciel oznajmia, że jestem kobietą jego życia.

– Naprawdę?

– Gorzej, chce się ze mną ożenić...

Laura parsknęła śmiechem.

– I co powiedziałaś?

– Dlaczego nie. Jak to mówią, przychodzi wiek, w którym trzeba powiedzieć sobie: dość. Ale nie mów o tym nikomu.

Renée spojrzała na nią wzrokiem, którego Laura nigdy u niej widziała. Przysłonięty czymś w rodzaju rezygnacji.

– François jest pierwszym mężczyzną, który akceptuje mnie taką, jaka jestem. Nie będzie próbował mnie zmieniać, chociaż czasami potrafię być nie do zniesienia. Nigdy też nie będzie prosił mnie o coś, czego nie mogę mu dać. Nie będzie mnie prosił o dziecko. Ty wiesz, dlaczego nigdy nie chciałam mieć dziecka.

– Nie wiem.

– Nie kłam, Abrigore. Wiesz, a jeśli nawet nie, to już dawno się domyśliłaś. Nie chciałam ryzykować, dość mamy wariatów w rodzinie.

Z nieskończoną czułością Laura ścisnęła dłoń przyjaciółki na znak współczucia. Właśnie taką ją od zawsze kochała.

Po dusznych nocach przychodziły upalne dni. Ledwo wstało słońce, już zapowiadał się skwar. O dziesiątej upał wgryzał się w skórę. Promienie słońca odbijały się od białych skał, a rozżarzone do białości słoneczne światło raniło oczy, gdy tylko uniosło się wzrok. Sosna alepska, jeszcze bardziej powyginana niż zwykle, stała na swoim skalnym cokole, spragniona pochylała się w stronę cienia. Z powodu suszy, która panowała przez ostatnie miesiące, zaczynało brakować wody.

O świcie Laura próbowała ochłodzić się w zatoce. Na próżno. Podziemne źródła, które uchodziły do zatoki, przestawały wystarczać i morze nabierało temperatury powietrza.

– Mój Boże... Niech spadnie deszcz! – modliła się na głos, wspinając się po schodach, które prowadziły na mały kamienny tarasik.

Rosnąca tu i ówdzie trawa zamieniła się w spalone porosty, a żywopłot z wawrzynu sechł w oczach. Laura obrzuciła wzrokiem okoliczne zarośla. Dęby skalne, jałowce fenickie, czystki i pinie jakoś radziły sobie w tej spiekocie. O tej porze roku zawsze gnębiły ją obawy, że czyjaś złośliwa ręka albo niedopałek papierosa spowodują pożar zarośli. Widziała już ogień dewastujący całe hektary lasów sosnowych i makii, płomienie przeskakujące z drzewa na drzewo jak sztuczne ognie. Taki spektakl fascynował piromanów. Ale ona dostawała mdłości na widok pożogi. Przyłodek Admirala dotychczas został oszczędzony. Nierówny teren i słabo przejezdna droga zniechęcały turystów, którzy woleli Sormiou, *calanque*, do której łatwiej było dojechać.

Od czasu włamania Laura czuła zagrożenie. To uczucie, którego dotąd nie знаła i nad którym z trudem panowała. Jakby była śledzona. W każdej chwili, gdziekolwiek była i cokolwiek robiła. Miała się na bacności, rozglądała się wokół siebie. Silniejszy od innych plusk fal... Suchy trzask gałęzi w krzakach... Nagła cisza... Wszystko ją niepokoiło, wszystko wzmagało jej czujność.

Wróciła do domu i wzięła zimny prysznic. Na piętrze dzieci jeszcze spały. Poprzedniego wieczoru późno położyły się spać. Kilkakrotnie musiała je upominać, żeby zgasiły światło. Codziennie gdy zostawała sama, prowadziła długie rozmowy telefoniczne z Raphaëlem. Oddalenie sprawiało, że coraz niecierpliwiej oczekiwali zakończenia tego okresu. Jednocześnie zbliżył ich do siebie. Ich miłość zaczynała dojrzewać.

Laura usiadła na kapanie i przyjrzała się rysunkom z poprzedniego dnia. Jej album z trudem posuwał się do przodu, miała za dużo do roboty i za dużo do myślenia. Poprawiała szkice, gdy zadzwonił telefon.

– Hallo? Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?

To była Vanessa, jej szwagierka.

– Wyjeżdżamy z Jacques'em i dziećmi do Normandii. Może twoje dzieci się przyłączą? Kuzyni się o nich dopytują. A w drodze powrotnej Camille będzie mogła odebrać swoje dokumenty szkolne w Paryżu.

Laura była zachwycona propozycją. Dzięki temu dzieci będą bezpieczne. W tamtej chwili myślała tylko o tym. Możliwość spotkania się znowu z Raphaëlem schodziła na drugi plan.

Raphaël zjawił się po południu, gdy zupełnie się go nie spodziewała.

– Chodź ze mną. Wyposażymy twój dom w system alarmowy.

– Teraz?

– Twój nieproszony gość może wrócić.

Dodał, iż rozumie, że przy takim upale Laura śpi przy otwartych okiennicach, ale nie zniósłby, gdyby ona albo jej dzieci padli ofiarą

jakiegoś włóczęgi.

– Ale jest Maya, ona nas ostrzeże. Przeniosłam jej kosz do salonu.

– Lauro – westchnął z rezygnacją.

Nie miał nic przeciwko dzielnej suce, ale przecież nikt się jej nie przestraszy. Wystarczyło ją pogłaskać, a kładła się na plecach i kazała drapać, pomrukując z zadowolenia.

– Mieszkasz w odludnej okolicy – wyjaśnił. – Joël jest po przeciwnej stronie skarpy i nie usłyszy twojego wołania o pomoc. A ja wracam późno. I nie chcę cię straszyć, ale to, co wydarzyło się tamtej nocy, może się powtórzyć. Kto was obroni?

– Ja – odparła. – Nigdy nikogo nie potrzebowałam.

Poczuł się chyba trochę dotknięty, więc Laura dodała ugodowo:

– A ty? Przecież obroniłeś mnie tamtej nocy?

– Tak, a co, jeśli będę musiał zostać dłużej w Admiralicji?

Te słowa w końcu ją przekonały. Raphaël wydał się spokojniejszy. Stał na progu domu i Laura zaprosiła go do środka. Zauważyła, że zerka do wewnątrz i wchodzi niepewnie.

– Jeżeli szukasz dzieci, to ich tutaj nie znajdziesz. Enzo i Camille wyjechali przed południem. Moja szwagierka zaproponowała, że zabierze ich do swojej willi w Grandville do końca wakacji.

– Ale... Przecież dopiero co wrócili do domu. Zgodziły się?

– Kochają swoich kuzynów, a ja mam dzięki temu jeden problem z głowy. Tamtej nocy bardzo się wystraszyłam. Camille wpadła w panikę. Myślę, że dobrze jej robi, jeżeli wyjedzie na jakiś czas. Enzo udaje twardziela, ale wiem, że i on był przerażony.

Laura wstała i zwierzyła mu się jak staremu przyjacielowi.

– Jeśli chcesz znać całą prawdę, to mam wrażenie, że ciągle mnie ktoś obserwuje. Nie mam na to żadnych dowodów, ale czuję, że coś się zmieniło. To pewnie taka fobia, sposób odreagowania, jak to określili

żandarmi.

– Żandarmi? Byłaś na żandarmerii?

– Tak, dzień później złożyłam skargę. Renée się upierała.

– Nic mi nie mówiłaś.

– Słuchaj, rozmawiamy, kiedy możemy, i mówimy sobie o tym, co najważniejsze, prawda?

Nic na to nie odpowiedział i poszli razem kupić system alarmowy. Po powrocie Raphaël zainstalował fotokomórkę z czujnikiem ruchu.

– Gotowe. Kiedy kładziesz się spać, włączasz czujnik. Kod to 2405.

Dziwne, żadne z nich nie miało ochoty korzystać z odzyskanej wolności. Dzieci nie było, mogli znowu spotykać się jak kiedyś. Ale postanowienie, że dadzą sobie czas do namysłu, zależało nie tyle od okoliczności, co od ich własnej woli. Jeszcze bardziej niezwykle było to, że ani jedno, ani drugie nie wątpiło w łączące ich więzi, silniejsze niż podczas ich upojnych nocy. Laura nie mogła pojąć tego paradoksu. Raphaël udawał, że go nie zauważa. Miał strasznie dużo pracy. W drugiej połowie sierpnia powinno zrobić się spokojniej, wtedy będzie miał więcej czasu.

Pocałowali się namiętnie na odchodnym. Z namiętnością, która zdawała się ustępować miejsca czemuś, czego jeszcze nie potrafili sobie uzmysłwić.

Zanim Laura poszła spać, wstukała kod, który podał jej Raphaël. Po zakończonej pracy przyjdzie może sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy była bezpieczna. Perspektywa ta sprawiła, że poczuła się spokojniejsza. Przed zaśnięciem przejrzała dwa stare albumy ze zdjęciami z czasów dzieciństwa. Kiedyś oglądała je, żeby przypomnieć sobie rysy ojca, odszukać jego pozy i tę obrażoną minę, którą robił zawsze, gdy stawał przed obiektywem. Szukała też jakiegoś portretu matki. Na próżno. Pozostało tylko jedno zdjęcie, na którym widniała jej

sylwetka pośród grupy ludzi, i to Joël jej to uświadomił, gdy zapytała go o to zdjęcie. W jej wspomnieniach matka nie miała twarzy. Czy była do niej podobna? Czy jeszcze żyła? Laura odwróciła stronę.

Inne zdjęcie przykuło jej uwagę. Nigdy wcześniej go nie zauważyła. Musiało pochodzić z lat siedemdziesiątych, sądząc z ubioru ojca: spiczasty kołnierz i brązowe spodnie dzwony. Wystroił się. Zdjęcie, zrobione prawdopodobnie w czasie jakiegoś przyjęcia, przedstawiało Gilberta Abrigore po prawej stronie i Joëla Bossisa po lewej. Pomiedzy nimi stała kobieta, blondynka, i patrzyła w bok z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby czekała, aż wreszcie skończy się pozowanie. Kim była ta kobieta? Gdy zaczął ogarniać ją sen, machinalnie wyrwała zdjęcie i położyła je nocnym stoliku, obiecując sobie, że pokaże je Joëlowi.

Laura podchodzi do pergoli, bosy i w piżamie.

– Tato! Gdzie jesteś? Tato!

Idzie wzdłuż mola omywanego przez fale. W oddali dostrzega sylwetkę, która wydaje jej się sylwetką ojca. Zaczyna biec w jego stronę, a burza przybiera na sile. Nagle sylwetka pojawia się tuż przy niej, ale twarz należy do Joëla Bossisa. Wygląda na wściekłego. Wystraszona Laura cofa się gwałtownie, uderza o coś i wpada do wody.

Na wpół przytomna otwiera oczy. Spada coraz głębiej i głębiej, woda wlewa jej się przez usta, woda o smaku krwi, chce ją wypluć...

Tym razem obudziła się bez krzyku, z palącą pierśią. Przełknęła ślinę, upewniła się, czy nie miała krwi na ustach, westchnęła głęboko i natychmiast z powrotem zasnęła.

Mistral zrywał się nagłymi porywami. Laura siedziała schowana pod altaną, porośniętą jaśminem i bugenwillami, i delectowała się podmuchami wiatru, który rozpraszał, panujący dotąd, przytłaczający zaduch. Aby zaoszczędzić słodką wodę, przestała podlewać kwiaty i krzewy, zrobiła wyjątek dla drzewek bugenwilli, którą posadził jej ojciec, by okryć pergolę. Ich cień był zbawienny. Laura zamknęła oczy, ukołysana szumem wiatru. Była druga po południu, czas przeznaczony na sjęstę.

Promień słońca w zenicie uderzył pionowo w rzucony na ziemię kawałek szkła i sprawił, że zapaliły się wysuszone liście oleandra. Smużka dymu szybko zamieniła się w płomień, wiatr podsycił go, aż wybuchł, trzaskając iskrami i rozprzestrzenił się na suche trawy.

Laura, wstrząsana kaszlem, nagle otworzyła oczy. Ogień... Najgorszy koszmar, jaki mógł spotkać mieszkańców wybrzeża. Porywy wiatru przenosiły płonące strzępy roślin pod mur otaczający dom. Laura chwyciła ręcznik kąpielowy z leżaka. Bez chwili wahania stawiała czoło niebezpieczeństwu, tłumiąc powstające na jej drodze zarzewia. W pobliżu furtki ogień sięgał człowiekowi do pasa. Z wściekłością usiłowała go zwalczyć, ale jej wysiłki okazały się daremne. Mistral wiał w jej stronę.

– Wody, potrzebujemy wody! – zawołał Raphaël, który tego dnia wziął wolne i zamierzał właśnie wstąpić do Laury.

Kopnięciem otworzył furtkę i pospieszył jej pomocą, niosąc koc, który zabrał ze sobą.

– Biegnij po wodę. Ja cię zastąpię.

Laura pobiegła pod altanę, pospiesznie odkręciła kurek, rozwinęła wąż ogrodniczy i skierowała strumień wody w stronę płonących krzewów. Wspólnym wysiłkiem udało im się ugasić pożar.

– Dziękuję. Nie wiem, czy bez twojej pomocy dałabym radę.

W odpowiedzi podniósł ją i zaniósł jak pannę młodą do domu. Laura nie sprzeciwiała się. Delikatnie położył ją na kanapie.

– Ale przecież... nie jestem ranna.

– Pozwól, że sprawdzę.

Zaśmiała się nerwowo.

– Pobawimy się w lekarza? – zapytała, wstrząsana atakiem śmiechu.

– Nie śmieć się... W porządku, wyglądasz na całą i zdrową.

Usiadł obok, utkwivszy w niej szare oczy.

– Wystarczy. Od teraz zostaję z tobą.

Tak właśnie, na swój sposób, powiedział, że ją kocha. Kończył się okres abstynencji.

W nocy, gdy Raphaël spał spokojnym snem, Laura, leżąca u jego boku z rękami pod głową, wpatrywała się w sufit i próbowała zebrać myśli. Nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Włamano się do niej, śledzono ją, a teraz ktoś podłożył ogień pod dom. Jutro wróci na żandarmerię i zgłosi to, co wyglądało na przestępstwo. Podjąwszy decyzję, przytuliła się do zwiniętego w kłębek kochanka, wsunęła rękę pod jego brzuch i zasnęła.

– Kochany Raphaël. Zawsze w odpowiednim miejscu i czasie – ironizowała Renée, która przyszła zobaczyć się z Laurą, gdy tylko dowiedziała się o pożarze.

– Mów jaśniej – zażądała Laura, spoglądając jej prosto w oczy.

– Co mam ci powiedzieć? Albo on jest twoim wybawcą...

– Albo?

– Albo świetnym komediantem.

Laura wzruszyła ramionami. To podejrzenie przyszło jej do głowy, ale zaraz je odgoniła. To absurdalne. Raphaël nie był przecież bandytą. Ale Renée nie dawała za wygraną.

– Zapomnij o uczuciach i pomyśl przez chwilę. Za każdym razem, gdy grozi ci niebezpieczeństwo, Zorro jest akurat w pobliżu. Można by pomyśleć, że sam wywołuje te katastrofy.

– Proponuję, żebyś osobiście przedstawiła mu swoją hipotezę. Znając Raphaëla, spodoba mu się. A ja stracę przyjaciółkę.

– Nie obrażaj się, to naturalne, że zadaję sobie pytania. Zawsze uważałam, że ma niejednoznaczny stosunek do projektu utworzenia parku. Tak, jakby brał stronę naszych przeciwników. Więc może...

– Nie, nie, za bardzo się zapędziłaś.

Laura zaprowadziła Renée na miejsce pożaru. Dywan popiołu świadczył o tym, że brakowało najwyżej dwóch metrów, by drzewko bugenwilli, owinięte wokół palika, też się zapaliło. Laura była przerażona. Co by się stało, gdyby nie pojawił się Raphaël? W tym momencie przybył Joël Bossis. Rzucił okiem na żywopłot i przytulił Laurę do siebie.

– Moja dziecinko, nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku, nie martw się. Raphaël i ja opanowaliśmy sytuację.

Joël obwiniał się, że nie było go wówczas na Przylądku Admirala.

– Od wczorajszego popołudnia byłem u kolegi w La Ciotat. A że nie lubię prowadzić nocą, zatrzymałem się u niego. – Zacisnął pięści z wściekłości. – Salomone, ten skurwiel... Tylko on mógł zrobić coś podobnego.

Tym razem Laura przyznała mu rację. Salomone wprowadził w czyn swoje groźby.

– Chwileczkę – przerwała stanowczo Renée. – Salomone nie ma z tym

nic wspólnego.

Spojrzeni na nią, zaskoczeni.

– Victor Salomone jest w areszcie. Dowiedziałam się dzisiaj rano. Przedwczoraj zderzył się z wozem żandarmerii z Cassis. Niegroźny wypadek na czerwonym świetle. Problem w tym, że prowadził samochód, mając dwa promile alkoholu we krwi. Umieścili go w izbie wytrzeźwień, a potem w areszcie... W tych okolicznościach trudno by mu było podłożyć u ciebie ogień. Zgadzasz się?

Trop Salomone'a urywał się. Ale to wcale nie oznaczało, że Raphaël był winny! Laura nie chciała o tym słyszeć. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie. Pomyślała, że aby się o tym przekonać, będzie musiała przeszukać popiół po pożarze w nadziei, że znajdzie jakiś ślad.

Renée powróciła do spraw, które dotyczyły ich wszystkich. Może Salomone był w rękach żandarmów za jazdę po pijanemu, ale jego zwolennikom udało się wywołać zamieszanie wśród wysoko postawionych osób. Z uwagi na okres przedwyborczy politycy i urzędnicy odpowiedzialni za projekt poważnie rozważali możliwość przeniesienia ostatecznej decyzji na późniejszy termin. Ale Renée nie miała najmniejszego zamiaru się poddawać. Chciała wrócić do rozmów i wznowić konsultacje. Ludzie zwerbowani przez Salomone'a robili dużo hałasu i twierdzili, że popiera ich większość mieszkańców. Ale nikt nie miał na to dowodów. Wykorzystując wpływ, jaki miała na François Mariniego, przekonała go do przeprowadzenia wielkiego referendum drogą internetową, aby poznać opinię ludności i dopuścić do głosu nie tylko tych, których słychać było na ulicach.

– Można już głosować przez Internet – oznajmiła. – Ale jeżeli chcemy, żeby nasz projekt się powiódł, będę potrzebowała posiłków. Trzeba zgromadzić jak największą liczbę ludzi i przekonać ich do udziału w głosowaniu. Nie chodzi o to, żeby się przebić, ale żeby odwrócić nastroje.

Laura wiedziała, że jej przyjaciółka jest uparta i była pod wrażeniem zawziętości, z jaką Renée walczyła.

– Jeżeli jesteście gotowi działać razem ze mną, oto mój plan...

W kontenerze biurowym, który merostwo Cassis oddało do dyspozycji ekipie utworzonej przez Renée, nie działała klimatyzacja i było gorąco jak w piekle. Na miejscu Laura, Joël i czterech innych wolontariuszy nie odrywało się od telefonów. Dzwonili po kolei i kontaktowali się z osobami z listy, którą im przekazano. Starali się ich przekonać do głosowania na „tak” w referendum. Między jednym łykiem wody a drugim Laura wysuwała argumenty, dementowała fałszywe zarzuty, ale najczęściej musiała wysłuchiwać skarg swoich rozmówców, które w większości nie miały nic wspólnego z PNC.

Przez następne dni rozdawali ulotki na targowiskach. Podczas przerw w pracy Raphaël przychodził im pomóc. Laura była szczęśliwa, mogąc z nim współpracować, ale zdawała sobie sprawę z ryzyka handlowego, jakie ponosił, pokazując się u jej boku. Klienci nie lubią, gdy restaurator opowiada się po którejś ze stron w lokalnym konflikcie. To było odważne.

– Twoje podejrzania graniczą z paranoją – powiedziała do Renée, która pewnego rana wróciła do oskarżeń przeciwko Raphaëlowi. – Jaki miałby mieć w tym interes?

– Nie wiem. Po prostu kobieca intuicja. Ale jestem pewna, że coś przed nami ukrywa. Prędzej czy później się dowiem. – Zrobiła pełną wyższości minę, która tak irytowała Laurę. – Jesteś pewna, że znasz go na wylot? Na sto procent? Nie ma między wami żadnych nieudomówień?

Ta ostatnie uwaga wprawiła Laurę w zakłopotanie. Nieraz próbowała podejść Raphaëla, jak tego dnia, gdy zapytała go o jego bliźnię. Wykręcił

się od odpowiedzi, zmieniając temat.

– Mówiłam – podsumowała Renée. – Nie powinnam mu ufać.

Tego dnia rozdając ulotki, Laura nie mogła się powstrzymać od obserwowania Raphaëla. Czy Renée miała rację? Jeszcze nigdy nie czuła się tak rozdarta. Później, wieczorem, nie umiała skupić się na lekturze. Otwierała i zamykała książkę cztery czy pięć razy, zerkając co chwila na budzik i nasłuchując odgłosu „Zodiaca”. Pierwsza. Pierwsza trzydzieści, pierwsza czterdzieści pięć. Druga... I ciągle nic. Kilka razy wychodziła na taras, żeby sprawdzić, czy Raphaël nie wrócił na łódź. Zaczęła krążyć po pokoju, odganiając złe myśli. Jak mógłby ją oszukać? Była prawie pewna, że przyjaciółka się myli. Prawie... Ale to prawie nie dawało jej spokoju. „Gdyby tylko nie było tak gorąco”, westchnęła, wygładzając mokre od potu włosy.

Postanowiła wstać z łóżka i wyjść na zewnątrz. Upał, mimo przelotnych wiatrów, nie zelżał. Na nasłonecznionym zboczu skarpy ziemia paliła się pod stopami i rzadko kiedy powiew powietrza od morza unosił się aż na taras. Laura, która wciąż jeszcze była w szoku po pożarze, zrosiła obficie ziemię wokół domu, mimo ograniczeń w używaniu wody nałożonych przez prefekturę. Maya, z wiszącym językiem, położyła się na posadzce w poszukiwaniu ochłody.

– Ty też masz już dosyć, psinko. Chodź, urządzimy sobie nocną kąpiel.

Jej wierna towarzyszką poczłapała za nią bez entuzjazmu. Na plaży Laura rozebrała się i weszła do letniej wody. Przepłynęła kawałek, ale wciąż czuła się spocona. Wyciągnęła się na piasku, suka położyła się obok niej. Postanowiła zaczekać na powrót Raphaëla.

– Nie jesteś w łóżku? – zdziwił się, widząc ją, jak wychodzi mu naprzeciw. – Mam nadzieję, że nic złego się nie stało?

– Nie, wszystko w porządku. Chciałam tylko z tobą porozmawiać.

– Jasne, wskakuj.

Chwyliła dłoń, którą jej podał, i wspięła się na pokład. zaproponował jej piwo, jedyny napój, jaki miał w miniaturowej lodówce. Usiedli na dziobie. Łódź kołysała się lekko na falach, które rozbijały się u wlotu do *calanque*.

– Słucham cię, miałaś mi coś do powiedzenia.

Zbliżył się do niej, ciekawy, co mu powie, ale bez niepokoju w oczach.

– Wydaje mi się, że są w twoim życiu rzeczy, o których nie wiem – wypaliła Laura.

– I vice versa! Całe szczęście. Na tym właśnie polega cały urok naszej znajomości, prawda? Uczymy się siebie poznawać. I mówiąc szczerze, im więcej czasu z tobą spędzam, tym bardziej cię lubię.

Lubię... To słowo uderzyło ją.

– Tym razem darujmy sobie nieporozumienia, naprawdę mi na tobie zależy, Lauro Abrigore.

– Wiem, mnie na tobie też.

Raphaël stłumił ziewnięcie.

– Jesteś zmęczony, a ja nie pozwalam ci spać – powiedziała, wstając.

– Możesz dla odmiany spać na łodzi.

– Może innym razem. Muszę wracać, dom jest otwarty.

Już zabierał rzeczy, żeby pójść za nią, gdy Laura, ogromnym wysiłkiem woli, powstrzymała go.

– Nie gniewaj się, ale wolałabym spać sama dziś w nocy. Nie jestem w najlepszej formie, zrozum.

Zeszła na przystań ze ściśniętym gardłem. Wszystko kotłowało jej się w głowie: frustracja, ponury fatalizm, rozczarowanie, a przede wszystkim złość. Dlaczego okazała się taka naiwna? Po pożarze, kiedy tak mocno ją objął i powiedział, że przy niej zostanie, pomyślała sobie: „Tym razem to prawda. Możesz być pewna, że mu na tobie zależy”.

– Nieszczęsna kretynko! – przeklęła na głos sama siebie, trzaskając po drodze drzwiami balkonowymi. – On cię nie kocha, on cię lubi... Przynajmniej masz jasność, możesz przestać się oszukiwać.

Lubić... Co to właściwie znaczy? Można lubić truskawki z bitą śmietaną, dobre filmy albo kąpiel w ciepłej wodzie. Można lubić spędzać wieczory z przyjaciółmi albo siedzieć w wygodnym fotelu. Ale do cholery! Kiedy się z kimś sypia, to się go kocha. Tym bardziej, jeśli twierdził, że pragnie przy niej zostać i nie chce, żeby groziło jej niebezpieczeństwo.

Podeszła do Mayi i pogłaskała ją.

– Co ja sobie wyobrażałam, psinko? Twoja pani jest kompletnie stuknięta.

Wracając pamięcią wstecz, nagle zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie tylko ona robiła plany na przyszłość. Raphaël wspominał o wspólnych projektach, chciał zyskać zaufanie jej dzieci, ale czy kiedykolwiek napomknął o tym, że mogliby tworzyć prawdziwy związek? Spotykanie się co noc w jednym łóżku to nie było życie we dwoje.

Nazajutrz Raphaël się nie pojawił. Godziny mijały, a Laurę opadały coraz większe wątpliwości. Duma nie pozwoliła jej zadzwonić, czy choćby wysłać wiadomości. Idealny gentleman, jakim był na początku, stawał się w jej oczach kochankiem, do którego nie należało się przywiązywać. Wczoraj, na żaglówce, nie próbował specjalnie jej zatrzymać. Zakochany mężczyzna nalegałby. Ale czas uwodzenia minął, a teraz pewnie uważał ją za dobrą przyjaciółkę, lubiącą samotność, tak ja on, która spędzała z nim przyjemne chwile, niczego nie oczekując w zamian. Opłukała twarz czystą wodą, przyjrzała się sobie z niechęcią w lustrze w łazience. Co się z nią dzieje?

Zadzwonił telefon. Laura pobiegła odebrać. Miała nadzieję, że to on, ale gdy zobaczyła imię Renée na ekranie dotykowym, jej entuzjizm opadł.

- Widziałaś, która godzina?
- Co za przemile powitanie – zauważyła rozmówczyni.
- Ostrzegam cię, nie jestem w humorze.
- Nie szkodzi. Jesteś w domu?

Laura zawahała się, czy nie skłamać; nie miała ochoty spotykać się z kimkolwiek.

- Litości, Renée! Naprawdę muszę pomyśleć sama dziś wieczorem.
- Nie zostanę długo. Ale powinnam koniecznie osobiście z tobą porozmawiać.
- Czy to nie może poczekać do jutra?
- Nie.

Renée się rozłączyła. Laura była zła na przyjaciółkę, która najwyraźniej niczym się nie przejmowała. Ledwo zdążyła włożyć czystą koszulkę i stare dżinsowe szorty, gdy usłyszała, jak mały smart parkuje za domem.

– Przestań się dąsać, nie przyjechałam tutaj, żeby cię dobijać. A przy okazji o mało nie zламаłam sobie obcasa, schodząc po tych przeklętych schodach.

Laura wzniosła oczy do nieba. Renée i jej maniery wielkiej gwiazdy z wizytą na wsi... Przyjaciółka miała na sobie bluzkę z lejącego surowego jedwabiu, a na nogach czółenka z paskiem, których czubek wystawał spod rąbka marynarskich spodni, i wyglądała, jakby wybierała się na rozdanie Nagród Diany^[8] w Chantilly. W środku nocy!

Renée bez słowa położyła na stoliku kopertę, usiadła na kanapie i skrzyżowała ręce na kolanach.

– Czytaj!

– Tylko nie mów mi, że to znowu w sprawie...

– Tak, właśnie tak. Ortéga. Nie wiesz bardzo wielu rzeczy na jego temat.

Renée przyniosła wyciąg z rejestru karnego, który diabli wiedzą jak zdobyła, ale który był stuprocentowo autentyczny. Raphaël Ortéga został skazany przez sąd poprawczy za celowe spowodowanie uszkodzeń ciała.

– Jego adwokat musiał być przekonujący, dostał wyrok w zawieszeniu – skomentowała Renée.

Niemal zaraz potem odjechała, upewniwszy się wcześniej, czy Laura nie ma do niej żalu? A do kogóż mogłaby mieć żal oprócz samej siebie?

Po kilkakrotnym przeczytaniu raportu Laura zamknęła okiennice i włączyła system alarmowy, po czym poszła spać, z Mayą u wezgłowia. Dwie minuty później opadło ją zmęczenie. Zapadła w głęboki sen.

Pływa w zatoce na Przylądku Admirala, zanurzona do ramion, gdy

niebo nagle ciemnieje. Zrywa się wiatr. Fale o niebywalej sile uderzają o skały. Laura próbuje wrócić na brzeg, ale czuje, że prąd morski ciągnie ją na dno. Opada z sił i wpada w otchłań. Ostatnia rzecz, jaką widzi, to wrak „Lauramor”, spoczywający przed nią, w półmroku dna morskiego.

Obudziła się, ciężko dysząc, wściekła, że znowu padła ofiarą koszmaru. Koszmar ten powtarzał się coraz częściej, w różnych wariantach, ale zawsze równie przerażający. Nagle opadły ją wątpliwości, intuicja, której nigdy nie dopuszczała do głosu. A jeśli jej ojciec nie zginął przez przypadek? Jeśli wpadł w pułapkę? A jego statek został zatopiony na morzu?

Leżała pogrążona w rozmyślaniach, gdy jakiś hałas wyrzucił ją z łóżka. Ze ściśniętym sercem nadstawiła uszu. Tym razem to nie był sen. Klamka powoli opadła, skrzypnęła sprężyna.

Czyś ty zwariował?! – zawołała Laura. – Ależ mnie przestraszyłeś!

Maya podeszła spokojnie do intruza, który okazał się być Raphaëlem. Laura wbiła w niego wzrok. W miejsce strachu pojawiła się złość. Jak śmiał wchodzić do jej domu w środku nocy? Okłamał ją na temat swojej przeszłości, a kiedy naszła go ochota, przychodził odgrywać namiętnego kochanka. Za kogo ją uważał? Za jedną z tych zdesperowanych kobiet, które oddałyby duszę diabłu, żeby tylko mieć przy sobie mężczyznę? To nie ona.

Raphaël podszedł bliżej.

– Nie ruszaj się – rozkazała, chwytając kij bejsbolowy, który położyła u stóp łóżka.

Zamknęła okiennice, a potem włączyła alarm; pamiętała to dokładnie. Raphaël zatem włamał się do niej, ponieważ tylko on znał kod dostępu... Patrzyła na niego w milczeniu, z wymierzonym w niego groźnie kijem bejsbolowym. W mgnieniu oka przypomniała sobie wszystkie ostrzeżenia Renée. Tego wieczoru dotarło do niej, jak bardzo uzasadnione były podejrzenia przyjaciółki. Na kogo przez przypadek natknęła się po włamaniu? Kto cudem uratował ją w dniu pożaru? Kto wtargnął do jej domu bez jej wiedzy? Raphaël, ciągle Raphaël...

Stał nieruchomo, podniósł tylko ręce, jakby dając do zrozumienia, że nie chce zrobić jej krzywdy. Ale Laura nie była naiwna, na dała się tak łatwo przekonać.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział.

– Coś takiego! – odparła sarkastycznie. – Jakiś ty miły.

Urażona kolejnym kłamstwem, zrobiła się niemiała.

– Zazwyczaj kiedy ktoś martwi się o drugą osobę, zadaje sobie trud, żeby najpierw zadzwonić, a nie wyłania się w sypialni w środku nocy ...

– Zgoda, może nie powinienem. Ale nie odbierałaś moich telefonów. Bałem się, że coś ci się stało.

– Telefonów? Jakich telefonów? Nie zauważyłam, żebyś dzwonił.

Przez cały dzień regularnie sprawdzała telefon i była pewna, że kłamie.

– Przysięgam, że dzwoniłem dzisiaj do ciebie. Trzy razy. Na koniec wysłałem nawet SMS-a, bo myślałem, że nie chcesz ze mną rozmawiać.

– Nic nie dostałam. Trochę to dziwne, prawda?

– Przysięgam, że to prawda.

– Proszę cię, nie przysięgaj. To na nic. Oboje wiemy, że to nieprawda. Bądź tak miły i wróć spokojnie do siebie.

Raphaël przyjął cios, ale ani drgnął.

– Powiedz mi tylko jedno – odezwała się, coraz bardziej podejrzliwie – jak wszedłeś do domu?

– Głównym wejściem – odpowiedział, tłumiąc uśmiech. – Nie zamknęłaś drzwi. W takich warunkach twój system alarmowy jest bezużyteczny... Dobrze by było, żebyś chociaż znała kod.

– Tak, tak, śmiej się ze mnie.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Tak będzie lepiej. Widzisz, mam zszargane nerwy, mówiłam ci, że w tym momencie muszę pobyć trochę sama. Porozmawiamy jutro.

Po wyjściu Raphaëla, gryziona wyrzutami sumienia, po raz kolejny sprawdziła pocztę głosową na swoim telefonie. Nigdy nic nie wiadomo. Miała trzy nieodebrane połączenia, pierwsze z przedwczoraj, z godziny dziewiątej czterdzieści dwie: „Witaj, moja piękna, tu Raphaël. Chciałem się tylko dowiedzieć, co u ciebie słyhać. Mam nadzieję, że spędziłaś

miłą noc, mimo że mnie z tobą nie było. Przykro mi. Dzisiaj czeka mnie ciężki dzień, mam komplet rezerwacji i nie wiem, czy będę mógł do ciebie zadzwonić. W każdym razie chcę, żebyś wiedziała, że myślę o tobie. Tęsknię za tobą”.

Potem drugie z wczoraj z godziny jedenastej czterdzieści siedem: „Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za wczoraj, nie jestem mocny w słowach... Dużo dla mnie znaczysz i mam ochotę dzielić z tobą wiele rzeczy”.

Ostatni pochodził z godziny piętnastej dwadzieścia trzy: „Nie wrócę dzisiaj na Przylądek Admirala, muszę się spotkać z moim bankierem. Zadzwon do mnie na chwilę, będzie mi miło...”

Po czym następował SMS wysłany po godzinie pierwszej w nocy: „Bardzo się martwię. Skończę dziś najwcześniej, jak będę mógł, i wpadnę do ciebie. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku”.

Laura pomstowała na swojego operatora komórkowego. Przez cały dzień wątpiła w Raphaëla, a na koniec wygoniła go z domu. Okazało się jednak, że nie był niczemu winien. Natychmiast do niego zadzwoniła. Zabrzmiął jeden sygnał, potem drugi. Przy trzecim Laura pogodziła się z myślą, że wszystko zepsuła, ale on odebrał:

– Halo?

– Właśnie odsłuchiłam swoje wiadomości – powiedziała zmieszana.

– To dobrze.

– Dopiero je dostałam i nie wiem... Nieważne. Strasznie cię przepraszam.

– Nic się nie stało, nie przejmuj się. To świadczy o tym, że trochę ci na mnie zależy. – I zaraz dodał poważnym tonem: – Chciałem się z tobą zobaczyć, ponieważ jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Coś, co wydarzyło się dawno temu...

– Teraz?

– Nie, jutro, jeśli chcesz. Jesteś zmęczona, a ja cię obudziłem. Nie chcę cię tym zanudzać.

– Nie nudzisz mnie, przeciwnie. Chcesz, żebym zeszła?

– To ja powinienem przyjść. Oczywiście, jeśli się zgadzasz.

– No pewnie. Otworzę ci.

Odłożyła słuchawkę, wstała, założyła szlafrok, przyczesła włosy i zapaliła światło na tarasie. Oczekiwała tylko jednego, żeby się wytłumaczył, żeby powiedział jej prawdę. Niech powie jej coś, co przywróci jej zaufanie do... Pragnęła tylko tego, mieć zaufanie. W przeciwnym wypadku nie będzie mogła dalej tak żyć, mimo miłości, mimo pożądania, mimo poczucia pełni i oddania, jakie odczuwała w jego ramionach. Znała siebie, wiedziała, że za bardzo boi się kłamstw, nawet tych trywialnych... Przyszło jej do głowy zdanie: „Tylko milczenie zabija!” Gdzie ona to słyszała? Nie mogła sobie przypomnieć. Nieważne! Jakże trafne było to zdanie ... Milczenie Raphaëla mogło zabić ich miłość. Nie chciała tego. Ani trochę! Ani przez chwilę!

Pięć minut później dostrzegła w ciemności wysoką postać. Gdy wszedł w krąg światła, wyglądał na bardzo zakłopotanego.

– Usiądź.

– No więc, jak już ci mówiłem przez telefon, nie umiem pięknie mówić. Bałem się, że mnie zostawisz, jeśli poznasz prawdę. – Wskazał palcem na cienką bliznę na twarzy. – To przez to.

Laura słuchała go z niemal bolesną uwagą.

– Miałem czas, żeby się zastanowić. Myślę, że jeśli mamy przeżyć coś razem, a wierzę, że tak się stanie, nadszedł najwyższy czas, żebym ci o wszystkim powiedział. W przeszłości działałem w sposób impulsywny, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Piętnaście lat temu, gdy wynosił śmieci z restauracji, gdzie pracował, był świadkiem sceny, która wyprowadziła go z równowagi. Jakiś

mężczyzna bił młodą kobietę. Para się pokłóciła, pięści poszły w ruch. Nieszczęsna kobieta upadła na asfalt i kulila się pod ciosami swojego towarzysza. Raphaël rzucił na bok śmieci i zabrał się do innego śmiecia.

– Tłukłem go, tłukłem, cały czas tłukłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że facet był nietrzeźwy i o ile był w stanie bić leżącą na ziemi kobietę, o tyle nie potrafił odeprzeć moich ciosów. Myślę, że bym go zabił, gdyby nie przeszkodziły mi krzyki jego dziewczyny, która podniosła się i stanęła w jego obronie. Blizna, którą mam na twarzy, to jej dzieło. Kopnęła mnie.

– Nie mogę jej zrozumieć. Przecież jej broniłeś.

– W takich chwilach trudno jest cokolwiek rozumieć. W każdym razie stanąłem przed sądem i zostałem uznany za winnego. Oboje wnieśli skargę, facet naprawdę solidnie oberwał. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Przez to, że byłem karany, miałem problem ze znalezieniem banku, który udzieliłby mi pożyczki na otworenie restauracji. Jediną osobą, która zgodziła się mnie finansować, był mój dawny wspólnik, ten, z którym rozstałem się w mojej pierwszej restauracji. Ale w umowie zawarł pewną klauzulę. Jeżeli nie spłacę należności w terminie, to on przejmie Admiralicję.

Laura spuściła wzrok. Potem patrząc mu prosto w oczy, przyznała, że Renée pokazała jej jego wyciąg z rejestru karnego.

– To znaczy, że jest naprawdę dobrą przyjaciółką – podsumował Raphaël. – Nie mam jej tego za złe, przeciwnie, dobrze, że ona także nad tobą czuwa.

Laurze zrobiło się wstyd, że w niego zwątpiła.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak ciężko pracujesz w swojej restauracji. Nie możesz sobie pozwolić na porażkę.

– Tak, jestem przyparty do muru. Muszę mieć klientów w południe i wieczorem, i to tyłu, by móc spłacić długi i dotrzymać terminów. Znam

go, nie będzie miał dla mnie taryfy ulgowej.

Laura przytuliła go. Chciała go pocałować. Powstrzymał ją na chwilę. Nie powiedział jeszcze wszystkiego, co leżało mu na sercu.

– Mam sobie za złe to, co stało się wczoraj wieczorem. Zachowałem się niezręcznie. Nie potrafiłem ci powiedzieć, co do ciebie czuję. Jesteś wszystkim, co kocham. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś dla mnie ważna. Bardzo ważna. I jeśli mamy jeszcze na to czas, chciałbym, żebyśmy zamieszkali razem, na zawsze.

Ledwo skończył zdanie, gdy dodał, wybuchając gromkim śmiechem:

– No, no! Chyba jeszcze nigdy mówienie nie przyszło mi z taką łatwością.

Laura pocałowała go mocno.

– Chodź i obiecaj mi, że nie odejdziesz rano, jak to masz w zwyczaju.

– Obiecuję.

Już kładli się do łóżka, gdy Raphaël zapytał:

– Pamiętałaś, żeby zamknąć drzwi wejściowe?

– Tak. A ty, żeby włączyć alarm?

Roześmiali się równocześnie. Jak stare dobre małżeństwo.

Maya położyła się na dywaniku pod łóżkiem, z głową opartą na przednich łapach. Nie przeszkadzało jej, że ma dwoje państwa zamiast jednej pani, najważniejsze, że mogła przy nich zostać.

Nieco później Raphaël powrócił do „wypadków”, których ofiarą padła Laura.

– Oba wydarzyły się w godzinach, o których wracam z pracy. W tamten wieczór, gdy nastąpiło włamanie, właśnie przybiłem do brzegu, gdy zobaczyłem, jak ktoś zbiega ze schodów i ucieka w zarośla. Od razu pomyślałem o tobie, wyobrażałem sobie najgorsze rzeczy. A w dniu pożaru wracałem na przerwę między obiadem a kolacją, gdy zauważyłem płomienie. Każdy na moim miejscu przybiegłby z pomocą,

prawda?

Morze spowijało pianą skały na Przylądku Admirala. Zewsząd przenikało krystaliczne światło poranka. Po tygodniach upałów prawie chłodny wiatr przynosił zbawienne zamglenie. Rosa znów załśniła na liściach i ożywiła znajome zapachy, balsamiczną woń sosen i inne aromaty: tymianku, cząbrku, wiciokrzewu, dzikiej lawendy i ziemi pachnącej miętą. Ale najważniejsze wydarzenie owego poranka, które miało przypieczętować los Przylądka Admirala, przeszło zupełnie niezauważone. Na cyplu, u szczytu skarpy Soubeyrana, osiedliła się pewna para. Ona, dużo bardziej korpulentna niż jej rachityczny towarzysz, miała głowę okrągłą i czarną. On, mniejszy i jaśniejszy, wyglądał na bardzo czujnego. Pojawienie się tej pary zakrawało na cud. Były to sokoły wędrownie, gatunek, który niemal zupełnie wyginął, podobnie jak orzeł południowy. Ochrona tych ptaków została zapisana w statucie PNC.

Laura otworzyła szeroko okiennice i z zaskoczeniem ujrzała masę chmur, które zbliżały się do wybrzeża. Raphaël, tak jak obiecał, został razem z nią. Wyczerpani miłosną nocą obudzili się później niż zwykle.

– Gorąca kawa, sok wyciśnięty z pomarańczy i różowego grejpfruta, tosty, galaretka porzeczkowa, jajko na miękko z grzankami, świeże owoce – oznajmił dumnie Raphaël, kładąc tacę na stole. – Przykro mi, że nie ma drożdżówek, ale było trochę za daleko.

– Jest idealnie – powiedziała Laura, przeciągając się, tak jak Maya w promieniach słońca. – Obsłużyłeś mnie jak księżniczkę.

– Przepraszam, wasza wysokość, jak królową.

Laura nie mogła oprzeć się pokusie, żeby usiąść Raphaëlowi na kolanach, otoczyć ramieniem tego, który tak o nią dbał, i schrupać z apetytem grzankę, którą wcześniej zanurzył w żółtku jajka.

– Coś takiego, widziałeś, która godzina? Najwyższa pora, żebyś

poszedł do pracy.

– Spóźnię się pół godziny, nic się takiego nie stanie. Czuję, że będę miał masę roboty. A ty, co będziesz dzisiaj robić?

– Pójdę na połów.

– Na połów?

– Tak, na połów informacji do mojego przyszłego albumu. Przedstawiłam mojemu marsylskiemu wydawcy historię o korsarzu. Bardzo mu się spodobała. Chciałabym opowiedzieć epizod z Fargasem, korsarzem, który wstąpił na służbę u Ludwika XIV. Jego historia jest taka ciekawa, a ja wcale jej nie znałam. Prawdę mówiąc, znałam tylko legendy krążące po okolicy. Fakty są zresztą jeszcze bardziej zadziwiające. Osobnik ten, najpierw morski rozbójnik, potem kapitan statku na służbie u Króla Słońce, miał nieszczęście zakochać się w pięknej markizie d’Heudicourt, kuzynce Madame de Montespan, przyjaciółce Madame de Maintenon i kochance wszechwładnego Ludwika XIV. Między takimi kandydatami szlachetna dama nie miała wyboru. Zachowała swoje względy dla króla i porzuciła korsarza. Nie mógł się z tego otrząsnąć i rzucił się ze szczytu skarpy. Tak oto narodziła się legenda Przylądka Admirala.

– Obiecaj, że pokażesz mi swoje pierwsze rysunki, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądał ten twój pirat! Ale teraz muszę zmykać, bo stracę posłuch mojej brygady.

W czasie swoich poszukiwań Laura zwracała szczególną uwagę na dokumentację historyczną. Czytała książki i liczne artykuły, porównywała informacje źródłowe, aby wyrobić sobie własne zdanie. Tego popołudnia, wpisując jako słowa kluczowe „Przylądek Admirala”, natrafiła na serię stron internetowych poświęconych Soubeyranom. Ponad dziesięć stron www dotyczyło tej właśnie kwestii. Rodzina zbiła fortunę na kopalniach ołowiu, który wydobywano w poprzednim stuleciu. Firma liczyła ponad siedmiuset pracowników, narażonych na działanie arszeniku i toksycznych oparów. To była inna epoka, okres międzywojenny, właściciele firm mieli szoferów w liberii, cały zastęp służących do pomocy pani domu, a robotnicy godzili się na ciężką i niewdzięczną pracę za marne wynagrodzenie. Zola w krainie cykad... Marcel Soubeyran zerwał z tą tradycją i został adwokatem. Wyrobił sobie opinię eksperta w dziedzinie spraw gospodarczych. Pod koniec kariery jego nazwisko pojawiało się w procesach o nadużycia i w sprawach cywilnych dotyczących najczęściej zniesławienia.

Kliknęła na nagłówek „Grafika”, żeby zorientować się, jak też ów człowiek mógł wyglądać. Zobaczyła go w różnych ujęciach, a potem zauważyła u jego boku jasnowłosą kobietę w idealnie równej fryzurze. Przypomniała jej kobietę, którą widziała na zdjęciu, siedzącą między jej ojcem a Joëlem. To była ta sama osoba. Chcąc się upewnić, Laura poszła po zdjęcie, które zostawiła na nocnym stoliku i porównała. Nie było najmniejszych wątpliwości. To ona! Marlina Soubeyran!

Marlina... Marlina... To imię najwyraźniej coś jej mówiło. Już je

gdzieś słyszała. Ale gdzie? I kiedy? Nie mogła sobie przypomnieć. Przeciągnęła się, oparła plecami o oparcie krzesła, z rękami skrzyżowanymi na karku. Marlina... Szukała w pamięci, ale na próżno. Ale przypomni sobie prędzej czy później. Gdy znowu przyjrzała się twarzy tej kobiety, wróciło wspomnienie. Którejś nocy przyśnił się jej pewien obraz. To nie był sen, tylko scena, co do której nie była pewna, czy ją przeżyła, czy tylko jej się ona przyśniła. Scena, w której ojciec podaje jej polaroid. Poszperała w pamięci i scena się rozjaśniła. Laura miała zaledwie siedem albo osiem lat. Gilbert i Bossis otworzyli swoją małą firmę i szukali nowych klientów. Ta Marlina Soubeyran, ich najbliższa sąsiadka, pewnie skontaktowała ich z kimś ze swoich znajomych. Laura wysilała się, chcąc zebrać strzępy wspomnień, które stopniowo wypływały na powierzchnię...

To był letni wieczór. Włożyła białą sukienkę z falbankami, którą wkładała tylko na wielkie okazje. Ojciec nalegał, żeby zachowywała się grzecznie i nie zniszczyła pięknej kreacji. Poszli do wielkiej restauracji nad urwiskiem. Była onieśmielona luksusem tego miejsca i unizonym zachowaniem personelu. Pomimo jej młodego wieku, stał za nią mężczyzna w nieskazitelnym garniturze i czuwał, aby niczego jej nie brakowało. Laura zrozumiała, że dwaj wspólnicy chcieli w ten sposób godnie podziękować swojej dobrodziejce po podpisaniu dużego kontraktu. W przeciwieństwie do jej ojca, Joëla, czy niej samej, wytworna kobieta wyglądała na kogoś, kto czuje się w takim miejscu zupełnie swobodnie. Cała scena stanęła jej teraz przed oczami: niekończące się oczekiwanie przed restauracją, potem pojawienie się tej pani za kierownicą kabrioletu; chromowana gwiazda lśniła pośrodku maski. Laurze wydawało się, że z mechanicznej karety wysiada nowoczesna wróżka. Ale wróżka miała kamienne spojrzenie, które sprawiło, że Laura poczuła się nieswojo. Pogardliwie zmierzyła dziecko

wzrokiem. Na koniec ojciec włożył jej do rąk aparat. Polaroid. Aby uwiecznić tamtą chwilę. Chcąc sprawić przyjemność, zrobiła pierwsze zdjęcie. Ręce jej się trzęsły i musiała powtórzyć operację, a ojciec się niecierpliwił.

Laura nie pamiętała nic więcej na temat Marleny Soubeyran. Nigdy jej potem nie widziała. Zniknęła z ich życia równie nagle, jak się w nim pojawiła. Są tacy, którzy mówią, że nigdy więcej nie opuszczała swojej luksusowej posiadłości w Marsylii. Przylądek Admirała był tylko małym zakątkiem na krańcach ziem, zamieszkanych przez dzikusów. Lata mijaly. A potem przyszła tamta burzowa noc, gdy jej ojciec wyszedł i już nigdy nie wrócił.

– Halo! Jest tam kto?

– Na tarasie.

Pojawiła się rozpromieniona Renée.

– Wyglądasz na bardzo zadowoloną.

Zamiast odpowiedzi rzuciła na stół kopertę.

– To jest kopia raportu geologicznego, który ukradł ci Raphaël. Na jego nieszczęście, dzięki odręcznym notatkom ekspert mógł napisać na nowo cały rozdział. Mam nadzieję, że te strony pomogą ci zrozumieć, czego szukał twój...

– Mój kochanek niczego nie szuka.

Laura rzuciła to zdanie bez cienia wątpliwości, ze wzrokiem wbitym w przyjaciółkę.

– Nie mów mi, że mu się udało cię omamić. To manipulator pierwszej wody. Do licha, Abrigore, otwórz oczy i przypomnij sobie, co mówiłaś mi wczoraj wieczorem...

– No właśnie. Po twojej wizycie wiele się wydarzyło.

– Ja chyba śnię – westchnęła Renée, opadając na krzesło.

Laura opowiedziała jej spokojnie o wydarzeniach z poprzedniego

dnia, o wiadomościach, które dostała późno wieczorem, o sposobie, w jaki wyjawiał jej prawdę o swojej kryminalnej przeszłości i jak nie ukrywał już swoich uczuć.

– No to go rozgrzeszam, a tobie należą się przeprosiny.

– Chciałaś dobrze...

– I to jest właśnie to, co najczęściej mi wyrzucałaś, że chciałam dobrze.

Ale Laura wzięła kopertę i przyglądała się uważnie kartkom, które skradziono z poprzedniego egzemplarza dokumentu. Zmarszczyła brwi. Potem zbladła.

– Co ci jest? – zaniepokoiła się Renée.

– Nic, nic, muszę pomyśleć.

Powoli wszystko układało się w jedną całość. Wstała z krzesła.

– Dokąd idziesz?

– Sprawdzić moją teorię. Myślę, że nadszedł czas, abym zapuściła się w rejony, w których jeszcze nigdy nie nurkowałam.

– Nurkować? Teraz? Czyś ty oszalała? Pójdiesz jutro, wracaj, zbiera się na burzę.

Ale Laura była już na drugim końcu tarasu. Już chciała zejść po schodach, gdy promień słońca wychynął zza chmur i uwagę jej przykuł błyszczący przedmiot leżący w popiele. Zawróciła i przyjrzała mu się z uwagą. Ten kawałek szkła utwierdził ją w jej przekonaniu. Jeśli przypuszczenia okażą się słuszne, dowie się w końcu, jak i dlaczego zaginął jej ojciec.

Wiatr znad otwartego morza przywiewał gęste chmury. Niebo przybrało wyjątkowo groźną, pomarańczową barwę. Morze wzbierało. Fale z grzebieniami piany rosły i biegly do brzegu, rozbryzgiwały się, coraz to gwałtowniej, o skały Przylądka Admirala. Laura zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesło ze sobą nurkowanie w czasie takiej pogody. Musiała działać, i to szybko, zanim burza rozsiale się na dobre.

Gwałtowny podmuch wiatru, silniejszy od innych, zatrzymał ją na ostatnim stopniu, który zrobił się śliski od zalewającej go wody. Złapała się barierki, z włosami przylepionymi do twarzy. Potem ruszyła do hangaru.

– Joël – zawołała, ciągnąc ciężkie przesuwne drzwi – jesteś tam? Otwórz mi!

Z ogromnym wysiłkiem zdołała w końcu uchylić drzwi pomieszczenia na łodzie. Znowu zawołała, ale nikt nie odpowiadał. Wiatr gwizdał między nieszczelnymi blachami magazynu. Światłówki chygotały się pod wpływem przeciągu, tak jak stalowy łańcuch ciężkiego dźwigu okrętowego umieszczonego pod sufitem. Służył on do podnoszenia śrub albo wyremontowanych silników. Laura zadrzała. Rozejrzała się wśród ciemności.

– Joël, to ja... jesteś tam?

Zadała to pytanie niepewnym głosem, przekonana, że ktoś ją śledzi. Żadnej odpowiedzi.

Pokonując lęk, skierowała się w stronę szafy ze sprzętem do

nurkowania, otworzyła oba skrzydła, włożyła kombinezon, na plecy butlę z tlenem, a potem zapięła pasy. Wiedziała, że woda będzie wyjątkowo zimna ze względu na głębokie prądy morskie, które wynurzały się na powierzchnię, i liczne rzeki podziemne, które wpadały do *calanques*. Latem różnica temperatur wynosiła co najmniej dziesięć stopni. Wyszła na przystań, założyła płetwy i skoczyła pod wodę. Nadciągała burza, zostało niewiele czasu, zanim rozszaleje się na wybrzeżu.

Podłączona do butli z tlenem, zacisnęła zęby na ustniku i popłynęła w konkretnym kierunku, wypuszczając po drodze setki błyszczących bąbelków. Z niepokojem przekroczyła granicę, jaką wyznaczała sosna alepska i zanurzyła się w głębokie wody, zakazany od zawsze świat, gdzie panowały silne prądy. Zapuszczając się tam, pomyślała nagle o swoich dzieciach. Czy miała prawo narażać życie?

Posuwając się w stronę obszaru, który chciała zbadać, wróciła myślą do wydarzeń ostatnich tygodni. Wszystko zaczęło się od spadku po Soubeyranie, potem było włamanie, a w końcu niewyjaśniony pożar. Początkowo sądziła, że ktoś próbował ją zastraszyć. Ale z upływem czasu coraz bardziej w to wątpiła, zwłaszcza po tym, co odkryła pod spalonym żywopłotem z wawrzynu... Nabrała przekonania, że wyjaśnienie tych wydarzeń znajduje się w przeszłości, wstydlivej i ukrywanej. Chodziło o kłamstwo sprzed dwudziestu siedmiu lat, które narodziło się dokładnie tej nocy, gdy jej ojciec zaginął na morzu w niewyjaśnionych okolicznościach.

Woda prześlizgiwała się po kombinezonie. Laura dotarła do dna *calanque*, odkrywając liczne zakamarki, w których mieszkały ławice wielobarwnych ryb. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Schodziła niżej, wzdłuż stromej ściany, mającej około dwudziestu metrów wysokości. Odepchnęła się płetwami, zeszła jeszcze niżej, zachowując ostrożność.

Miała zaledwie dziesięć lat, gdy opanowała podstawowe zasady nurkowania, choć praktykowała je rzadko. Wcisnęła się w kamienny korytarz. Przejście było tak wąskie, że musiała skurczyć ramiona, żeby się prześliznąć. Szukała, zdecydowana znaleźć coś, co potwierdzi jej hipotezę. Brakowało ostatniego dowodu. Ale gdzie go szukać? W którym miejscu? Nie miała żadnego konkretnego punktu odniesienia. Za to mimo nadciągającej burzy żaden prąd morski nie mącił tych wód. To legenda powtarzana od dziesiątków lat, bajka i tyle. Długi korytarz kończył się rozległą równiną. Laura zanurzyła się na głębokość piętnastu metrów, rozejrzała dookoła, ale nic nie zobaczyła. „Trzeba teraz wracać – tłumaczyła sobie – nadciąga burza. Nie warto podejmować niepotrzebnego ryzyka, wrócę jutro i zejdem niżej”. Wypływała na powierzchnię, gdy jej uwagę przyciągnęła jakaś jasna bryła, uwięziona między dwiema podwodnymi skałami...

Przez cały ranek programy w lokalnym radiu przerywane były specjalnymi komunikatami. Meteo France wydało ostrzeżenie przed sztormem. Zapowiadano gwałtowne burze, a Raphaël zaczynał martwić się o swoją żaglówkę.

– Idź – poradził mu cicho Manu. – Powinieneś wrócić na Przylądek Admirala. Przy takich prognozach pogody nikt dziś nie przyjdzie na taras.

– Ale mamy rezerwację w sali.

– Tak spotkanie klasowe po latach... Sześćdziesiąt osób, wiem. Nie martw się, damy sobie radę.

– Nie, muszę zostać.

– Daj spokój, nie bądź głupi. Tylko ty pływasz łodzią. My wszyscy mieszkamy w okolicy. Nie mamy ochoty stracić szefa.

Zastępca szefa kuchni przesunął dłonią po jego ramieniu.

– Masz do mnie zaufanie, prawda?

– Oczywiście.

– Więc niczym się nie przejmuj, panuję nad sytuacją. Wracaj na Przylądek Admirala, zanim się rozpada.

Raphaël jeszcze chwilę się wahał, w końcu zgodził się z jego zdaniem. Obrął ostatnią czerwoną paprykę, którą właśnie wyjął z piekarnika, pokroił ją w cienkie paseczki i włożył do marynaty z mieszanki oliwy, zielonych oliwek o intensywnym smaku i bazylii. Skończywszy przygotowywać *antipasti*, po raz kolejny zapytał Manu, czy na pewno sobie poradzi.

– Mówię ci, idź – odparł Manu.

– Dobrze. Ale coś za coś. W przyszłym tygodniu ty weźmiesz dwa dni wolnego i spędzisz je ze swoją rodziną.

– Dzięki, szefie.

W drodze powrotnej Raphaël nie płynął na pełnych obrotach silnika, bo fale boczne były tak silne, że zagrażały stabilności łodzi. Odetchnął z ulgą, gdy bez większych trudności udało mu się bezpiecznie zacumować. Wielokrotnie próbował dodzwonić się do Laury, ale za każdym razem wpadał na automatyczną sekretarkę. Dlaczego nie odpowiadała? Zawiązał linę wokół żeliwnego pala, rozglądając się jednocześnie. Słońce zniknęło za grubą warstwą coraz ciemniejszych chmur. Błyskawica rozdarła horyzont. Raphaël zaczął się spieszyć. Pobiegł na małą plażę z białego piasku, wbiegł po schodach prowadzących do domu Laury, przeskakując po cztery stopnie. Chciał ją zobaczyć, upewnić się, czy wszystko w porządku, a przede wszystkim być z nią, gdy rozszaleje się burza. Jeśli będzie trzeba, przekona ją, żeby spędzić noc gdzie indziej, w głębi lądu.

Gdy ogłoszono prognozy pogody, pomyślał, że Laura mieszkała pod zagrożoną strefą, co potwierdził raport z ekspertyzy geologicznej. Co się stanie przy silnych opadach deszczu? Równina Soubeyrana mogła zostać porwana przez ulewę. Najmniejsze osunięcie się terenu groziło katastrofą.

– Lauro? Lauro? – wołał, biegnąc przez taras.

– Nie ma jej tu – odparła Renée.

Stała oparta o framugę drzwi i podejrzliwie go obserwowała.

– Gdzie ona jest?

– A pan po co tu przyszedł?

– Martwiłem się z powodu mojej łodzi i stanu skarpy. Jeżeli nastąpi powódź, grozi nam lawina.

– Wygląda na to, że zawsze pojawia się pan w odpowiednim momencie.

Raphaël nie potrafił powstrzymać się od irytacji.

– Niech pani posłucha, dosyć tego! Nie jestem ani mordercą, ani imbecylem. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Laura, do diabła!

Renée machnęła ręką ze zniechęceniem. Poddawała się. Niech się dzieje, co chce.

– Przyjechałam przed chwilą z brakującymi stronami raportu z ekspertyzy. Laura przeczytała je i wbiła sobie do głowy, że pójdzie nurkować. Próbowałam jej to wyperswadować... Nie chciała o niczym słyszeć, mimo zbliżającej się burzy.

– Laura poszła nurkować? W taką pogodę?

– Tak – przyznała Renée. – Staralam się przemówić jej do rozsądku, ale wie pan, jaka potrafi być uparta... Jest tak święcie przekonana, że uda jej się rozwikłać tajemnicę zaginięcia ojca, że nic innego się nie liczy.

– Gdzie ona jest?

– Powiedziałam, poszła nurkować.

– Gdzie?!?

– Na skraju *calanque*, koło sosny alepskiej.

Raphaël ruszył biegiem, nie było ani chwili do stracenia. Przez cały czas wmawiał sobie, że nie jest jeszcze za późno. Gdy wbiegał na wykute w skale schody, z nieba lunął deszcz. W pośpiechu, w którym przeszkadzała mu nagła ulewa, pośliznął się na stopniu, próbował utrzymać równowagę, machając rękami, po czym runął w przepaść.

Jego ciało upadło ciężko na leżącą poniżej skałę. Stracił przytomność. Deszcz spływał mu po twarzy, rozmywając krew, która płynęła ze skroni...

To on, powiedziała do siebie Laura, podpływając do jasnej bryły, którą dostrzegła na głębokości piętnastu metrów. Popłynęła niemal na bezdechu, wiedząc, co odkryje. Pomiędzy dwiema podwodnymi skałami, układającymi się w literę V, leżał wrak. Sądząc ze stanu kadłuba, pokrytego glonami i muszlami, żagłówka musiała spoczywać tam od wielu lat. Widać ją było od strony rufy, lekko przechyloną na prawą burtę. Dziób łodzi nikł w ciemności skalnej wnęki. Laura podpłynęła do niej. Wykazując się zaskakującym opanowaniem pomimo ogarniających ją emocji, zbliżyła się do wraku i wytarła tablicę porośniętą wodorostami.

„Lauramor”.

Przed jej oczami, tak jak przypuszczała, stała łódź jej ojca. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, podpłynęła do świetlików i przedostała się do kabiny z głupim przeświadczeniem, że przyjdzie mu z pomocą. W środku o mało się nie rozplakała za maską, widząc busolę należącą do jej ojca i jego zardzewiały kompas, przyklejone pod wpływem korozji do stolika na mapy. Rozejrzała się po wnętrzu łodzi, którą znała na pamięć. Było w niej coś znajomego i coś nadprzyrodzonego zarazem. Dwadzieścia siedem lat skradzione z życia... I ani śladu Gilberta.

Dopiero wynurzając się na powierzchnię, wszystko zrozumiała. Gdy minął szok, złość wzięła górę nad smutkiem. Laura odkryła cmentarz, na którym spoczywał jej ojciec. Stopniowo wynurzała się na powierzchnię, zdecydowana wyrównać rachunki z jedyną osobą, która

wiedziała i milczała prawie trzydzieści lat! Chciała usłyszeć to z jego ust, koniec kłamstw!

Woda wciąż lała się na skarpe, nie było widać nic na odległość dwudziestu kroków. Laura wynurzyła się w pobliżu żaglówki Raphaëla, której liny cumownicze naciągały się i skrzypiały pod wpływem porywów wiatru. O tej porze pewnie przygotowuje kolację. Laura pobiegła jak mogła najszybciej, aby schronić się w hangarze. Burza szalała ze zdwojoną siłą w zgiełku uderzeń piorunów. W środku dnia zapadła noc. Boso, w kombinezonie do nurkowania, Laura zamierzała dotrzeć do domu Joëla Bossisa, gdy pod ulewnymi strumieniami deszczu dostrzegła kogoś, kto wyszedł z domu i szedł ścieżką biegnącą nad urwiskiem. To on, człowiek, który od pierwszego dnia ukrywał przed nią prawdę.

Rzuciła się w pogoń.

– Joël! – zawołała ze wszystkich sił.

Jej wołanie ginęło w zawierusze. Wściekła, nie zważając na kamienie leżące na ścieżce, które raniły jej bose stopy, znów zaczęła biec i dogoniła go.

Odwrócił się przestraszony, widząc ją obok siebie.

– Co ty tu robisz?

Zacisnęła zęby i wbiła w niego wzrok. Krzyczała, żeby ją usłyszał.

– Powiedz mi prawdę! Chcę, żebyś mi powiedział prawdę! Co się wydarzyło tamtej nocy, gdy zaginął mój tata?

Potrząsnął przecząco głową. Chwyliła go za ramiona, nie przestając krzyczeć, i uczepliła się go jeszcze mocniej.

– Puść mnie, oszalałaś?

– Co się stało tamtej nocy?

Odepchnął ją.

– Nie możemy tu stać, trafi w nas piorun!

– Odpowiedz mi!

Znowu rzuciła się na niego, potrząsnęła nim z całych sił, jakby chciała, żeby wypluł z siebie prawdę, którą ukrywał.

– Dlaczego go zabiłeś? Dlaczego?

– Zwariowałaś? Gilbert był dla mnie jak brat...

– Zabiłeś go, zabiłeś!

Burza wokół nich zelżała, ulewny deszcz tłumił oddalające się odgłosy grzmotów. Joël stał naprzeciwko niej jak skamieniały, nie mogąc wykrztusić słowa. Stali tak przez chwilę w milczeniu na krawędzi urwiska. Laure było teraz słycać i nie musiała już krzyceć.

– Okłamałeś mnie, okłamywałeś mnie od samego początku. Chcesz wiedzieć, jak to odkryłam?

Stał przed nią nieruchomo, jakby był głuchy i ślepy, a jego twarz wyrażała nieopisane cierpienie. Mówiła jednym tchem, tracąc oddech, wyrzucając z siebie prawdę, która drażyła jej serce.

– Najpierw Soubeyran, spadek, jego zemsta. Okłamałeś mnie, po raz kolejny, opowiadając mi historię o źródle. Potem raport geologów. Ukradłeś strony, które mówiły o prądach morskich. To był wymysł. Twój wymysł. Nie ma prądów morskich tam, gdzie przysięgałeś, że są. Za żadne skarby nie chciałeś dopuścić, żeby ktoś przeszukał tamten rejon. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Milcz!

Zaczął jęczeć. Ale Laura nie czuła ani cienia litości.

– Mam ci powiedzieć? Bo pod wodą był wrak, wrak „Lauramor”! A ty o tym wiedziałeś. I przyszedłeś do mnie jak złodziej, żeby zniszczyć dowód swojego kłamstwa. Bo to byłeś ty. Wszystko zrozumiałam, przeszukując ogród po pożarze. Pod wawrzynem znalazłam szkło z twoich okularów. Musiałeś je zgubić w czasie ucieczki, gdy Maya cię pogoniła. Ogień wybuchł, choć nikt go nie rozpałił, jak myślę.

Wystarczyło, żeby promień słońca padł na szkło, ale to było twoje szkło. Więc teraz chcę się wszystkiego dowiedzieć. Chcę poznać całą prawdę.

Bossis ani drgnął. Stał jak sparaliżowany. Wiatr ucichł, wodospady deszczu przeszły w nieregularną mżawkę. Odgłos grzmotu przetaczał się głucho w oddali. Nieśmiałe światło dnia rozjaśniało morski horyzont. Wkrótce niebo miało się wypogodzić.

Niech mówi. Laura czekała z pięściami zaciśniętymi na brzuchu. Niechętnie, stłumionym głosem, Bossis zaczął opowiadać tragiczną historię.

Marlena, żona Marcela Soubeyrana, znajdowała się w centrum całej tej historii, tak jak znajdowała się w centrum zdjęcia zrobionego przez małą dziewczynkę, jaką w tamtych czasach była Laura. Była prawdziwą piękną, zdobyczą notariusza, ale także jego słabością, ponieważ robiła z nim, co chciała. Gdy przyjeżdżał, aby doglądać swoich włości na skarpie na Przylądku Admirala, pogardliwa wyniosłość, jaką odczuwał w stosunku do sąsiadów pobudziła jej ciekawość. Marlena lubiła przełamywać bariery i przeciwstawiać się mężowi. A także zdradzać go, kiedy nadarzała się okazja. Joël Bossis nie musiał jej zdobywać, od razu wpadł jej w oko. Żył jak Indianin na skarpie, a ją pociągały przygody. Został jej kochankiem. Ich związek trwał pół roku, po czym Marlena przerzuciła się na innego, Gilberta Abrigore'a, który właśnie owdowiał albo został porzucony, albo po prostu był samotnikiem. On trzymał ją na dystans, nie dawał się wciągnąć w jej gierki i omamić urokiem, które roztaczała przed mężczyznami. To lekceważenie podniecało Marlenę. Podjęła wyzwanie. Bossis już jej nie interesował. A Gilbert w końcu uległ. Ale tym razem sprawa przybrała poważny obrót. Narodziła się między nimi miłość, namiętna miłość.

Pewnego wrześniowego wieczoru Marlena zginęła za kierownicą swojego samochodu na wiejskiej drodze, jadąc do Gilberta. Wypadek

przyspieszył bieg spraw. Joël, który odkrył niewierność kochanki, wpadł w dziką wściekłość. Oskarżył współlnika o zdradę. Rozgorzała kłótnia, doszło do rękoczynów, a stali pod hangarem. W bójce cios Joëla sprawił, że Gilbert się potknął. Upadając, uderzył z całej siły głową o właśnie naprawianą śrubę. Rozbił sobie czaszkę i leżał bezwładnie na ziemi. Bossis nie mógł w to uwierzyć, usiłował go reanimować, a potem, stwierdzając, że stało się to, co nieodwracalne, postanowił ukryć wypadek.

– Twój ojciec nie żył – mówił Joël. – Nie wyczułem pulsu. Przestraszyłem się i postanowiłem, że musi zniknąć.

– I zatopiłeś „Lauramor” na otwartym morzu – dokończyła Laura, skamieniała z przerażenia.

Bossis jeszcze nie skończył. Soubeyran, który doskonale wiedział o romansie, czekał do końca życia, by wyrównać porachunki. Marlina zginęła wiele lat wcześniej, ale uraza w sercu starego człowieka pozostała. Nie mogąc odegrać się na ojcu, czekał, aby dokonać zemsty na jego córce.

W chwili, gdy Joël kończył swoją opowieść, rozległ się za nimi krzyk.

– Laura!

Był to głos Raphaëla. Miał zakrwawioną twarz i z trudem szedł w ich kierunku, przytrzymując się ścian skał wzdłuż ścieżki. Laura chciała przyjść mu z pomocą, gdy odwróciła się w stronę Bossisa i wyczytała przerażenie w jego oczach. Joël zrobił krok w tył. Niefortunny krok. Jego ciało runęło w przepaść...

Epilog

Minął rok. Po śmierci Bossisa Laura była załamana. Do bólu po utracie człowieka, który był jej drugim ojcem, dołączyło straszliwe uczucie, że przeżyła dwadzieścia siedem lat obok mordercy. Bossis jej pomagał, kochał ją, ale ją okłamywał. Jak mógł ją zostawić z taką pustką? Jak mógł pozwolić, żeby cierpiała? Może by mu wybaczyła, gdyby z nią porozmawiał... Cóż, tak przynajmniej dzisiaj sądziła. Raphaël i Renée błagali ją, żeby przestała rozpamiętywać przeszłość. Sprawiedliwości stało się zadość, nawet jeśli sentencja ta zrealizowała się w najokrutniejszy ze wszystkich sposobów.

Na szczęście życie złapało ją w swoją sieć i wydobyło na powierzchnię. Wróciły dzieci, przyzwyczajając się powoli do obecności Raphaëla, który przyjął je z właściwą sobie wielkodusznością i radością. Być może Enzo nie zostanie skutnikiem, jak marzył, bo nie było już Joëla, który nauczyłby go zawodu. Ale kucharz, czemu nie? Pod tym względem nie był podobny do matki. Garnki nie napawały go strachem. Zresztą trzeba przyznać, że nie bał się niczego. Camille studiowała w Paryżu, a jej powroty przypominały atak tornada, które wywracało cały dom do góry nogami. Raphaël nauczył się żyć w tym radosnym zgiełku, choć zdarzało mu się wycofywać na żaglówkę, dla wytchnienia.

Poza tym wiele się działo wokół Przylądka Admirala. Laura, kierowana instynktem samozachowawczym, ponownie rzuciła się z szaloną energią w wir walki, jaka toczyła się wokół utworzenia Parku Narodowego *Calanques*. Referendum zorganizowane z inicjatywy Renée nie pozwoliło wyodrębnić znaczącej większości, która opowiedziałaby

się za projektem. Przeciwnicy powrócili do walki, a ich przywódca, Salomone, dalej krytykował „biurokratów, paryżan i ich sługusów”. Debata, którą skomplikowały trwające wybory parlamentarne, zaostriżyła się, a obóz Salomone’a używał wszelkich argumentów, nawet najbardziej odrażających, aby zdyskredytować przeciwnika. François Marini, poseł, który bronił projektu PNC i prowadził kampanię, walcząc o reelekcję, o mały włos nie stracił mandatu.

Po miesiącach sporów projekt przeszedł większością głosów i François Mariniemu udało się odnieść sukces. Park Narodowy *Calanques* naprawdę miał powstać. Udało się też uratować to, co najważniejsze: uchronić tę część wybrzeża śródziemnomorskiego przed dewastacją środowiska naturalnego i żarłocznością deweloperów. Co więcej, Przylądek Admirala miał zostać wpisany do centrum parku.

Para sokołów wędrownych, niezwykle rzadki i chroniony gatunek, osiedliła się na terenie należącym niegdyś do Soubeyrana. Obecność dwunastej zarejestrowanej pary pozwoliła na oficjalne zaklasyfikowanie Przylądka Admirala do parku narodowego. Darowizna odziedziczonej przez Laurę ziemi została zaakceptowana i przez całą wiosnę przeprowadzano prace umocnieniowe.

Pod koniec czerwca, tak jak poprzedniego roku, Laura wsadziła dzieci do samolotu lecącego do Johannesburga, z przesiadką w Roissy. Sébastien zgodził się na rozwód, ale podobno jego nowa towarzyszka, Kathleen, rzuciła go podczas afrykańskiej zimy. Kiedy Laura rozmawiała z nim przez telefon, żeby przedyskutować kwestie procedury rozwodowej i dzieci, unikał mówienia o sobie i wspominał tylko o pracy. Złóża, których poszukiwał na wydmach Namibii, znów okazały się ułudą. W przeciwieństwie do pierwszego lata Laura nie miała czasu cierpieć z powodu nieobecności dzieci. A jej związek z Raphaëlem rozwijał się spokojnie. Żadne z nich nie rezygnowało z siebie, ich miłość

dojrzała, przystosowała się do różnicy wieku i zajęć każdego z nich, a porozumienie, które łączyło ich na co dzień, scementowało uczucia.

Laura spędziła ostatnie tygodnie na organizowaniu wraz z Renée ceremonii otwarcia Parku Narodowego *Calanques*. Raphaël wygrał przetarg, który został ogłoszony wśród restauratorów z regionu na przygotowanie uroczystego bufetu. Zamówienie to pozwoliło mu dokonać wcześniejszej spłaty długu i zostać pełnoprawnym właścicielem restauracji...

Kilka dni po przyjęciu inauguracyjnym Laura zaprosiła na kolację na Przylądek Admirala Renée i François Mariniego, którzy prawie od roku byli parą. Wieczór był wyjątkowo radosny i wzruszający, gdyż Renée oficjalnie zapowiedziała ich ślub i poprosiła Laurę, aby była jej świadkiem.

Nazajutrz po kolacji Laura, która zachowała dawne przyzwyczajenia i nadal pływała co rano, z Mayą u boku, zanurzyła się z zamiarem poznania nowych przestrzeni. Niebo i morze o niezrównanej czystości stapiały się w jedną mineralną poświatę. Płynęła szybko, uskrzydłona niezwykłym uczuciem błogości. Maya, wierna swoim przyzwyczajeniom, skręciła w stronę skały, gdzie jej pani zwykle odpoczywała po wyjściu z wody. Lecz tym razem Laura nie podążyła za suką, ale popłynęła dalej, za sosnę alepską, która wyznaczała granicę płycizny. Nie miała już powodów, aby się bać. Tajemnice przeszłości wypuściły ją ze śmiertelnego uścisku. Morze na nowo stało się zaczarowanym królestwem jej dzieciństwa. Nieco później wzięła prysznic i zjadła śniadanie, pojechała na zakupy, a przy okazji wyciągnęła pocztę, którą listonosz zostawiał w skrzynce na listy przy wjeździe na drogę.

Jej uwagę przykuła koperta leżąca pośród reklam i rachunków. Koperta zwykłych rozmiarów, na której widniały jej nazwisko i adres

napisane odręcznym pismem. Czyżby istniały jeszcze osoby tak miłe, lub tak niedzisiejsze, które wysyłają listy pocztą? Laura z ciekawością odwróciła kopertę, chcąc przeczytać nazwisko nadawcy. Wydało jej się, że serce przestało jej bić. Zakręciło jej się w głowie i zachwiała się. Odczytała ponownie litery, jakby napisane dziecięcą dłonią, i rozplakała się.

Na odwrocie koperty widniało nazwisko Florence Abrigore. Florence... imię jej matki.

Przypisy

[1] *calanque* – głęboka, nadmorska dolina otoczona stromymi, wapiennymi skałami, charakterystyczna dla wybrzeża Morza Śródziemnego w południowo-wschodniej Francji (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] makia – wiecznie zielone zarośla występujące w regionach śródziemnomorskich.

[3] Salluwiowie (Salyens) – plemiona liguryjskie zamieszkujące w III wieku p.n.e. tereny dzisiejszej południowej Francji.

[4] Fokajczycy – mieszkańcy greckiego miasta Fokai w starożytnej Anatolii. Około 600 roku p.n.e. założyli Massalię (dzisiejsza Marsylia).

[5] *verrine* – potrawa na słono lub słodko, podawana w przezroczystych szklaneczkach z ułożonymi warstwowo składnikami, serwowana jako przystawka lub deser.

[6] *ratatouille* – prowansalska potrawa z warzyw.

[7] gwiazdki – system punktacji przewodnika Michelin; przyznawane najbardziej prestiżowym restauracjom.

[8] Nagroda Diany (Prix de Diane) – tradycyjny bieg w ramach prestiżowych wyścigów konnych odbywających się w podparyskiej miejscowości Chantilly.